

KORNEL MAKUSZYŃSKI

AWANTURA O BASIĘ

I Jeden pociąg przychodzi, a drugi odchodzi	3
II Słowa ważne należy ryc na miedzi, a nie na papierze	12
III Polowanie na pana z ulicy Chmielnej	22
IV Wielki pisarz i mała dziewczynka.....	31
V Łowy na grubego zwierza.....	41
VI Nowy sąd Salomona.....	51
VII Tak się musiało skończyć	61
VIII Oj, Basiu, Basieńko	72
IX Uśmiech krwawego Heroda	83
X "Intryga i miłość"	92
XI Głos z za świata.....	101
XII Szukanie duszy.....	112
XIII Narodziny człowieka	124
XIV Znowu zaczyna się wiosna	132

I

JEDEN POCIĄG PRZYCHODZI, A DRUGI ODCHODZI

Opowieść tę, tak prawdziwą jak wiosna i tak pełną radosnych uśmiechów jak pogodny dzień, musimy - z serdecznym żalem serca - rozpocząć wspomnieniem zdarzeń bolesnych i smutnych. Jak spoza ciężkich, czarnych, burzliwych chmur słońce wreszcie jasną smugą wytryśnie i ozłoci ślady klęski i zniszczenia, tak i w tej opowieści przewalić się muszą chmury przez pierwsze stronicie jak przez czyste obszary nieba. Jak w życiu, jak w życiu... Jedna szczęśliwa godzina rodzi następną, znaczoną łzami, aż smutek zelżeje i znowu jasną godzinę przywoła. Nie cenilibyśmy radości, gdyby była wiecznotrwała i snuła się nieprzerwanie. Gorycz bólu i dotkliwość cierpienia tym słodsza nam czynią radość, co się zjawi. Nie byłoby radości bez smutku. Nikt by nie wiedział, że to radość właśnie. Tym skwapliwiej witamy dzień, że przed nim snuła się mroczna, oślepla noc.

To co się zdarzyło przed rozpoczęciem tej niezwyklej historii, było nocą, smutkiem i śmiertelną przygodą. Ponieważ serce nasze drży jeszcze na wspomnienie tego, co się stało, opowiemy krótko o wszystkim. Wystarczy niewiele słów, a każde, będzie miało kształt łzy.

Nigdy nie można było odgadnąć, kim była młoda pani w żałobnej sukni, wiodąca za rękę małą, może pięcioletnią dziewczynkę. Wsiadła z pociągu na węzłowej stacji kolejowej, po której w różne strony czołgały się pociągi jak olbrzymie gąsienice. Świadkowie opowiadali, że śpieszyła się bardzo, pragnąc zdążyć do bufetu, gdzie chciała nakarmić dziewczynkę; mówili inni, że w czasie podróży była dziwnie milcząca, a w dużych jej oczach znać było niepokój; wiozła roześmiane dziecko i jakąś wielką zgryzotę. Samotne kobiety w czerni nie wędrują zazwyczaj ze szczęściem w sercu. Nikt nie umiał powiedzieć wiele więcej o tej smutnej pani, bo chociaż współtowarzysze podróży odznaczają się nadmierną ciekawością, jej nie zadawano pytań. Jej blada, piękna twarz i oczy zamglone, jakby w pustkę patrzące, onieśmiały ludzi. Przysłuchiwano się jej rozmowie z dzieckiem, która była właściwie nieustanną gadaniną dziewczynki przerywaną rzadko jej cichym słowem: "Tak, Basieńko!" albo: "Nie, moja maleńka!" Ostatnie jej powiedzenie, które słyszano, było zapowiedzią, że na najbliższej stacji dziewczynka dostanie mleka. Zaraz potem zdarzyło się nieszczęście. W skisłym, zadeszczonym mroku wieczornym pani ta zły obrała kierunek, być też może, że zamyślona, nie zdawała sobie sprawy, że wychodzi z pociągu przez drzwi niewłaściwe. O, Boże miłosierny! Jak grzmot po ziemi się toczący, jak zwierz straszliwy,

dudniący straszliwością żelaznego zgiełku, wypadł z mroku pociąg. Kobieta w czerni ostatnim, okropnym wysiłkiem zdołała odrzucić dziewczynkę...

Odmówmy wszyscy cichutko modlitwę za bohaterską matkę, co ostatnim ruchem wyrwała swoje dziecko śmierci jak tygrysowi.

- Prędko! Ołówka i kawałek papieru! - zawołał duszonym głosem lekarz, błądzący ze wzruszenia.

Marszcząc czoło, jak gdyby chciał sobie dokładnie przypomnieć zasłyszane słowa, pisał coś na kartce, którą podał urzędnikowi.

- To zdołała wyszeptać - rzekł głucho.

- Jakiś adres?

- Tak. Tam należy skierować dziecko. Biedna maleńka... Gdzie ona jest?

- W drugim pokoju.

- Co robi?

- Nie rozumie, co się stało... Wciąż pyta o matkę.

- Chodźmy tam do niej - rzekł bardzo cicho. Dziewczynka spojrzała na wchodzących, jakby zdziwiona, że wśród nich nie było matki. Siedziała na krześle, odziana w niebieski płaszcz. Spod miękkiej czapeczki wymykały się jasne, krótko przystrzyżone włoski. Gdyby nie sukieneczka, można by mniemać w pierwszej chwili, że to jasnooki, puciołowaty chłopczyk.

Trzech panów, jakby onieśmielonych, zatrzymało się przy drzwiach, które szybko za sobą zamknęli, a lekarz zbliżył się do dziewczynki. Patrzył na nią długo i długo nie przemawiał, jak gdyby słowa nie mogły przecisnąć się przez jego gardło. Wreszcie położył rękę na jej główce i lekko ją pogładził.

- Jak ci na imię, maleńka?

Dziewczynka spojrzała na niego zalękłym spojrzeniem i nie odpowiedziała.

- Nie bój się, kochanie - mówił lekarz drżącym, miękkim głosem. - My wszyscy bardzo cię kochamy... Bardzo, bardzo... Pewnie się nazywasz Marysia?

- Nie Marysia... - odpowiedziała cichutko.

- Więc Jadzia?

- Jadzia też nie...

- Może Basia?

Dziewczynka uśmiechnęła się.

- Tak. Basia nazywa się Basia.

- A jak dalej?

- Dalej nie wtem. Mamusia wie. Niech pan zawoła mamusię!

Lekarz przymknął oczy.

- Basieńko kochana... - zaczął mówić z trudem. - Twoja mamusia. . Och, jaki Basia ma śliczny płaszczyk! A jakie włoski...

- Jak chłopczyk! - oświadczyła z powagą dziewczynka. - Mamusia mi obcięła.

- Tak, tak...

Pochylił się nad nią i otoczył ramieniem.

- Posłuchaj, Basieńko... Twoja mamusia odeszła...

- Ale zaraz przyjdzie?

- Nie, maleńka. Już nie przyjdzie...

- Czemu nie przyjdzie? Ja chcę spać!

- Bo twoja mamusia poszła daleko, bardzo daleko...

- Czemu daleko? Gdzie to jest daleko?

- Poszła aż do nieba...

- Teraz przecie ciemno - mówiła dziewczynka patrząc na niego podejrzliwie.

Lekarz stropił się i nieporadnie rozłożył ręce. W ten sposób można było wieść z dzieckiem rozmowę bez końca. Tarł ręką czoło i w ten starodawny sposób wygrzebał w stroskanej głowie myśl bardzo rozsądną.

- Zatelefonuję po żonę - rzekł do trzech panów przysłuchujących się w milczeniu.

Nie. upłynęło pół godziny, a pani doktorowa znalazła się na miejscu smutnych wypadków. Objąsniła zwiędłym szeptem o nieszczęściu i niedoli dziecka, załatwiła sprawę ze wzruszającą prostotą.

- Pójdziemy spać, maleńka! - rzekła do Basi głosem sprytnie udającym głos bardzo wesoły.

Dziewczynka dała znać uśmiechem, że nie mogąc dojść do ładu z jękającym się mężczyzną, chętnie i bez protestów gotowa jest do gorącej przyjaźni z tą panią, odzianą podobnie jak jej matka.

Serduszko wiedziało o tym, że to ktoś inny i ktoś obcy, senne spojrzenie jednak nie umiało już dać sobie rady z mglistością zarysów. Pani doktorowa, kobieta zażywna i energiczna, czerstwością zdrowia zaszczyt przynosząca lekarskiej sztuce męża, wzięła ją na rękę i ze wzruszającą tkliwością przytuliwszy do piersi wyniosła ją z kolejowego budynku.

- Śpij, biedactwo - szepnęła patrząc na dziecko. Z niesłychanym zasobem miękkich słów, porównań, przenośni i przykładów, z całym arsenałem sposobów, znanych jedynie kobiecemu sercu, zdołała nazajutrz wyjaśnić dziewczynce, że jej matka nigdy już nie powróci. Basia pojęła tylko tyle, że ją okropnie skrzywdzono, o czym oznajmiła długim płaczem. Pani doktorowa usiłowała scałować łzy z jej oczą, co musiało być pracą uciążliwą, gdyż i w jej oczach zaczęły się one gromadzić, gwałtowne i niepowstrzymane. Dwie kobiety płakały cichutko, przytulone do siebie tak, że nie można by powiedzieć dokładnie, do której z nich która łza należy.

Innych jednak rzeczy też nie można było odgadnąć. Najściślejsze poszukiwania do niczego nie doprowadziły; nie znaleziono żadnych dokumentów w torebce nieszczęśliwej kobiety, a w wagonie żadnych walizek ani zawiniątek. Najrozsądniejsze wydawało się, przypuszczenie, że albo ją w drodze okradzione, albo biedna ta pani, głęboko jakąś troską przejęta, pogubiła to, co ze sobą wiozła. Wiele słuszności mogło tkwić w przypuszczeniu, że jechała tam, gdzie ją wszystko oczekiwało. Nie znaleziono ani świstka papieru, tylko niewielką ilość bezimiennych pieniędzy i bilet kolejowy do Warszawy.

- Jakieś nieszczęście gnało tę nieszczęśliwą - mówił lekarz. - Albo zapomniała o wszystkim, albo nie mogła myśleć o niczym innym. Niech ją Bóg przyjmie miłosiernie, bo bardzo musiała cierpieć. Całe szczęście, że miała jeszcze tyle sił, aby wyszeptać kilka słów.

Patrzył na kartkę, na której zanotował kilka wyrazów.

- Dość znane nazwisko - mówił jakby do siebie. - Jak myślisz? - zwrócił się do żony, na której kolanach siedziała dziewczynka. - Co teraz należy zrobić?

Pani doktorowa spojrzała na Basie zamyślona. Zdawało się jej, że dziecko pojmuje roztropnie, iż o nim jest mowa, rzekła więc szybko:

- Pomówimy o tym później..

Dość niezdarną była dyplomacja dobrej kobiety, widać bowiem było, że umyślnie odwleka chwilę rozstania się z dziewczynką. Usiłowała wmówić we wszystkich, że należy czekać jakichś wieści od krewnych nieszczęśliwej pani w żałobie, którzy po przeczytaniu w gazetach wiadomości o okropnym wypadku zgłoszą się niewątpliwie pojawiając się z opisów, kim była ta matka podróżująca z dzieckiem. Nikt się jednak nie zgłaszał. Minęło dni kilka, a znikąd nie nadszedł ani list, ani depesza.

- Trzeba dziecko odesłać pod tym adresem - rzekł lekarz. - Rzecz dziwna, że ta osoba nie zgłosiła się sama. Przecie czyta chyba gazety.

- Jeśli jest osobą rozsądną, to nie czyta - mruknęła jego żona.

- Wszystko jedno. Dziecka przetrzymywać nie możemy.

- Czy tak bardzo ci przeszkadza? To rozkoszne dziecko?

- Bynajmniej! Wcale mi nie przeszkadza. Cóż za przypuszczenie! Ty byś je, oczywiście, zatrzymała na zawsze.

- Och! Z największą radością!

- Wiem o tym, bo od kilku dni wyprawiasz przedziwne sztuki. Nie, moja kochana... Całym sercem do niego przyłgnałem, ale czas największy, aby je odesłać. jutro napiszę list wedle adresu, aby Basi oczekiwano na dworcu w Warszawie, a pojutrze dziewczynka pojedzie.

- Jak to "pojedzie"? Sama?

- Do Warszawy niedaleko. Wsadzi się ją do wagonu, odda pod opiekę podróżnych, a w Warszawie ją odbiorą. Adres jest wyraźny.

- Czy nie lepiej będzie wysłać ją pocztą? - zapytała pani doktorowa z irytacją.

- W Anglii zdarzył się taki wypadek...

- Ty byś nawet mnie wysłał pocztą...

- Niemożliwe. Poczta przyjmuje pakunki jedynie do dwudziestu kilogramów. Ciężary o wadze osiemdziesięciu wysyła się ciężarowym pociągiem... - odrzekł on z powagą.

Basia nie wiedząc o tym, że jest przedmiotem burzliwych konferencji, przebrnąwszy przez kilka dni, jakichś ponurych, rozplakanych, bardzo dziwnych i strasznych, powróciła już do swego błękitnego kraju, nad którym uśmiecha się czyste niebóg Przez kilka dni szukała matki zdziwionymi oczami i czuła trwogę w serduszk. Wieczorem, zanim usnęła w ramionach pani doktorowej, zdawało się jej, że słyszy kroki mamusi; zdawało się jej raz jeden, że ją widzi. Potem, powoli, znana postać zaczęła się rozplwać w srebrzystą mgłę, zamazywać i niknąć. Zwalista postura tej pani, co ją całuje i pieści, zasłoniła swoim ogromem to wszystko, co się dotąd ukazywało tuż przed jej oczkami. Znowu się na świecie uczyniło niebiesko.

Wielkie zdarzenia nie mogły się zmieścić w jej serduszk; najmniej ją obchodziły długie narady tego pana z tą panią. Dopiero kiedy ta pani chwyciła ją nagle w objęcia i zaczęła głośno płakać, Basia, uznawszy, że przez kobiecą solidarność należy to również uczynić, beknęła też, boleśnie pochlipując. Płkanie jest taką samą dobrą zabawą jak każda inna, jeśli tylko nie trwa zbyt długo, bo to nie ma wielkiego sensu. Trochę jednak popłakać zawsze można, tym bardziej, skoro to tej dobrej pani zdaje się robić przyjemność.

Łzy pani doktorowej padały jak deszcz z burzliwej chmury. Pan doktor wysłał list, dokładny, obszerny, wszystkie smutne wypadki najściślej opisujący, i prosił osobę, której Basia została powierzona, aby we środę o godzinie piątej po południu oczekiwała na dworcu,

gdyż dziewczynka pojedzie sama. List był polecony, osobiście przez lekarza nadany, adres zaś podkreślony czerwonym ołówkiem, aby zwrócić uwagę poczty na jego ważność. Zachowane zostały wszystkie środki ostrożności.

- Dziecku nic się stać nie może - uspokajał żonę. - Dziecko jest nadzwyczaj roztropne i da sobie radę. A ty nie pojedziesz... Trzy razy byłeś w Warszawie. Dwa razy cię okradli, raz wpadłeś pod auto i złamałeś nogę. Teraz nie uszłabyś z życiem.

Pan doktor miał o stolicy wyobrażenie zgoła ponure.

Pani doktorowa, zamknawszy się z Basią na tajnej naradzie gabinetowej, usiłowała jej wyjaśnić, jakie ogromne czekają ją przedsięwzięcia. Uspokajała ją wymownie, że dzieci często podróżują same, nawet na ogromnych przestrzeniach, że dziecka nikt nie skrzywdzi, a w Warszawie zajmą się nią serdecznie. Dziewczynka słuchała uważnie i nie zgłosiła żadnego sprzeciwu. Owszem, to może być zabawne.

Narada trwała dwie bite godziny; uczestnicy wyprawy do bieguna północnego mniej są przewidujący niż pani doktorowa. Omówione zostały wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne, wypadki, jak: porwanie uspienie podróżnego za pomocą zatrutych papierosów i zepsucie się lokomotywy. Czarne słowa pani doktorowej przeleciały jak burza przez jasną głowinę i po chwili nie było z nich śladu. Jeden tylko kolorowy ptaszek polatał nad dziewczynką i śpiewał o nadzwyczajnej podróży.

Dobra kobieta zaprowadziła Basię na dalekie miejsce poza miastem, gdzie rosły drzewa i krzyże, i tam kazawszy jej uklęknąć" długo do niej mówiła szeptem cudownie serdecznym. Słońce świeciło bladozłociście a czerwone liście padały z drzew cichutkim szelestem. Basia powiedziała tak samo cichutko:

- Bądź zdrowa, mamusiu!

We śróde, nakarmiwszy dziewczynkę na zapas tak obficie, jak gdyby miała przepłynąć Atlantyk, przezorna pani zawiesiła na jej szyi tabliczkę z tektury i atramentowym ołówkiem napisała na niej adres "odbiorcy". Ofiarowała jej małą torebkę nadzianą do rozpuku cukierkami, czekoladą i wszelką słodką pociechą cięłych lat człowieka, potem, na godzinę przed odejściem pociągu, rozpoczęła uroczystość pożegnania. Tych czułości, tych okrzyków, tym napomnień, tych łez i pocałunków, pocałunków i łez ludzkie pióro nie opisze. Małym urozmaicheniem tej ceremonii był okrzyk burzliwy, nagły, huczący i najmniej spodziewany:

- Mężu! Jeśli temu dziecku coś złego się stanie, będziesz przeklęty!

Powiedziane, raczej zakrzyknięto było to z taką mocą że pan doktor zadrzał.

- Cóż mu się może stać, u Boga Ojca! rzekł nie dość niepewnie.

“Wyższych dziesięć tysięcy” miasteczka w skromnej liczbie ośmiu najważniejszych obywateli podzielało roztropne to zdanie. Wprawdzie Warszawa jest miastem żarłocznym, ale dzieci tam nie jedzą. Starano się żartobliwie uciszyć niepokoje pani doktorowej i dodać jej ducha, co było niejaką przesadą, sądząc bowiem z nadmiaru cielesnej powłoki i duch jej musiał mieć pokaźne rozmiary.

Wszyscy znali niedawne dzieje dziewczynki, więc tkliwość dla osieroconego dziecka, które - sądząc z żałobnego stroju jej matki - nie miało już zapewne i ojca, przywiodła wszystkich dobrych ludzi na dworzec kolejowy. Brak było jedynie pana starosty i fotografa, gdyby bowiem udało się te osobistości zaangażować do zespołu zebranego na dworcu, odjazd Basi nie różniłby się niczym od uroczystego wyjazdu ministra. Sprawiedliwie jednak przyznać należy, że jeszcze żadnego ministra na świecie nie zegnało tyle łez, ile ich popłynęło z oczów pani doktorowej. Ponieważ umysły zrównoważone przestrzegają dokładnych terminów wszystkich czynności, zacna kobieta zaczęła ronić łzy o godzinie drugiej piętnaście, na kwadrans przed odejściem pociągu; przedtem postanowiła bacznym suchym okiem obejrzeć wszystko, co mogło mieć związek z podróżą. Energicznym krokiem pobiegła w stronę dychawicznie sapiącej lokomotywy, na żelaznego potwora pobieżne tylko rzuciła spojrzenie, lecz długim i przenikliwym zajrzała w oczy maszynisty. Zdumiał się nieco pocziwy ten człowiek, na wskroś bystrym wzrokiem, jak ostrym gromieniem, przewiercony. Potem uczynił to, co mu się wydało najrozsądniejsze: wzruszył ramionami. A pani doktorowa dojrawszy zapewne w jego oczach powagę, pozbawioną wszelkiej lekkomyślności i skłonności do burzliwych awantur, poczęła przebiegać wagony i zaglądać we wszystkie przedziały. Wreszcie, po długim wahaniu wybrała jeden.

Nie chcemy narażać na nagłe pęknięcie ani własnego, bardzo czułego serca, ani tkliwych serc czytelników, dlatego nie opiszemy sceny pożegnania. Miało ono być wprawdzie uroczystością zbiorową, cały jednak ceremoniał pogruchotała pani doktorowa. Nie miała własnego dziecka, więc wszystką niezmierną miłość, wypełniającą jej zacne serce, chciała dać na drogę biednej dziewczynce. Wyrywała ją z każdych ramion, nikomu nie pozwoliła jej pocałować, przerywając wszystkie czułości okrzykiem: “Czy chcecie zamęczyć dziecko?” - tuliła ją i ścisnęła, z nadejściem zaś właściwej pory wybuchnęła płaczem. Na własnych rękach zaniósła ją do wagonu. Otarłszy wielkie łzy, aby nie kapały na słowa, rzekła do zgromadzonych w przedziale:

- Proszę państwa! Ta dziewczynka jedzie sama do Warszawy! Sama! A dlatego sama, że jest sierotą. Adres ma na piersi, na tekturowej kartce... Jedzenie w torebce. W Warszawie po nią się zgłoszą... Proszę na nią uważać, proszę się nią zaopiekować... Niech się nie zbliża

do okna! Niech się nie zaziębil. Proszę pana, aby pan nie palił papierosów! Przecież przez dwie godziny może się pan powstrzymać! O, pani jakoś przyzwoicie wygląda... Niech pani na nią uważa... Proszę jej nie dawać owoców, bo pewnie nie umyte, a mój mąż mówi, że o cholera łatwo... Czy mogę liczyć na wszystkich tu zebranych!

- Dobrze, dobrze, proszę pani - bąknął ktoś w imieniu społeczeństwa.

Pani doktorowa jednakże postanowiła zastosować na wszelki wypadek lekką groźbę:

- Bo inaczej Pan Bóg by was pokarał!

Zdumiała się zebrana gromadka, lecz pani doktorowa nie zwróciła na to uwagi.

- Maleńka - zwróciła się do dziewczynki. - Ci państwo zaopiekują się tobą. Ale jedz tylko to, co ja ci dałam, i nie bierz od nikogo. Nikomu dzisiaj wierzyć nie można. Aha! Gdyby ci się chciało... (nachyliła się do ucha Basi i tłumaczyła jej coś bardzo zawile) - to powiesz o! tej pani, a ta pani cię zaprowadzi. Pan konduktor! Dobrze, że pan tu przyszedł, panie konduktorze.

Uchwyciwszy go palcami za guzik od munduru, objaśniła dokładnie o jego straszliwej odpowiedzialności i zaklęła na wszystkie moce niebiańskie i piekielne aby co kwadrans zajrzał do przedziału.

Zirytowany gwizd lokomotywy i nawoływania wszystkich zebranych przed wagonem dały znać pani doktorowej, że rozpoczyna się akt ostatni.

Ktoś uniósł dziewczynkę na rękach, tak że mogła wyrzeć przez okno.

Pani doktorowa chciała jeszcze krzyknąć, ale nie mogła. Coś ją dławiło w gardle, więc tylko spojrzeniem wołała tak serdecznie... tak serdecznie... Śliczna, jasna główka mignęła tak jak błysk odbity z lusterka. Zdawało się, że ktoś postawił kwiatek za szybą wagonu.

Kiedy zachłanny las połknął pociąg, pani doktorowa stała jeszcze, patrząc spojrzeniem smutnym i jakby rozżalonym.

- Chodźmy już - rzekł lekarz.

- Przedtem jednak zażyj jakiś proszek na uspienia sumienia. Mam takie przecucie, że posłaliśmy to dziecko na zgubę, a moim przecuciom możesz wierzyć. Czy przed trzema laty nie powiedziałam ci, że cię spotka nieszczęście, i czy nie złamałeś wtedy nogi?

- Złamałem nogę, bo na chodniku leżała pestka śliwki. Czemu nie przeczułaś, że ktoś będzie jadł śliwki Twoje przecucia są mizerne. Dziewczyna zajadzie zdrowa, bo ja mam takie przecucie.

- A czemu ci, do których wysłałeś list, wcale ci nie odpisali?

- Najpierw dlatego, że są to Polacy, a Polacy mało kiedy odpisują na listy, a następnie dlatego, że nie mieli na co odpisywać.

- I Basia jedzie do takich barbarzyńców, co nie odpisują na listy! Kto nie odpisuje na listy, może równie dobrze zagłodzić dziecko albo bić je przy każdej sposobności. No! Niechby coś podobnego doszło do mojej wiadomości! Uprzedzam cię, że za jakiś miesiąc pojedę do Warszawy, aby się przekonać, co tam wyprawiają z dziewczynką. Czego ta figura chce od ciebie?

- Jaka figura? A, ten...

Z unizonym ukłonem zbliżył się do lekarza młodzian zapowietrzony omdlewającym zapachem zabójczych perfum.

- Właśnie szedłem do pana doktora - mówił z przejęciem. - Czy pan doktor nie byłby łaskaw odwiedzić babuni?

- Przecież byłem u niej onegdaj - odrzekł lekarz bez entuzjazmu. - Babunia zdrowa jak grenadier.

- Być może. Babunia jednak doszła do przekonania, że ma solitera, bo ją bardzo mdli.

- Chyba nie soliter, tylko te perfumy - mruknęła doktorowa.

- To siedemdziesiąta siódma przypadłość w tym roku - rzekł doktor. - Więc o co idzie?

- O jakiś środek na mdłości. Babunia od dwóch dni niczego nie bierze do ust, oprócz kapusty i kawałka wieprzowiny. Czy pan doktor będzie łaskaw?

- Będę łaskaw - rzekł doktor niecierpliwie. - Czekał pan! Zaraz panu zapiszę.

Zaczął grzebać w kieszeniach i znalazłszy jakąś kartkę, szybko na niej pisał, używszy torebki pani doktorowej jako podkładki.

- Ma pan, do następnej choroby wystarczy...

Zapowietrzony wnuk znekanej babuni wziął tę osobliwą receptę na jakiś niewinny środek i zdziwił się, że na odwrotnej stronie karteczki wypisany był jakiś warszawski adres. Pan doktor znany był jednakże z roztargnienia. A przed chwilą wydawał się jeszcze bardziej roztargniony niż zwykle.

II

SŁOWA WAŻNE NALEŻY RYĆ NA MIEDZI, A NIE NA PAPIERZE

Basia siedziała w przedziale wagonu jak skowronek wśród puchaczów. Podróżni zawsze na początku podróży są napuszeni i dopiero po jakimś czasie układają pióra, aby je nastroszyć znowu, ile razy nowy podróżny wchodzi do przedziału. Wtedy wszyscy, jak gdyby zmówieni, milkną i starają się przybysza odstraszyć. Ponieważ o tych obyczajach wszyscy wiedzą, nikt sobie przeto wiele nie robi z groźnych min i bezwstydnie zajmuje wolne miejsce. Podróżni zazwyczaj przypatrują się sobie spode łba, wedle ceremoniału zachowanego od czasu wynalezienia kolei żelaznej. Tym razem zaniedbano lekkomyślnie tego roztropnego obyczaju, gdyż wszyscy obserwowali dziewczynkę. Zajęcie się tą okruszyną było tak żywe, że zaniedbano również wzajemnych zapytań: "Czy pan(i) daleko jedzie?" Z podnieconego przemówienia pani doktorowej wiadano, że ta mała jedzie do Warszawy, nie miało więc sensu pytanie jej o cel podróży. Wiele jednak w tym wszystkim było punktów nie wyjaśnionych: dlaczego ten berbeć jedzie sam, kim jest ta wymowna mama, która im groziła boskim skaraniem, skąd ta gwałtowna troska o dziecko nazwane sierotą? Z tych tajemnych zagadnień wypłynęły oczywiście jeszcze kilka innych.

W przedziale siedziały dwie panie i jeden pan. Basia skulona w kątku, była czwarta. Panie nie wyglądały na wielkie panie i różniły się zaledwie tym, że jedna miała czerwony kapelusz, a druga zielony. Poza tym nie posiadały cech wybitnych i jaskrawych, którymi mogły się odróżnić w gromadzie stu tysięcy pań. Obie miały oblicza pomazane margaryną uśmiechu i te same musiały mieć przyzwyczajenia, nie upłynęło bowiem pół godziny, a obie wydobły z koszyczków smakowite zapasy i zaczęły jeść. Jest to sprawa godna podziwu filozofa, o ile nam jednak wiadomo, żaden dotąd filozof nie usiłował rozwikłać zagadnienia, dlaczego ludzie podróżujący zawsze jedzą. Są dane, że jedzenie, szczególnie jajek na twardo, znakomicie skraca podróż i jest wybornym lekarstwem na jej rozciągłą nudę. Należy przyznać, że obie panie - i kapelusz zielony, i kapelusz czerwony - jadły z mniejszym entuzjazmem, niżby się tego można było spodziewać. Czyniły to raczej w celu podtrzymania dobrego zwyczaju. Tajemnicza dziewczynka pozbawiała je apetytu.

Naprzeciwko Basi, tuż przy oknie, siedział jedyny w tym damskim zgromadzeniu mężczyzna. Byłoby przesadą nazwanie go egzemplarzem okazałym. Nie ulega wątpliwości, że wielki rzeźbiarz grecki Fidiasz nie zatrzymałby się na widok tej postaci i nie złapałby się z

zachwytu za głowę. Jegomość był mocno zażywny, tak że przy każdym gwałtowniejszym ruchu twarz jego oblewała się czerwienią. Na twarzy tej malowała się żywa niechęć do całego świata i niezadowolenie z jego urządzeń; wzrokiem, wyraźnie jadowitym, spojrzął na obie damy i wzruszył ramionami, z czego można było domyślić się, że wzruszenie prawego ramienia przeznaczone było dla kapelusza czerwonego, lewe zaś skrzywiło się na obraźliwą intencję kapelusza koloru szpinaku; następne spojrzenie było tępym sztyletem, który zagroził morderstwem Basi, resztę zaś spojrzeń, chmurnych i zabarwionych smołą piekielną, rozdzielił sprawiedliwie pomiędzy okno, drzwi, lampę, lustro i hamulec bezpieczeństwa. Ukończywszy tę rewię oddzielił się od życia i jego małych spraw, nieczuły na wszystko, i z pasją, godną lepszej sprawy, chwycił gazetę, obok leżącą. Można było oczekiwać, że po chwili gazeta, dotknięta jego spojrzeniem, zatli się i zacznie dymić albo się zacznie roić od straszliwych morderstw i nieszczęśliwych wypadków. Ów dziwny jegomość przypominał żywo żelazny imbryk, w którym bulgoce ukrop wody. Należy dodać, że wprawdzie dość rzadko, ale za to gwałtownie zgrzytał zębami.

Kapelusz czerwony, zauważywszy bystrze te wewnętrzne niepokoje miotające jegomościem, spojrzął wymownie na kapelusz zielony, który wydał westchnienie, jak gdyby chcąc powiedzieć:

- Świat, moja pani, przepelniony jest wariatami!

Obie damy wykreśliły natychmiast owego mruka z towarzyskiego zespołu i uznawszy, że już wielki czas zająć się dziewczynką, rozpoczęły wywiady:

- Może zdejmiesz płaszczyk, kochanie - zaproponowała czerwona papryka.

- Tak, tak, tu bardzo gorąco - oznajmił zielony szpinak.

- Dobrze! - zgodziła się Basia.

Oba zabójcze kolory pochylili się nad nią, pomagając jej w zdejmowaniu okrycia, co spowodowało nagle zbiegowisko przed wrogiem całego świata. Rzucił on na obie damy spojrzenie nadziane siarką, dynamitem i gazem trującym, po czym z trzaskiem zmiął gazetę, czym całej ludzkości dał do poznania, że uczciwy człowiek w tych warunkach czytać nie może, więc czytać nie będzie.

- Przecie panu nie przeszkadzamy! - rzekła cierpko dama na czerwono.

- To się tylko pani tak zdaje - odrzekł człowiek ponury.

Zdawało się, że wydobyl z gardła nie głos, lecz nastroszonego jeżą.

- Dziecko ma swoje prawa! - ogłosił szpinak.

- Dziecko nie ma żadnych praw, bo dziecko nie spełnia żadnych obowiązków! - krzyknął człowiek ponury.

Zdawało się, że nie słowa padły na obie damskie urocze głowy, lecz grad wielkości kurzych jaj.

Oba wspaniale barwne kapelusze pominęły milczeniem straszliwie głęboką uwagę niedźwiedzia, uwagę ich bowiem -zajęło odkrycie owej tajemniczej kartki, zawieszanej na mocnym sznureczku na piersiach dziewczynki.

- To ten adres... - szepnęła papryka.

- Ciekawe, bardzo ciekawe! - odszepnął szpinak. Szpinak jest to jarzyna, która nie jest zdolna do uwag godnych uwiecznienia.

Obie damy odczytały kilka słów z niecierpliwą ciekawością, zgoła zachłannie, od razu jednak okazały sobie wzajemne rozczarowanie. Nazwisko i adres nie były czymś nadzwyczajnym.

- To ty, maleńka, nie masz rodziców? - zapytała jedna dama.

Basia spojrzała na nią jakby nie rozumiejąc pytania. Jegomość-chmura gradowa ni stąd, ni zowąd zaczął bębnić palcami o szybę, dając tym do poznania wszystkim obecnym, że zaczyna się w nim przewracać zirytowana wątroba.

- Pewnie nie ma - objaśniła druga dama. - Przecież ta pani mówiła, że to sierota. A powiedz mi, dziecko, czy ta pani, co cię tu przyprowadziła, to twoja ciocia?

- Ciocia! - zgodziła się dziewczynka.

Zielone spojrzało na czerwone.

- Jacy to dzisiaj ludzie, moja pani - rzekła dama do damy. - Najbliższa krewna, a dziecko samo puszcza w daleką podróż. Z kartką, proszę pani, wysyła jak zająca... Ale krzyżeć to umie, że nie daj Boże!

Czarny jegomość wpadł bez rozumnego powodu w jakieś nagłe delirium, gdyż przejechał ręką po włosach zburzywszy ich przyrodzoną, leniwą spokojność, i zaczął gwałtownie poruszać szczękami, jak gdyby żuł kawałek kalosza lub twardy ramię. Czynność ta była tak zajmująca, że Basia, spojrzawszy na niego, nie mogła już oderwać wzroku od tej maszynarii. Nagle, ku niezmiernemu zdumieniu obu pań, nastrojonych smętnie jak smutno grające basetle, zaśmiała się jasnym, rozperlonym śmiechem i pisnęła:

- Ja też tak!

Ponieważ młode osoby posiadają w wysokim stopniu małpie zdolności naśladowania, zaczęła poruszać szczękami, wcale zgrabnie marszczyć czoło, po czym zerwawszy z głowy berecik przejechała rączką po jasnych włosach. Była to zabawa tak wspaniała, że cały świat razem z damą na czerwono i z damą na zielono nie był wart już uwagi.

Jegomość-widmo znieruchomiał na moment i rozwarł oczy w przeraźliwym zdumieniu, co przez dziewczynkę zostało przyjęte z zachwytem, bo i ona starała się wydobyć z ocząt wzrok dziki i straszliwy. Zgrzytnął zębami, a Basia uczyniła to samo, zresztą dość marnie i bez należytego efektu, ze względu na mizeracki stan uzębienia.

Jegomość-upiór stęzał nagle i znieruchomiał.

- Jeszcze, jeszcze! - prosiła dziewczynka.

- Dziwne dziecko - oświadczył kapelusz czerwony.

- Pomyłone dziecko! - krzyknął człowiek-cmentarz. - Cóż dziwnego? Dziewczyna!

Słowem tym, rzuconym pogardliwym ruchem, dotknął obie damy jak rozpalonym żelazem.

- Więc cóż z tego, że dziewczyna? Co się panu w tym nie podoba? Nie wolno się dziecku śmiać?

- Wolno, ale nie ze mnie.

Nie wypowiedział tych słów, lecz je ulepił z gorącej smoły.

- Korona panu z głowy nie spadnie! Dobry człowiek sam zabawiłby dziewczynkę i uśmiełby się razem z nią. Nie bój się, małeńka...

- Ja się nie boję! - oznajmiła Basia. - Zrób to jeszcze... - zaproponowała serdecznie mordercy niewinnych dzieci.

Herodes w okularach zachnął się i chciał zazgrzytać pełnym uzębieniem, ale zatrzymał się w samą porę.

- Powiedz tym paniom, aby się one też trochę pokrzywiły! - rzekł zjadliwie.

Zdawało się, że nie powiedział tych słów, lecz je z wielkim sykiem wypuścił z syfonu sodowej wody.

Obie damy spojrzały z największym niesmakiem na zgrzytającego awanturnika, potem porozumiewawczo na siebie; czerwony kapelusz dotknął nieznacznie palcem czoła, z czego kapelusz zielony łatwo pojął, że ponurego jegomości należy uważać za człowieka, któremu brak piątej klepki. Jak wszystkim wiadomo, do prawidłowego rozporządzania rozumem konieczna jest pełna liczba klepek pięciu. Zatrwożone tym odkryciem i przejęte współczującą troską o dziewczynkę, starały się nakłonić ją do zerwania wszelkich towarzyskich stosunków z tym Madejem-zbójem. Kapelusz czerwony rzekł bardzo przymilnie:

- Odsuń się, moje dziecko, bo pewnie przeszkadzasz temu panu...

- Nie trzeba drażnić tego pana - pouczył Basie kapelusz zielony.

Widać było od razu, że dobre rady zostały zmarnowane; dziewczynka była zachwycona człowiekiem poruszającym szczękami i wciąż rzucała w niego uśmiechy w

blógiej nadziei, że i on wreszcie, wedle sprawiedliwych reguł gry, też się roześmieje. On jednak patrzył w okno i zdawał się liczyć słupy telegraficzne; tak się w tym zapamiętał, że Basia postanowiła zwrócić na siebie jego uwagę, więc go pociągnęła za połą ubrania.

- Skaranie boskie! - wrzasnął ów jegomość. - Czego ten pędrak chce ode mnie?

- Śmiać się! - pisnęła nieustraszona Basia.

Zmartwiały obie panie, przeświadczone, że ten Iwan Groźny jednym uderzeniem pięści zamorduje dziewczynę. Istotnie śmierć miał w oczach, ale jej nie zabił. Najpierw prychnął jak nosorożec, gdy łeb z wody wynurzy, potem spojrzął spode łba na dwa kolorowe kapelusze. Uderzywszy zębami o zęby wykrzesał z nich iskry, które prysnęły w kształcie słów.

- Takie dzieci nie powinny znajdować się w przedziale... Takie dzieci powinno się wieszać za nogę na sznurku poza oknem wagonu... Jeśli ta pannica natychmiast nie zaprzestanie swoich igraszek...

- To co będzie?! - krzyknęła pierwsza dama.

- Będzie nieszczęście! - warknął on.

- Niech pan to powie jej, nie nam! - krzyknęła druga dama. - Dlaczego pan zwraca się do nas?

- Mówię głośno i po polsku, a kto chce, niech słucha.

- Pan nie jest zbyt uprzejmy... Zresztą, dość spojrzeć... Pan utopiłby to niewinne dziecko w łyżce wody.

- Trzeba było tę operację zrobić znacznie wcześniej, bo teraz już za późno. Chińczycy są mądrym narodem, bo topią dziewczęta zaraz po urodzeniu. Szkoda, że szanowne panie nie urodziły się przypadkiem w Chinach...

- Gbur! - krzyknął kapelusz czerwony, który od nagłych wzruszeń wydawał się jeszcze czerwiejszy.

Kapelusz zielony nie rzekł ani słowa, lecz z lodowatą powagą, zacisnąwszy usta, chwycił Basie i posadził ją przy sobie. Basie bawiły serdecznie te niewinne przekomarzania się starych, więc uśmiechała się bez przestanku.

Ponury człowiek, uwolniony od wszelkich napaści, zgrzytnął raz jeszcze, aby mieć ostatnie słowo, i znowu wetknął nos w gazetę.

Ponieważ pociąg zatrzymał się na stacji i krzykliwe chłopaki drąc się wniebogłosy oznajmiały całemu jadącemu światu, że mogą mu zaofiarować mleko, herbatę, pomarańcze i lemoniadę, czerwony kapelusz orzekł, że trzeba dziewczynkę napoić ciepłym mlekiem.

- Pij prędko! - rzekła dama.

- Kiedy gorące - odpowiedziała Basia.

- Nie grymas... prędko... prędko!

Basia ujęła szklankę i chciała ją podnieść do ust. Wtedy stało się małe na pozór, lecz wielkie w rzeczywistości, nieszczęście: całą szklankę mleka wylała na kartkę zapisaną chemicznym ołówkiem. Szklanka upadła na podłogę wagonu, a Basia w nagłej rozpacz, chcąc zetrzeć mleko z sukienki, przejechała ręką po kartce, ścierając i pracowicie rozmazując litery. Nikt tego nie zauważył w pierwszej chwili, jegomość bowiem zapadł w zadumę jak w czarną smołę, oba zaś damskie kapelusze zajęte były biadaniem i trajkotaniem na temat niezgrabnego gapiostwa dziewczynki.

- Ach, ty niezdaro! - krzyknęła jedna dama. Ponieważ Basia przerażona była i nieszczęsnym wypadkiem, i ostrym krzykiem, uczyniła w zamieszaniu rzecz najstraszliwszą: przelazszy szybko po ławce, przytuliła się nagłym ruchem do pożeracza dzieci, jak gdyby oddając się pod jego opiekę.

- Ma pani wdzięczność! - krzyknęła dama numer dwa.

Czarny jegomość - o dziwo! - wcale nie wybuchnął ani nie wyrzucił Basi przez otwarte okno, lecz zachichotał jak puszczyk albo jak mizerny szatan.

- To wcale roztropne dziecko - rzekł zjadliwie.

Damy spojrzały ponuro, lecz zachowując rozprawę na najbliższą przyszłość zajęły się teraźniejszością.

- Odjeżdżamy! - ogłosiła dama zielona. - Niech pani zapłaci za mleko... No i za szklankę.

- Dlaczego ja?

- Dlatego, że to był pani pomysł. Ja nie dawałabym dziecku gorącego mleka. Licho wie, co to za mleko.

- Najpewniej kozie! - zauważył kąśliwie Herod.

- Mogę zapłacić za mleko - gniewnym głosem oznajmiła czerwona. - Owszem, bardzo proszę. Stać mnie jeszcze, aby nakarmić sierotę, ale za szklankę niech pani zapłaci.

Cudowna zapowiadała się awantura, bo dama, zielona na kapeluszu, uczyniła się zielona i na obliczu, całą jednak zabawę popsuł jadowity jegomość, który najniespodziewaniej wpadł w humor wisielczy i zaczął się śmiać. Wprawdzie tych bulgotań, rżenia, pomruków i ryków w najniższej, jakiejś grobowej tonacji nie można było uważać za śmiech ludzki, obie damy jednak spostrzegłszy, że impertynencki barbarzyńca czyni sobie z nich szatańskie igraszki, pogodziły się czym prędzej. Tak skłóceni Grecy zawierali przymierze, gdy Pers nadciągał. Zapłacili szybko po połowie i usiadły zdyszane.

- Wróć tutaj! - krzyknęła dama, która zapłaciła za mleko.

- Po co? - rzekła dama, która zapłaciła za szklankę. - Niech tam siedzi... Swój zawsze swego znajdzie...

Stropiona dotąd dziewczyna nagle zaśmiała się głośno, co obie panie przejęło zgrozą; żadna z nich nie dostrzegła, że człowiek-niedźwiedź trącił Basie nieznacznie łokciem w bok. Niewinne dziecko w błogiej nieświadomości zawarło pakt z czortem.

Był to czort przemyślny, którego złodziejskiemu spojrzeniu nic, widocznie, ujść nie mogło, nagle bowiem zaczął z wielkim zainteresowaniem przyglądać się tekturowej tabliczce zawieszanej na piersiach dziewczynki. Tabliczka ta przedstawiała widok żalosny. Z wielu liter ocalały tylko niektóre, inne spłynęły w łzawych czarno niebieskich smugach; aby odczytać treść tych słów, trzeba by być takim wielkim uczonym, co umie odczytać egipskie hieroglify. Na tabliczce pozostały zniekształcone nonsensy, cały zaś sens, jako rozmazana plama, mieścił się na rękawie dziewczynki.

- To bardzo zabawne! - mruknął czarny charakter.

Damy spojrzały na siebie, aby sobie oznajmić bez słów, że do pomieszania zmysłów, jako bezpłatny, nadprogramowy dodatek, należy gadanie z samym sobą.

- Co zabawne? Powiedz! - pisnęła Basia.

Upiór z pociągu nie zaszczycił jej jednak odpowiedzią, lecz zmrużywszy oczy patrzył na obie damy. Przez czas dłuższy mieszał arszenik z żółcią, z sokiem z cebuli i wielu innymi żrącymi płynami; uznawszy wreszcie, że trucizna gotowa, nalał ją w każde wymówione słowo.

- Szanowne panie - rzekł głucho, jakby mówił z trumny - obiecały zająć się tą pannicą?

Damy usiłowały nie odpowiedzieć, wymowna jednak natura nie mogła zdzierżyć.

- I cóż z tego? - zapytał kapelusz czerwony z wyraźnym lekceważeniem gadającego diabła.

- Do Warszawy niedaleko - mruczał wilkołak. - Któż się nią zajmie na dworcu?

- Co to pana obchodzi? Skąd się pan zrobił nagle taki troskliwy?

- Przyjdą po nią! - powiedziała twardo dama zielona.

- Aha! przyjdą... A jeżeli nie przyjdą?

Człowiek-koszmar milczał przez chwilę, a potem rzekł z nie tajoną radością.

- Jeżeli nie przyjdą, będą szanowne panie miały ładny bal, powiadam! Cała rodzina będzie się mogła uśmieć... Ha, ha! Gratuluję szanownym paniom...

- Co to wszystko ma znaczyć? Może pan łaskawie objaśni?

- Ja nie jestem encyklopedia - zachichotał pomyłony pasażer.

Istotnie, mało przypominał poważną encyklopedię, raczej książkę o diabłach i czarownicach.

Damy znowu spojrzały po sobie, jak gdyby jedna chciała zapytać drugą, o czym mówi ten dziki narwaniec. Dlaczego ma być "ładny bal"? Ten złośliwy pawian albo wie o czymś, albo wymyślił głupią jakąś sztuczkę.

- Będzie przedstawienie! - krzyknął on nagle takim głosem, że Basia poczęła trząść się w napadzie niepowstrzymanej radości.

- To złe dziecko - szepnęła dama do damy. - Mam dość tej całej zabawy.

Ponieważ w tkliwym jej sercu zrodził się dziwny niepokój, druga dama zauważyła to bystrym spojrzeniem i zarazila się nim jak odrą.

- Ten dzikus wpłcze nas w jakąś awanturę, zobaczy pani. Żebym tak zdrowo dojechała do Warszawy!

- Myśli pani, że to nieczysta historia?

- Nie myślę, tylko jestem pewna. Dziecko z kartką na piersi, krzykliwa jakaś opiekunka... Dziwne i niezbyt przyjemne... A skąd można wiedzieć, czy ten tu nie jest jakąś podstawioną figurą? Czemu pani wstaje? Warszawa dopiero za jakiś kwadrans...

- Przy wyjściu zawsze jest tłok... Wolę czekać na korytarzu.

- W takim razie ja z panią...

Udając, że się nie śpieszą, zebrały swoje manatki i przygotowały się do wyjścia.

- Do widzenia, dziecinko! - rzekła dama.

- Bądź zdrowa - rzekła druga.

- Do widzenia! - zawołała Basia, miłująca cały świat.

- Moje uszanowanie! - ryknął człowiek z czarnym sercem.

- Nikt od pana nie żąda uszanowania - rzekła jedna pani stanowczo i dobitnie.

- Cofam, cofam! - wrzasnął człowiek-skorpion.

Gdy pociąg zaczął podskakiwać na skrzyżowaniach szyn przed stacją, ponury jegomość podniósł się i mruknął:

- Niech się panna ubiera...

- Daj mi płaszczyk! - rzekła Basia.

Wilkołak chciał zgrzytnąć zębami, ale nie zgrzytnął.

- Czy wiesz, że mógłbym cię udusić?

- Uduś! - krzyknęła Basia z zachwytem.

- Wdziewaj płaszcz! - mruknął. - Teraz beret... Już wszystko?

- Dziękuję - rzekła dziewczynka i do słowa dodała uśmiech. - Idziemy?

- Ja z tobą? - zdumiał się herszt zbójców.

- Chodź - szczebiotało dziecko ująwszy go za rękę.

Tak go to zdumiało, że zapomniał wrzasnąć. W niebotycznym roztargnieniu zniósł ją w morderczych rękach z wagonu i postawił na ziemi.

Podróżni opuścili pociąg w pośpiechu, nikt jednak nie zdołał prześcignąć czerwonego i zielonego kapelusza, które gwałtownie zmierzały ku wyjściu.

Człowiek-potwór, trzymany za rękę przez Basie, począł szukać dokoła spojrzeniem tego kogoś, co ma zabrać dziewczynkę. Dokoła było pusto. Ostatni podróżny podreptał dźwigając ciężką walizę.

- Chodź - wołała Basia. - Tu zimno!

- Poczekamy! - zawołał krokodyl. - Mnie zaczyna być gorąco.

Wrósł w ziemię i szukał oczami.

- Ha, ha! - zawył nagle. - Ładny bal!

Przechodzący urzędnik kolejowy spojrzał na niego z wesołym zaciekawieniem.

- Kto tutaj miał czekać na ciebie? - zapytał człowiek-straszdyło.

- Nie wiem, kto miał czekać...

- Pan czy pani? Odpowiadaj!

Basia zrobiła obrażoną minę, uważając to niemądre pytanie za napaść na gładkiej drodze.

- Nie odpowiadasz? Oczywiście... To najwygodniej! Udaje dziecko, a sprytna jak stara baba. Zostańże tutaj sobie i czekaj. Za stary jestem na niańkę.

Wyrwał rękę z jej rączki i uczynił dwa kroki. Basia pobiegła za nim i chwyciła go obiema rękami za poły płaszcz.

Pasja, ta którą nauka przypisuje nie wiadomo czemu szewcom, nazywając ją "szewską pasją", usiłowała zatrząść nim gwałtownie. Obejrzał się i ujrzał niebieskie oczęta, pełne ogromnego zdumienia i żalosego wyrzutu. Ach, cóż za przewrotna istota, jakie chytre dziewczynisko! Przytuliła twarzyczkę do jego szorstkiej ręki, a on nie znosi żadnych tkliwości i głupich przymilań. Jest zły, wściekły, rozżarty, i gdyby nie było na świecie piwa, piłby ludzką krew. Dlatego krzyknął groźnie:

- Jeśli się rozpłaczesz, to cię zmiażdżę!

Potem zgrzytnąwszy zębami objął ją ramieniem i niósł, bo do wyjścia było daleko. Lewą ręką dźwigał walizkę. Tak okropnie był rozgniewany, że nawet nie zauważył, jak przytulił swoją krokodylą gębę do jej zziębniętej twarzyczki.

- Drapiesz! - rzekła Basia.

- Na twoją intencję nie będę się golił, ty... ty...

Jak ci na imię?

- Basia.

- Ty... ty... Basiu!

III

POLOWANIE NA PANA Z ULICY CHMIELNEJ

Człowiek-upiór był zasadniczo człowiekiem nieszczęśliwym, a na dodatek aktorem w teatrze. Nic mu się w życiu nie udawało, co go nastroiło wojowniczo wobec całego świata, jak gdyby cały świat był temu winien. Dlatego stroił takie okropne miny, aby przerazić Europę i Amerykę. Całe szczęście, że ani Europa, ani Ameryka nie wiedziały o tym, że ściągnęły na siebie niechęć tego męża. W teatrze też mu się nie wiodło; nieforemna jego postać nie nadawała się do ról znakomitych bohaterów, odznaczających się zawsze w teatrze wspaniałością gestu i pięknnością oblicza. Jedynie król Ryszard III w tragedii Szekspira ma prawo nosić garb i chromać na jedną nogę i w tej roli pan Walicki, gdyż takie było jego miano, mógłby odnieść zwycięstwo, cokolwiek postać swoją odmieniwszy. Nigdy jednak nie dano mu jej odegrać. Dawano mu do odgrywania role małe, ale należycie krwawe; ponieważ miał w spojrzeniu śmierć, a głos wychodził z niego jak z grobu, grywał wszystkich opryszków, zbójców, morderców i innych przeraźliwców. Wiadomo było powszechnie, że skoro Walicki ukaże się na scenie, musi się w sztuce zdarzyć nieszczęście i że będzie miał na rozkładzie dwa lub trzy trupy. Słodkim i tajemnym jego marzeniem było odegranie postaci szlachetnej, nadobnie mówiącej wierszami, ale nie dożył tego. "Czyż pan zmysły postradał? - mówiono mu. - Z tą diabelską gębą chce pan grać anioła?" Pan Walicki jęczał głucho i wychodził na scenę ze sztyletem lub trucizną, którą komuś wsypywał do napoju. Grywał w drugorzędnych teatrach, w srogich i krwią ociekających sztucznych lub wałęsał się po dalekiej prowincji. Historia teatru zanotuje jednakże jedną jego rolę, w której go nikt nie zdołał przewyższyć. Do tej roli pożyczano Walickiego do największych nawet teatrów, gdy grano wspaniałą i nieśmiertelną tragedię Szekspira pod tytułem Hamlet. Hamletowi w tym utworze ukazuje się duch jego zamordowanego ojca i przemawia do niego. Tego ducha odgrywał Walicki nieporównanie: wydawał z siebie głos tak ponury, tak czarny, tak grobem pachnący, tak przejmujący, że trwożny dreszcz przebiegał po słuchaczach. Zdarzyło się jednego razu, że stojący za kulisami strażak, usłyszawszy z nagłą przy sobie ten głos, zemdlął z przerażenia. Był to największy w życiu triumf Walickiego. Z lubością przeto używał tego śmiertelnego głosu i na codzienny użytek, co było z jego strony lekkomyślnością, gdyż trwożliwą kobietę lub dziecko mógł doprowadzić do konwulsji.

Powracał on właśnie z kilkudniowej wycieczki teatralnej, pozostawiwszy w małych miasteczkach po dwa, a w większych po trzy trupy, ale wielki sobie zyskał rozgłos, chociaż

teatr zbankrutował. Walicki miał małe mieszkanie w Warszawie, zajmowane do spółki z młodym aktorem Szotem; był to aktor początkujący i grywał role nie wymagające zbytniego wysiłku. Wchodził na scenę i mówił uroczyście: "Jaśnie panie, powóz zajechał!" I to było zazwyczaj wszystko. Z wdziękiem też wnosił tacę z kieliszkami lub list na tacy. Mówiono o nim, że nigdy nie wchodzi na scenę z próżnymi rękami. Walicki nigdy nie zgrzytał na niego zębami ani nie mordował go spojrzeniem. Szot bowiem był serdecznym, wesołym chłopcem, zawsze uśmiechniętym i zadowolonym z życia. Wierzył w swoją przyszłość i śmiał się, chociaż często był głodny.

Właśnie przyszywał sobie guzik do kamizelki, gdy usłyszał gwałtowne kopnięcie nogą o drzwi i rozpaczą wydęty głos Walickiego:

- Otwieraj!

- Otwórz sam! - odkrzyknął. - Drzwi nie są zamknięte!

Przyjaciel wrzasnął raz jeszcze okropnym basem:

- Otwieraj, łotrze!

Szot mało sobie robił ze zbójceckich okrzyków, na jeden moment jednak przestał szyc, bo inny głosik, cienki jak jedwabna nitka, powtórzył z piskiem: - Otwieraj, łotrze!

Wiedział o tym, że Walicki potrafi swój głos, gruby jak okrętowa lina, zmienić w cienki sznurek, ale żeby aż tak... Zaciekawiony otworzył drzwi i cofnął się o dwa kroki. Walicki patrzył w niego ponuro, a dziewczynka na jego ręku, we wszystkim go naśladowująca, usiłowała też okrutną miną dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

- Antoś! - krzyknął Szot. - Żebyś tak zdrow był... Gdzieżeś to znalazł?

- W pociągu - odrzekł Walicki okopconym głosem. - Bierz ją!

Basia, ujrawszy wyciągnięte po siebie ręce, otoczyła ramieniem szyję Walickiego, jako swego zaufanego opiekuna, obowiązane do obrony.

- Nie bój się - mówił aktor jako tako ludzkim głosem. - To dobry wujaszek.

- Dobry... - przyznała Basia i po krótkim wahaniu została przyjęta przez Szota i postawiona ostrożnie na ziemi.

- Zmachałem się... - grzmiał Walicki. - Pędrak jest ciężki.

- Kto pędrak? - zapytała Basia.

- Kobieto, przestań i daj mi odpocząć! Zajmij się nią... Zaraz ci wszystko opowiem.

Wesoły Szot zdjął z Basi płaszczyk i posadził ją na krześle; ujrawszy zamazaną kartkę roześmiał się głośno. Dziewczyny nie trzeba było namawiać dwa razy do śmiechu, więc wcale wesoło uczyniło się w smętym pokoju na trzecim piętrze.

Walicki opowiedział towarzyszowi o całej awanturze, rozdzielając zdania sapaniem, pomrukami, okrzykami i zgrzytaniem. Basia zaś pomagała z całej duszy.

— To strasznie wesoły berbeć! - rzekł Szot z serdecznym uznaniem, patrząc na puciołowatą, zarumienioną twarzyczkę. - A może głodna? Mam śledzie i odrobinę wódki. Nie rób takich min, bo przestraszysz dziecko!

- Ja? Przestraszyć? Zaraz ci pokażę.

Wybrał ze swego repertuaru taką minę, która poczciwemu człowiekowi mogła postawić dębem wszystkie włosy na głowie; wyszczerzył zęby, oczy skrzywił zezem i wydał z siebie pomruk rozsrożonego niedźwiedzia. Basia pisnęła z zachwytu i podskoczywszy zbliżyła twarz do jego poczarnej twarzy udając, że go straszy.

- Widziałeś? Wcale się mnie nie boi - rzekł z żalem w głosie.

- Wcale się nie boję! - potwierdziła Basia.

- A kochasz tego pana? - zapytał Szot.

- Bardzo kocham! - ogłosiła z entuzjazmem.

Stary aktor usiłował spojrzeć na nią czule, ale nadaremnie czynił z gębą rozmaite sztuki. Zdawało się, że się zawstydził.

- Dziecko musi być zmęczone, niech się prześpi, a my pogadamy - powiedział cicho.

Zdjął nieszczęsną kartkę z jej szyi i razem z przyjacielem rozpoczął usilne namowy, aby wytłumaczyć dziewczynce, że przyzwoite, rozsądne osobistości w jej wieku powinny snem pokrzepić nadwątlone w podróży siły. Basia jednak starała się wytłumaczyć im na swój sposób, że poznawszy tak miłego młodzieńca, jakim jest pan Szot, nie myśli czasu marnować na sen. Ma być wielka, roześmiana zabawa i jakaś huczna awantura, połączona ze skakaniem przez krzesła i łapaniem za nogę. Pan Szot, młodzieniec roześmiany i pełen ochoty do życia, wybornie się do tego nadaje.

- Widziałeś coś podobnego?! - krzyknął Walicki.

- Sam byłem taki! - zawołał Szot radośnie.

- Jaki byłeś? - zainteresowała się ciekawa kobieta.

- Basiu - rzekł Walicki usiłując głos uczynić wielce przymilnym. - Czy pójdziesz spać, jeśli ci opowiem bajkę?

- Pójdę!

- No, to jazda!

- Miarkuj się - zaśmiał się Szot. - Przemawiasz do kobiety!

Walicki zabił go na krótki czas morderczym spojrzeniem i czym prędzej przygotował posłanie na ceratowej kanapie. Ułożył na niej dziewczynkę i rzekł:

- Spij teraz spokojnie!

- A gdzie bajka? - zawołała Basia z rozzaleniem.

- Natychmiast opowiedz bajkę! - krzyknął Szot. - Nie wolno cyganić!

- Dam ja ci bajkę, ty koniu! - zamruczał aktor. - Jaką chcesz bajkę, Basiu, wesołą czy smutną?

- I wesołą, i smutną!

Walicki zerkając w stronę przyjaciela, czy się z niego nie naigrawa, zaczął opowiadać ni w pięć, ni w dziewięć. Przypomniawszy sobie co prędzej kilka bajek, pomieszał je jak groch z kapustą, zszywał je niezręcznie i stworzył jakiś piekielny utwór, nadziany diabłami i gadającymi zwierzętami. Dziewczynka słuchała uważnie, wkrótce jednak wybitny jej umysł zrozumiał, że miły wujaszek szachruje, a dobry jej smak okazał wyraźne zniechęcenie.

- E! Taka bajka... - powiedziała sennie.

- Śpi! - szepnął Szot. - Uważaj teraz, abys nagle nie zazgrzytał.

- Powinienem ci kark skrócić - mówił Walicki, jak tylko umiał najciszej - bo mnie kompromitujesz przed dzieckiem, ale to sobie odłożę na później. Dawaj tę kartkę!

Basia spała, zarumieniona, z rozchylonymi ustami; krótkie jasne włosięta w straszliwym były nieładzie.

- Boże, jakie to śliczne! -. pomyślał stary aktor z rozrzewnieniem, patrząc na nią równocześnie zbójckim wzrokiem. Myśli pana Walickiego były zgoła inne niż jego okrutne spojrzenie.

- Nic z tego nie można odczytać - mówił cicho Szot. - Przynajmniej, bardzo mało.

Pochylił się nad kartką pani doktorowej jak przyrodnicy nad mikroskopem.

- Same łyzy! - mruknął aktor. - Ty masz lepsze oczy... Jaka to może być litera?

- W każdym razie wielka litera, bo i plama większa. Może to być T, może być P. Czekaj! To jest z całą pewnością t, małe t... Druga litera z rzędu. Przypuściwszy, że jest to imię tajemniczej osoby, "należy pomyśleć, jakie imiona mają literę t - drugą z kolei.

- Wiem! - oznajmił Walicki zduszonym głosem. - Ptolomeusz! To musi być chyba Ptolomeusz.

- Druga litera w słowie "kretyn" jest r. Zapamiętaj to sobie, bo ci się to przyda do prywatnego użytku. Czyś ty upadł w młodości ze schodów na ciemność? Skąd Ptolomeusz? Jaki Ptolomeusz?

- Słyszałem kiedyś o takim imieniu.

- Słyszałeś, kreaturo, w teatrze o królewskiej dynastii egipskiej Ptolomeuszów.

- Być może... W każdym razie słyszałem. Bądź mądrzejszy!

- Będę mądrzejszy. To może być Stefan.

- O! To bardzo pomysłowe, przyznaję.

- Ale to nie jest Stefan...

- Czemu uciekasz z dobrego śladu?

- Prosta rzecz! Rozmazany Stefan utworzyłby plamę z sześciu liter, byłyby krótki, a długonoga litera f spłynęłaby bardzo w dół. Stefan mi nie odpowiada, że Stefana nie jestem zadowolony. O, osły dardanejskie! Przecież to jest Stanisław.

- Dlaczego Stanisław jest lepszy?

- Bo plama rozciąga się wzdłuż, jest potężna i może pokryć dziewięć liter.

- Nie mam nic przeciwko Stanisławowi, tym bardziej że jedna litera ma kształt wysoki. To ł!

- Tak. Widać dość wyraźnie ł, a nad jedną literą, prawie w środku, ocalała kropka. Rozsądni ludzie, biegli w ortografii, stawiają kropki nad chudą literą i. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w tym atramentowym sosie utonął jakiś Stanisław. Teraz to nawet wyraźnie widać! Bądź pozdrowiony, Stanisławie...

- A dlaczego ten Stanisław wygląda jakoś dłużej, jakby się rozpędził? Coś tu musiało być poza ostatnią literą!

Badali obaj bardzo długo wątpliwe miejsce kręcąc głowami, co bardzo pomaga przy myśleniu, poruszając mózg.

- Nic nie widać - rzekł Szot. - Basia musiała rozmazać rękawem Stanisława. Więc Stanisław?

- Zrobione! Nie może być inaczej. To doskonała zabawa takie odgadywanie. Przyznam się, że się po tobie nie spodziewałem takiej bystrości. Na oko blondyn - idiota, a jednak... spokojnie! Dziecko śpi... Szukaj dalej.

- Dalej jest łatwo. W tym miejscu ocalały całkowicie cztery litery, widzisz? - "Olsz"...

- To głowa nazwiska, do nóg niedaleko.

- I nogi też widać: "ski".

- Cała trudność, aby ujrzeć brzuch tej szlachetnej osoby. Ilu liter brak w środku?

- Chyba dwóch, na więcej nie ma miejsca. Zresztą po co długo myśleć! To jest Olszewski.

- Bardzo do niego podobny... Więc razem byłoby: Stanisław Olszewski. Mamy go!

- Jeszcze go nie mamy. Przyznaję, że Olszewski sam się naprasza, aby go wciągnąć do tej awantury, jednakże równie dobre do tego prawa może mieć jakiś pan Olszowski.

Olszowskich może być w stolicy równie tyle, co Olszewskich, a Olszewskich prawie tyle co olch na naszej rodzanej ziemi.

- Zabiłeś mi olchowego klina w głowę.

- Jest nadzieja, że klin puści pędy, bo olchy lubią wodnisty grunt. Nie dotykaj tego ciężkiego przedmiotu, bo ja rzucę w ciebie butem. I nie przerywaj wspaniałego mego rozumowania. Musimy się zastanowić, czy w brzuchu tego męża tkwi e czy o.

- Zastanówmy się! Jak ty myślisz?

- Ja myślę, że rozmazane e byłoby chude, rozmazane o musi zostawić plamę okrągłą, wcale kształtną, taką właśnie jak ta. Dziewięć przeciwko jednemu, że to jest o. Ten tajemniczy pan ma brzuch zaokrąglony. Zgódźmy się, że Olszowski, ale to jeszcze nie wszystko. Skąd my możemy wiedzieć, czy to przypadkiem nie jest pani Olszowska?

- Jak to skąd? "ski" widać wyraźnie.

Szot pokręcił głową, niezadowolony.

- Przyznaję, ale po ostatniej literze jeszcze coś pływa w atramencie. Co to może być?

- Czy ja wiem? Pewnie zakrętas.

- Ktoś zakręca cudze nazwisko w kozi ogon? Przyznaję, że mnie to cokolwiek niepokoi, ale zbadamy jeszcze tę sprawę; najpierw musimy odczytać adres, a adres jest bardzo zapłakany.

- Warszawę widzę wyraźnie "...szawa".

- Może być także Nieszawa.

- Nie może być, bo ta trajkotliwa dama, która wsadziła Basie do pociągu, ogłosiła, że ją wysyła do Warszawy. Trudno było nie słyszeć, bo słyhać było w całym pociągu. Warszawa nie ulega żadnej wątpliwości, Szukaj ulicy. Czy ulica długa, czy krótka?

- Raczej krótka. Gdyby to była Aleja Jerozolimska trzeba by na jej zamazanie dwóch litrów mleka, a dziewczynka wylała jedynie szklankę. Poczekaj no! Coś tu świta na tej ulicy. Początku nie widać, bo błoto, ale u wylotu jest nieco czyściej. Mam, jak Pana Boga kocham, mam! Widzisz?

- Mało widzę, ale będę usiłował ci uwierzyć. Czy to długie i chude nie jest przypadkiem literą "i" Szot otarł pot z wysilonego czoła, bystry bowiem jego rozum dawał mu znać w ten sposób, że jest u kresu wysiłku. Wpatrzył się drapieżnym spojrzeniem w niebieską plamę, w której jak rybki w mętnej jeziorce pływały litery. Oczyszczył tekturę pazurkiem i szukał w odmęcie.

- Widzę! - szeptał gorączkowo. - Widzę zarysy kilku liter. I kropkę nad jedną literą!

- To i!

- Genialnie to pomyślałeś, pała zakuta! Nie przeszkadzaj. Jest!

- Co jest? - spytał głucho Walicki.

- Jest: "...ielna"?

- Co znaczy "ielna"?

- Cóż może oznaczać innego niż "Chmielna"?

- Mógłbyś być detektywem - mruknął przyjaciel z głębokim uznaniem. - Ha! Pan Stanisław Olszowski mieszka przy ulicy Chmielnej. Patrz! Jak ona rozkosznie śpi i nie wie, że znaleźliśmy jej opiekuna, może wuj, może stryja? Jak jednak znaleźć tego ananasa przy ulicy Chmielnej? Numeru nie widać?

- Nie widać. Coś takiego połamanego tkwi tutaj, co przypomina 7, ale to niepewne.

- Jedna cyfra?

- Musiało być ze dwie, ale połączyły się w jedną plamę. Cyfry są symbolem oszczędności...

- Więc jakże znajdziemy tego pana? Trzeba będzie wzdłuż całej ulicy Chmielnej chodzić od domu do domu. Ładna robota mnie czeka...

- Nie rób tego, bo gdy cię zobaczą z taką gębą, włączącego się od domu do domu, zaarrestują cię. Szukajmy inaczej. Zbiegnij, bracie, na dół do sklepiku i pożycz książkę telefoniczną.

Aktor stropił się.

- Do sklepiku nie pójde! - oświadczył ponuro. - Mam tam zamazaną hipotekę, za masło i herbatę.

- Słusznie. Ja też tam nie pójde z tych samych powodów, ale na pierwszym piętrze mieszka dentysta.

- A czy to bezpiecznie pójść do dentysty? Ha! Czego człowiek nie zrobi dla dziecka...

Po chwili przyniósł opasłą księgę, którą zaczęli przeglądać z gorączkowym pośpiechem.

- Olszewskich jest około pięćdziesięciu płci obojga, ale żaden się nie nadaje. Jest nawet i Stanisław, ale nie mieszka przy Chmielnej. Całe jego szczęście... Policzymy Olszowskich. Anteczku, mam, mam!

- Trzymaj go! No i jakże?

Szot czytał:

"Olszowski Stanisław, literat, ul. Chmielna 15".

- Literat? - zdumiał się Walicki. - Ależ ja go znam! To znakomity pisarz, grałem w jego sztuce.

- To ten? Patrzcie, patrzcie! Taki głośny, taki sławny, a tak długo trzeba było go szukać. Rozumiem nawet i tę siódemkę; ta żyrafa nie jest wcale siódemką, lecz jedyką. Wszystko się doskonale zgadza, pierwszorzędnie się zgadza.

Walicki zazgrzytał zębami z wielkiej radości.

- Kamień spadł mi z serca - mówił patrząc na śpiące dziecko. - Gdybyśmy byli nie odnaleźli tego pana, trzeba by było odwieźć małą do tego miasta, w którym wsadzono ją do pociągu, albo prosić o pomoc policję. A wiesz, co uczyniłbym najchętniej?

- Jako człowiek o wybitnej inteligencji nie odgadnę nigdy, o czym może myśleć istota na niższym stopniu rozwoju.

Stary aktor z ponurą twarzą puścił mimo uszu wesołą uwagę przyjaciela. Mówił w zamyśleniu, patrząc w okno:

- Najchętniej porwałbym tę dziewczynkę... Sam jestem na tym bożym świecie... Nigdy mi się nie wiodło... Nędzarz, łapserdak, Łazarz i Hiob w jednej osobie... Zawsze w jakiejś ciemnej norze, zgryziony, skwaśniały i zły... Ja już samą gębą straszę ludzi. To nie twarz to gniew żywiołów... Czy uśmiechnął się kto kiedy do mnie? Nie pamiętam. Może to dziecko, może ta dziewczynka uśmiechnęłyby się... O, gdybym był bogaty, gdybym mógł ją odziać i nakarmić... Basia... Basia... Nazywa się Basia... czy ty wiesz, że to niewinne stworzenie to jedyne dziecko tuliło się do mnie? A ja odwracałem twarz, żeby jej nie przerazić... Biedactwo drogie! Promyczek, złoty promyczek... O, gdybym ją mógł zatrzymać! Kamienie tłukłbym na drodze, pracowałbym jak czarny wół... Gdyby... Ale nie ma o czym mówić. Nie śmieję się ze mnie, chociaż to wszystko razem jest bardzo śmieszne...

- Ja wcale się nie śmieję! - szepnęła młody aktor, patrząc na nieoczekiwane wzruszenie dobrego człowieka, który udawał krokodyla. - Ja się nie śmieję... To naprawdę rozkoszne dziecko i niech je Bóg zachowa.

Milczeli długą chwilę, potem stary aktor ciężko westchnąwszy rzekł:

- Trzeba ją będzie zaprowadzić do pana Olszowskiego...

- Jeszcze dzisiaj?

- Tak, jeszcze dzisiaj. Nie ma jeszcze ósmej. Trzeba koniecznie, bo gdzie ją przytulimy?... Na tym barłogu? Czym ją nakarmimy? śledziem?

- O, zbudziła się! - zawołał Szot.

Basia przetarła ręką oczki i rozejrzała się, jakby pragnąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Ujrawszy ponurą i straszliwie wykrzywioną gębę "starego" swego przyjaciela, uśmiechnęła się do niego rozkosznie i wyciągnęła ku niemu ręce wołając:

- Chodź, chodź tutaj!

Stary niedźwiedź zarumienił się jak panna z wielkiego szczęścia i tak zgrzytnął z radości zębami, aż dziw, iż iskry się nie posypały.

IV

WIELKI PISARZ

I MAŁA DZIEWCZYŃKA

Znakomity pisarz, autor dramatu: Dzbanek bez ucha i wielu powieści, wśród których najgłośniejszą była Srebrna topola, wrócił do domu po północy. Wracił w kiepskim humorze, gdyż nudził się rozpaczliwie na premierze dramatu, w którym dziadek zamordował wnuczkę, a to drobne rodzinne nieporozumienie przyprawiło dwie osoby o samobójstwo, a jedną o pomieszenie zmysłów. "Jeden sufler uszedł z życiem". Poza tym padał deszcz, a dozorca długo nie otwierał bramy.

Pan Olszowski wszedł cicho do mieszkania, aby nie zbudzić swojego służącego, młodego chłopaka, niezmiernie sympatyczną i wesołą kreaturę, który się zwał Michaś. O nazwisku nie wspominamy, gdyż nie zaważyło ono na historii świata. Delikatność jego pana, stąpającego na palcach, by nie zmaćnić spoczynku przyjemnego urwipołcia, była cokolwiek zbędna. Michaś spał tak mocno, że mógłby zrobić karierę jako ósmy brat śpiący. Gdyby nagle zaczęto wzywać ludzkość na Sąd Ostateczny, wszyscy zerwaliby się na równe nogi, na Michasia jednak musiałby Archanioł trąbić kilka razy, i te bardzo potężnie. Pan Olszowski mógł śmiało wejść z wielkim hałasem.

Sławny autor wszedł do sypialni, zapalił lampę i ziewnąwszy rozdzierająco począł leniwym ruchem zdejmować odzienie. W tej chwili zwrócił przypadkiem spojrzenie na łóżko, swoje rodzone łóżko, i krzyknął. Jął gdyby nie dowierając własnemu spojrzeniu, przetaił oczy i spojrzał raz jeszcze: w jego łóżku, szeroko rączki rozrzucawszy, spała najróżowszym ze snów mała śliczna dziewczynka.

- Muszę mieć halucynacje! - rzekł zdumiony pan Olszowski do jeszcze bardziej zdumionego pana Olszowskiego.

Obaj ci zdumieni panowie w jednej osobie stanęli bezradni nad przedziwnym widowiskiem. O halucynację nie mogło być mowy, bo jeśli nawet śpiąca dziewczynka była złudzeniem wzrokowym, najoczywistszą oczywistością była sukienka, płaszczyk, torebka i inne fata łaszki damskiego rodu, porządnie ułożone na fotelu; proste rozumowanie nasuwało przerażający wniosek, że i dziewczynka jest prawdziwa.

Może ja wszedłem do cudzego mieszkania? - pomyślał pan Olszowski, ratując tym nieprawdopodobnym przypuszczeniem swój zdrowy rozum od nagłej zagłady.

Rozejrzał się i pojął dobitnie, że znajduje się we własnym mieszkaniu. W straszliwym poruszeniu wszystkich władz umysłowych zaczął sobie przypominać gwałtownie, czy wśród

dalszej i bliższej rodziny nie ma przypadkiem takiej dziewczynki, którą ktoś bez uprzedzenia przysłał do niego z niepotrzebną wizytą. Policzył szybko wszystkie figury w galerii krewnych i nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek słyszał o takiej istocie. Z bliższej rodziny posiada jedynie ciotkę. Wszystko przemawia przeciwko temu, aby ta różowa drobina była jego ciotką. Ciotka ma metr osiemdziesiąt siedem wzrostu i malutkie wąsiki, tak że przy nieznacznej zmianie charakterystyki mogłaby być napoleońskim grenadierem. Kimże przeto, do stu tysięcy książek, jest ta bezczelna dama zajmująca jego łóżko?

Ogarnęła go taka piekielna furia, że chciał potrząsnąć śpiącym maleństwem i krzyknąć:

- Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie!

Ostatek wzburzonego rozsądku powstrzymywał go jednakże przed tym gwałtownym czynem. Rozsądek wytłumaczył mu szybko i dobitnie, że - jak to stwierdzają najwięksi uczeni - młode osoby, szczególnie zaś płci damskiej, nagle zbudzone, podnoszą niezrozumiały wrzask i czynią okropny harmider, najczęściej oblaną łzami. Mała dziewczynka, jeśli jest odpowiednio uzdolniona w tej mierze, potrafi narobić takiego krzyku, że cały dom stanie na nogach. Wobec tego pan Olszowski myślał, że sam rozplacze się z rozpacz.

- To ten opryszek Michaś winien jest wszystkiemu! - pomyślał gwałtownie i pobiegł budzić Michasia.

Ponieważ żadne słodkie namowy, żadne rozsądne perswazje, żadne zaklęcia i groźby nie zdołały zdrowo śpiącego Michasia doprowadzić do przytomności, zirytowany pan Olszowski chwycił dzbanek z wodą i obfitą jej strugą skropił niewinną głowę młodziana. Młodzianowi musiał przyśnić się potop, bo krzyknął potężnym głosem i, chcąc ująć mokrej zagładzie, zerwał się z posłania. Rozespana dusza nie chciała jednak w żaden sposób wejść z powrotem w jego ciało, chociaż było którędy, rozwarłe bowiem usta serdecznie rozziewanego chłopaka tworzyły szerokie wrota. Pan Olszowski wiele stracił czasu, zanim ospałego ducha weгнаł w ślaniające się ciało, które otarłszy oczy objawiło przeraźliwe zdumienie.

- Czy się pali? - krzyknął obudzony chłopak.

- Chodź ze mną - mówił gorączkowym szeptem pan Olszowski idąc do sypialni.

Tragicznym ruchem wyciągnął rękę w stronę swego łóżka i spytał groźnie:

- Kto to jest?

- Basia - odpowiedział chłopak. - Albo co?

- Basia? Jaka Basia? Odpowiadaj, trutniu, bo będzie nieszczęście. Kto ją tu położył do mego łóżka?

- Ja! Albo co?

- Ty położyłeś?... Dobrze, dobrze, coraz lepiej! Skąd ją wziąłeś? Słuchaj, chłopcze, mów prawdę, bo ci wydrę serce.

Groźba była tak okropna, że Michaś, który właśnie ziewał, z wielkim stukiem kłapnął zębami.

- Za co, proszę pana? Przecie dziecko chciało spać. Tak była śpiąca, że leciała przez ręce. Co miałem robić?

- Ale skąd ją wziąłeś?

- Znikąd jej nie brałem. Przyszło wieczorem dwóch panów z teatru...

- Jakich panów, z jakiego teatru?

- Jeden młody, z przedziałkiem, a drugi starszym i strasznie zły. Tego starszego to ja znam, bo grał wtedy, kiedy pana komedię odgrywali. Walicki się nazywa. Przyprawdzili dziecko i ten starszy mówił, że pan o wszystkim wie i że to bardzo nieładnie, że pan nie czekał na dworcu. Co ja miałem robić? Ten starszy zgrzytał zębami i powiedział, że mnie udusi, jeżeli dziecka nie wezmę i nie dam mu jeść. Przez godzinę tu siedzieli, a ten stary pilnował, żeby z dzieckiem było wszystko w porządku. Powiedział, że się pan bardzo ucieszy, bo to bardzo dobra dziewczynka, a pan jest jej wujem.

- Że ja jestem wujem? - zduszonym głosem krzyczał pan Olszowski. - I ty, czorcie, uwierzyłeś w to wszystko?

- Czemu nie miałem wierzyć? - sennym głosem odpowiedział Michaś. - Chciałem ją położyć na dwóch fotelach, ale ten stary zaczął krzyzczeć na cały dom, że pan może spać na fotelach, ale ona musi w łóżku, bo to delikatne dziecko.

Pan Olszowski chwycił się obiema rękami za głowę.

- Idź spać! - krzyknął. - Jutro o tym pogadamy! Polecenie było spóźnione, bo Michaś już spał stojąc. Usłyszawszy rozkaz, resztką przytomności zaczął iść przed siebie.

- Uważaj, szafa! Nie tędy, wstrętny chłopcze...

Michaś, jak lunatyk, minął szafę i trafił we drzwi.

“Na poduszkę siedmiu braci śpiących!” - jak mówi Dickens. Jeszcze się nie położył, a już spał.

Znakomity autor przedstawiał widok godny pożałowania. Otumanionym wzrokiem patrzył na śpiącą dziewczynkę i usiłował myśleć, co zrobić z tym fantem.

Jakiś zwariowany aktor przyprowadził mu dziecko. Albo się pomylił, albo uczynił nierozumny żart. Wszystko to się, oczywiście, wyjaśni, ale dopiero jutro, lecz co robić w tej chwili?. Należałoby pójść spać, pan Olszowski jednak mniemał słusznie, że oka nie zmruży. Różni ludzie różne rzeczy znajdowali we własnych łóżkach, ale jest to rzecz niesłychana, aby

we własnym łóżku znaleźć jakieś nieznane dziecko. Spojrzał na nie pochmurnie i usiłował przypomnieć sobie, czy go gdzie przypadkiem nie widział. Nie, nie mógł widzieć, byłby je bowiem pamiętał. Dziecko jest śliczne. Rozchyliło usteczka i śpi cudownie spokojnie.

- Jutro będziemy rozmawiali, moja panno! - rzekł cicho.

Rozejrzał się - zatroskany - rozmyślając, gdzie by ją ułożyć. Ten bałwan Michaś tak chrapie, że szkoda fatygi, aby go budzić raz jeszcze, a sprawa z urzędzeniem posłania jest bardzo złożona. Machnął- więc ręką, zgasił światło i przeszedł do gabinetu, w którym sporządził sobie jakie takie legowisko.

Dość burzliwe miał sny, zdawało mu się bowiem, że jest w ogromnym teatrze, a na każdym krześle siedzi dziecko; aktorowie spływają ze sceny na skrzydłach, każdy bierze jedno, leci do jego domu i kładzie dziecko na jego łóżku. Na tym łóżku gniecie się już tysiące chyba dzieciaków i nagle wszystkie zaczynają drzeć się opętanym wrzaskiem. Pan Olszowski, przerażony, usiłuje uciec, ale jakiś stary aktor chwytą go za nogę i kąsa go ogromnymi zębami. Pan Olszowski zrywa się z posłania w wielkim przerażeniu i otwiera szeroko oczy. Nie widzi gryzącego go w łydkę aktora, ale najwyraźniej słyhać dziecięcy, wysoki głosik, pełen chichotów i rozradowanych okrzyków. Ki diabeł? - myśli pan Olszowski w zdumieniu. Naraz przypomina sobie wszystko i rozumie, że ta rozkrzyczana rzeczywistość znajduje się naprawdę w jego domu. Po cichu zbliżył się do drzwi i zaczął nasłuchiwać. W kuchni odbywa się jakieś nadzwyczaj nie wesołe zebranie: mała dziewczynka czyni piskliwy zgiełk, ten drab Michaś buczy i huczy przedziwnymi głosami, a jakiś trzeci głos, najwyraźniej damski, wtóruje im dyszkantem. Tak tam jest wesoło, że niedługo rozpoczną się tańce. Znakomity autor, niewyspany i zły, zajrzał przez uchylone drzwi i ujrzał "trójkę hultajską", złożoną z Basi, Michałka i żony dozorca, osoby milej, lecz tak obszernej, że dokoła niej mogłoby maszerować wojsko. Widać, że Michaś, nie umiając sobie dać rady z dziewczynką, zawezwał pogotowie ratunkowe w osobie pani Walentowej. Pan Olszowski zadzwonił niecierpliwie.

- Przyprowadź tutaj to dziecko! - krzyknął w stronę roześmianego Michasia.

Chłopak wepchnął Basie do gabinetu, sam zaś wolał zniknąć w bezpiecznym oddaleniu. Dziewczynka wbiegła szybko i zrozumiałwszy z dotychczasowych doświadczeń, że znalazła się w gronie bardzo przyjemnych i życzliwych ludzi, po króciutkiej chwili wahania zaczęła wspinać się na kolana ozdoby literatury ojczystej. Przyjrzała się ciekawie nasrożonej twarzy "nowego pana" i najwyraźniej kpiąc sobie z tej srogości nadstawiła policzek.

- Pocałuj mnie! - powiedziała.

Pan Olszowski zdumiał się i przez krótką chwilę podobny był do posągu żony Lota, zamienionej w słup soli.

- Pocałuj mnie! - wezwała go Basia, ale już z akcentem zniecierpliwienia.

Znakomity pisarz machinalnie dotknął ustami jej płowej główki. Dość mizerny był to pocałunek. Basia jednak przyjęła go łaskawie za dobrą monetę i przyzwoliła na dłuższą rozmowę. Rozmowa była jednostronna, gdyż pan Olszowski cierpliwie pytał, a Basia odpowiadała śmiechem albo chwytnością go za wąsy. Okazało się na żywym przykładzie, że historia: "gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu" - nie jest pozbawiona bystrości. Niczego nie można się było dowiedzieć od tej dziewczyny. Było jej dobrze, co dnia zmieniała miejsce pobytu, każdy odnosił się do niej życzliwie, więc wszystko było w porządku. Po co sobie zawracać głowę czym innym? Wobec tego i pan Olszowski zrezygnował z dochodzeń i gorzko uśmiechnięty przyglądał się temu tajemniczemu dziecku. Owszem, dziecko jest śliczne i niezmiernie miłe, co on jednak ma zrobić z tym dzieckiem? U siebie, na kawalerskim gospodarstwie, nie może go zatrzymać, należy przeto czym prędzej czynić poszukiwania i oddać je, komu należy. Michałek wspominał o aktorze Walickim. Co to za aktor? Pan Olszowski nie mógł sobie przypomnieć, ale zapewne łatwo go odnajdzie. Ostatecznie policja odnajdzie wszystko.

Tak głęboko rozmyślał nad tymi sprawami, że nawet nie zauważył, iż dziewczynka ująwszy go za rękę zaczyna go prowadzić. Szedł za nią machinalnie i czynił, co mu kazała. Na jej żądanie musiał ją podnieść, aby się mogła przejrzeć w lustrze, musiał wyjmować książki z biblioteki, aby ich mogła dotknąć, musiał wreszcie obejrzeć jej torebkę i jakiś kawałek tektury. Nagle okazał żywe zainteresowanie. Na tekturze, zamazanej i smętnie zalanej atramentową cieczą, ujrzał wypisane wyraźnie swoje nazwisko i adres. Nie wiedział o tym, że Szot naprawił uszkodzone litery i wrył je z naciskiem, jakby w spiżu. Przyglądał się bezradnie tej kartce, obracał ją na wszystkie strony i tyle wiedział potem, co przedtem.

- Awantura arabska! - rzekł sam do siebie. - Co ja mam zrobić? - krzyknął głośno.

- Skakać! - poradziła mu Basia.

Rada była bardzo rozumna, lecz dorośli ludzie sami nie wiedzą, czego chcą. Ten duży człowiek nie zdradzał wcale ochoty do skakania. Przypiął się do telefonu i szturmował wszystkie teatry szukając aktora Walickiego. Odpowiedziano mu, że łązi taki po bożym świecie, nikt jednak nie wie, gdzie mieszka i czy przypadkiem nie włóczy się po prowincji.

Basia nie opuszczała go ani na chwilę; ogromnie się jej podobał ten wysoki pan, który tak zabawnie wykrzykuje do czarnego pudełka. Ze wszystkich dotąd spotkanych ten był najprzyjemniejszy, taki sam przyjemny jak Michałek.

Pan Olszowski był sławnym pisarzem, nie wiedział jednak ani w ząb, co zrobić ze smarkulą, kręcącą się jak wrzeciono, zadającą sześćdziesiąt pytań na godzinę i śmiejącą się z

najrozsądniejszych odpowiedzi. Zawezwał więc na naradę panią Walentową, która wtoczyła się do pokoju jak ciężka armata na pozycję i udzieliła mu zbawiennych rad.

- Wszyscy w całej kamienicy mówią, proszę łaski pana, że pan powinien zatrzymać to dziecko! - rzekła uprzejmie.

- Jak to: wszyscy?! - krzyknął pan Olszowski. - A któż o nim wie?

- Wiedzą, wiedzą... Już wczoraj, kiedy dziewczynę przyprowadzili, niektórzy przychodzili ją oglądać, a dzisiaj, kiedy pan jeszcze spał, była tu cichaczem cała procesja.

- O, Boże! - jęknął pan Olszowski. - Czy pani oszalała? To dziecko przyprowadzono do mnie przez pomyłkę!

- Czy przez pomyłkę, czy nie przez pomyłkę, tego już ja nie wiem. Ale to wiem, że Pan Bóg je tu przyprowadził, aby pan miał weselsze życie. To słońce, a nie dziewczyna! I pan ją chce oddać?

- A cóż ją z nią będę robił?! - krzyknął pan Olszowski.

- Jeżeli pan jest bez serca, to ją pan wyrzuci na bruk, a wtedy ręka boska ciężko pana skarzę, ale jeżeli pan ma sumienie, to ją pan wychowa.

- Wychowam? Przecie mi ją odbiorą!

- Niech spróbują! - zagrzmiała opasła dama tak potężnie, że znakomity autor cofnął się jak przed ryczącym naporem burzy. - Każdy ze schodów zleci na złamaną gębę. O, niech pan patrzy, jak się to do pana tuli, jak ptaszyna - dodała głosem już mniej grzmiącym.

Pan Olszowski zrozumiał, że "kamienica" przyjęła Basie skwapliwie na swoje kamienne łono, postanowił działać na własną rękę. Zobowiązał dzielną panią Walentową do czulej opieki nad dzieckiem, zleciwszy to samo Michasiowi pod groźbą uderzenia, sam zaś udał się na poszukiwanie. Obszedł wszystkie teatry, wszędzie pytając o Walickiego. Owszem, znano go i pan Olszowski przecie znać go powinien, aktora ze swej sztuki. Zaczął sobie mętnie przypominać, że istotnie widział oblicze, które wedle powszechnego opisu smutne było jak cmentarz o północy. Trzeciego dnia dopiero dowiedział się o jego adresie i pobiegł tam czym prędzej. Jakiś młodzieniec objaśnił go, że Walicki wyjechał z wędrownym teatrem na kresy, a wróci za miesiąc. Pan Olszowski jęknął głucho.

- A jak się miewa Basia? - spytał go nagle blondynowaty młodzian.

Znakomity pisarz rzucił się na niego jak tygrys.

- Czyje to dziecko?! - krzyknął.

Szot opowiedział, co wiedział: że to, sierotka, znaleziona w pociągu, wysłana z kartką na szyi pod adresem pana Olszowskiego; że biedne dziecko byłoby zginęło, gdyby nie Walicki, który je odprowadził.

- Ależ to jakaś straszna pomyłka! - mówił gorączkowo autor. - Ja nie mogę trzymać u siebie tej dziewczyny.

- To sierota... - rzekł cicho Szot.

- Być może, ale skądże ja do tego przychodzę?... Czy panowie dobrze odczytali kartkę?

- Adres nie podlega żadnej wątpliwości. Zbadaliśmy to starannie. Ja myślę, że to dobry los obdarzył pana tym ślicznym dzieckiem. Mój przyjaciel Walicki zazdrościł panu serdecznie.

- Tak pan myśli? A pan Walicki mi zazdrości? No to sprawa jest prosta: niech sobie panowie wezmą tę dziewczynę.

Wesoły pan Szot bardzo spoważniał.

- Panie autorze! - mówił drżącym głosem. - Niech nam pan wierzy, że gdyby istniał chociaż cień możliwości, przygarnęlibyśmy to dziecko obiema rękami. Ale...

- Ale co?

- Ale...- mówił Szot z trudem - ale... my sami jesteśmy często głodni... A dziecko, przecie chyba pan wie... I to jeszcze takie dziecko...

- Przepraszam pana -rzekł autor, nagle wzruszony. - Bardzo serdecznie przepraszam... Widzi pan... taki nagły kłopot... więc jestem nieco kwaśny. Dziecko jest rozkoszne! Przyznam się panu, że pokochałem tę kruszynę... A jeśli szukam tych, do których ona należy, to raczej z troski o dziewczynę. Ja nie umiem sobie dać z nią rady i nie wiem, jak się wychowuje dziecko.

- Ech! - zawołał już weselszy Szot. - Pan wszystko potrafi, pan jest genialnym człowiekiem. Pisarz zarumienił się lekko.

- Przesada, młodzieńcze, przesada! - rzekł z tajoną radością. - Ale zrobimy tak: ja zatrzymam dziecko u siebie, nie przerywając poszukiwań, gdyż z całą pewnością twierdzę, że w tym wszystkim tkwi jakaś niewytłumaczona pomyłka. Będę szukał powoli i z rozmysłem. Wprawdzie życie moje będzie wywrócone do góry nogami, ale trudno... Pan mówi, że to sierota?

- Wedle wiadomości mego przyjaciela zupełna sierota. Ktoś obcy wsadził ją do wagonu i polecił ludzkiej dobroci. Ostatecznie można byłoby poszukać na tej stacji.

- I tam poszukamy. Do widzenia, drogi panie... Jest pan zacnym człowiekiem.

- Pan jest zacniejszym!

- Wobec tego zdaje mi się, że pan dostanie rolę w mojej nowej sztuce - zawołał autor.

- O, Boże - rzekł Szot składając ręce jakby w zachwyceniu.

Gdy Olszowski wrócił do domu, Basia przyjrzała mu się pilniej i zapytała, nadąsana:

- Gdzie byłeś?

Znakomity autor zaczął jej tłumaczyć długo i szeroko, że chodził po lesie i szukał grzybów.

- Ty coś kłamiesz! - rzekła ona kręcąc główką. - A gdzie grzyby?

Ponieważ nie mógł znaleźć w kieszeni grzybów, kłamstwo było oczywiste i oto ku swojemu niezmiernemu przerażeniu autor wielu książek mocno się zaczerwienił.

Basia prowadziła "całe gospodarstwo", więc pan Olszowski, wyszedłszy rano, nie mógł, wróciwszy w południe, poznać swojego domu. To już nie był dom, lecz bigos hultajski: wszystko w nim wędrowało z miejsca na miejsce, każde krzesło łąziło z kąta w kąt, a książki zmieniały miejsce pobytu według jej uznania. Urwipoleć Michałek nie tylko jej nie przeszkadzał w tym piekielnym zajęciu, lecz znakomicie pomagał. Przeraźliwa jego zuchwałość, zrodzona z uwielbienia dla Basi, doprowadziła do tego, że jednego wieczora rzekł do swego rodzzonego chlebobawcy:

- Mógłby pan trochę wcześniej wracać do domu, bo Basia się gniewa, jak pana długo nie ma...

Pan Olszowski w nagłej furii cisnął w niego trzynastym tomem encyklopedii, ale nie trafił. Nie da się jednak zataić, że nazajutrz wrócił już o zmierzchu i asystował przy układaniu książeczki Barbary do snu. Ucałowała go mocno, zarzuciwszy rączki na jego szyję, potem szepnęła mu do ucha:

- Coś ci powiem!

- Co mi powiesz, maleńka?

- Będziemy mówić pacierz.

Znakomity autor wypchnął za drzwi Walentową i rzekł cicho:

- Dobrze, Basieńko. Mówmy pacierz...

- To uklęknij!

Ukląkł przy jej posłaniu, a ona przy nim. Pan Bóg wychylił się z nieba i nasłuchiwał, uśmiechnięty, jak

dziecko gada do Niego niezdarnie poplątane słowa, jakąś swoją własną modlitwę, bez ładu i składu, jakby ptak świegotał.

- Już koniec! - oznajmiła z triumfem. - Możesz wstać.

Ale pan Olszowski jeszcze klęczał i coś szeptał. Od wielu, wielu lat ani nie klęczał, ani nie szeptał, więc pewnie dlatego podniósł się z niejakim trudem.

Również z trudem czynił poszukiwania. Jakoś mu się odechciało... Nie miał zresztą czasu, gdyż obiecał solennie, złożony przed Basią siedemdziesiąt siedem przysięg, że napisze dla niej prześliczną książeczkę, ale taką, "aby była śmieszna, że strach!" Ponieważ nigdy nie pisał takich książeczek, więc szło mu niesporo. Każdego jednak poranka odczytywał jej głośno to, co napisał wieczorem.

Zdawało się, że kilkaset widzów w teatrze nie umiało tak cieszyć się rozgłosnie, jak to potrafiła panna Barbara. Skakała, biła oklaski piszcząc z nieludzkiej uciechy. Rzuciła się na szyję poecie, całując go z całej duszy, a poeta czerwienił się i tak był uradowany, jakby go uwieczono laurowym wieńcem. Wspaniała ta ceremonia kończyła się niezmiennie każdego ranka wpadaniem sobie w objęcia i tańcem dokoła pokoju.

Cała "kamienica" wiedziała, że pan Olszowski przepada za Basią, a Basia żyć nie może bez pana Olszowskiego.

Cudownie czarujący był ten cały miesiąc, miesiąc już bowiem mijał od owego pamiętnego wieczora, kiedy to Basia odbyła wjazd triumfalny do mieszkania autora. Pan Olszowski myślał o tym ze wstydem, że chciał się pozbyć tego dziecka. Dawno zaprzestał wszelkich poszukiwań i już sobie ułożył, że zamieszka razem z wąsatą ciotką, aby oddać Basie w kobiece ręce, w słusznej obawie, że sam rozpuści ją tak jak dziadowski bicz. Z niezmiernym trudem udało mu się jeszcze jako tako ocalić resztki swej powagi i pasja go brała, kiedy widział uśmiechy tego draba Michałka; ten baszybuzuk śmiał się najwyraźniej w kulak, słuchając spoza drzwi, jak jego sławny pan tłumaczy się przed Basią: a gdzie był, a co robił, a czemu ma zziębnięty nos?

Jasno się uczyniło w życiu pana Olszowskiego; zdawało mu się, że przez szarzyznę chmur przedał się złoty promień słońca i lata po jego mieszkaniu. Jakoś mu się teraz lepiej pisało, śmiał się częściej, a tak serdecznie jak nigdy.

Basia siedziała właśnie na jego kolanach i jechała truchtem jak na koniu, gdy Michaś wychylił się spoza drzwi.

- Czego chcesz, kreaturo? - zapytał go wesoło pan Olszowski.

Michaś nie odpowiadał, lecz dawał jakieś nieme znaki.

- Basiu! Michałek stracił mowę! - zawołał autor.

Chłopak powtórzył swoje znaki i mrugnął znacząco.

Co mu się stało? - pomyślał pan Olszowski. -

Czego chcesz? - zapytał wyszedłszy do niego.

Michaś był najwyraźniej poważny i drżącymi rękami podawał mu gazetę, pokazując w niej bez słowa jakieś miejsce.

- To Basia! - szepnął zdumiony autor. - Co to jest? Na fotograficznej odbitce śmiała się Basia uśmiechem "z całego serca", a pod odbitką grubym drukiem wołał czarnym głosem:

**Zginęła dziewczynka pięcioletnia, imieniem Basia.
Ktokolwiek wiedziałby o niej, proszony jest usilnie o
natychmiastowe zgłoszenie się...**

Gazeta wypadła mu z rąk. Usłyszał cichy szept chłopaka:

- Czy my ją musimy oddać, proszę pana?

- Nigdy! - krzyknął znakomity autor, jakby nagle obudzony. - Do mnie ją przysłali, u mnie zostanie powiedz Walentowej...

- Ona już wie... Stoi z miotłą w bramie, a co się kto zbliży, chce go bić. Cały dom już wie! Będzie woj na, proszę pana!

Pan Olszowski nie słyszał, gdyż wpadłszy do pokoju porwał Basie w objęcia i cisnął ją do piersi.

- Udusisz mnie, ty wariacie! - resztką tchu krzyknęła dziewczynka.

V ŁOWY NA GRUBEGO ZWIERZA

Pani Tańska miała wprawdzie siedemdziesiąt lat, ale żywa była jak wiewiórka; zawsze się śpieszyła, nigdy jednak nie wiedziała dobrze dokąd i w jakim celu. Wychodziła z domu i przebiegłszy drobnymi kroczkami połowę ulicy, przystawała nagle i usiłowała sobie przypomnieć, dokąd jej tak spieszno. Ponieważ nikt jej nie mógł objaśnić, a ona sama najmniej, powracała do domu. Bardzo czcigodna wiercipięta. Skoro nie można się było z nią dogadać, bo gdy kto do Sasa, ona zawsze do łasa, wtedy wołała płaczliwie:

- Dajcie mi spokój, ja mam przecie siedemdziesiąt lat!

Wcale inaczej działało się, gdy staruszka zjadała w channanejskiej obfitości potrawy zbyt zawiesiste, pieprzne i korzenne.

- Przecie babcia ma siedemdziesiąt lat! - wołano ze zgrozą.

- No i co z tego? - wołała obrażona. - Czyż to taki wiek, aby nie można zjeść kawałka baraniny?

Trudno było dogadać się z panią Tańską, "Latającym Holenderczykiem", bo ona zawsze miała rację i siedemdziesiąt lat, które tak wysuwała jak kolce.

Właśnie rozmyślała nad tym, płocho i powiewnie, dokąd pobiec w jakiejś urojonej sprawie, gdy weszła Marcysia, jedna z najbardziej wymownych osobistości ostatniego stulecia.

- Proszę starszej pani, list przynieśli.

- Jaki list?

- Polecony, do panienki. Już pokwitowałam... Babka zerwała się z fotela sprężystym ruchem kangura.

- Po coś to brała? Kto wie, co to za list? Może, nie daj Boże, z sądu?

- Gdyby był z sądu, toby go przyniósł policjant. Niech go starsza pani weźmie.

- Nie wezmę, nie chcę! Połóż go na komodzie... Jak myślisz, czy to od mężczyzny, czy od kobiety?

Dziewoja powąchała list, silnie wietrząc jak ogar.

- Trudno poznać... Od mężczyzny pachniałby tytoniem, a od kobiety perfumą. A ten nie pachnie ani tak, ani siak.

Stara pani spojrzała na list ponuro, jak na wroga, który się chytrze ukrył w kopercie. Nie lubiła listów, nienawidziła depeš. Licho wie, kto pisze do jej wnuczki? Może to jakaś zasadzka? W tych czasach wszystko możliwe.

Jej ukochana wnuczka, Stasia, wyjechała na cały miesiąc do rodziców na zapadłą wieś na litewskich kresach.

- Może ten list wysłać do panienki? - spytała Marcysia.

- Jeszcze czego! - krzyknęła babka. - Niech sobie leży i czeka. Ma się dziewczyna struć jakąś złą wiadomością, to niech ją to spotka jak najpóźniej. - A może to oświadczyń?

- Listownie? Czyś oszalała, babo? Ten, co się będzie oświadczał naszej panience, będzie tu, o, tutaj klęczał na obu kolanach i będzie skomleć, bo ja go wezmę na egzamin.

- Będzie miał czarną godzinę - mruknęła Marcysia. List leżał na komodzie i spał. Powoli zarzucono go gazetami, wreszcie o nim zapomniano.

Wnuczka pani Tańskiej powróciła po miesiącu i przez dwa dni opowiadała o wszystkim, co się dzieje na wsi. Była to dziewczyna dorodna, smukła, gibka. Oczy miała przedziwne: ślicznie wykrojone, o orzechowym, złotawym połysku; włosy ciężkie, nie obcięte, bogatym węzłem zwieszające się na kark: musiały być ciężkie, bo miały gorący blask miedzi. Babka patrzyła na nią gorącym spojrzeniem, pełnym wielkiej miłości; ta smagła dziewczyna była jej oczkiem w roztrzepanej głowie. Wymogła na jej rodzicach ciężko porajających się uprawą kawałka piaszczystej ziemi, że wnuczka będzie się chować przy niej i że ona wyda ją za mąż, Z tą sprawą wlokło się cokolwiek, babka bowiem najchętniej wydałaby ją za jakiegoś następcę tronu, jednakże cała dyplomacja bruździła zacnej babce i do tego mariażu nie doszło. Zwyczajnych, mniej świetnych konkurentów babka kładła na rozpalonym ruszcie i smażyła ich na piekielnym ogniu, tak że znikali czym prędzej z horyzontu. Każdy był dla jej wnuczki nieodpowiedni, więc panna Stasia ciężko, choć tajemnie, wzdychając doszła do wieku lat dwudziestu pięciu. Czekwała cierpliwie na tego, który się wreszcie spodoba kapryśnej babce. Wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi taki się jeszcze nie narodził.

Panna Stasia ukończyła wyższą szkołę rolniczą i miała kiedyś zająć się uprawą rodzinnej wsi. Na razie uprawiała babkę.

Gdy już zdała sprawozdanie o każdej główce kapusty i o zdrowiu każdego cielaka w majątku rodziców, zapytała od niechcienia:

- Babciu, nie było do mnie jakich listów? - Babcia wzruszyła ramionami.

- Listów? Skąd do ciebie listy?

Sprzątająca Marcysia natychmiast "wzięła słowo" i rzekła:

- Jest list, proszę panienki. Nawet polecony.

- Czy babcia zapomniała? - zapytała wnuczka.

- Moje dziecko, przecie ja mam siedemdziesiąt lat! - z wielką goryczą odrzekła pani Tańska.

Panna Stasia szybko rozdarła kopertę i przebiegła list spojrzeniem.

- Matko Boska! - krzyknęła zduszonym głosem.

- Mówiłam, że jakieś nieszczęście - szepnęła babka. - Marcysiu, wody, prędko, wody, bo panience słabo.

Panna Stanisława oparła się ciężko o stół: Druga ręka, w której trzymała list, nieznośnie drżała.

- Och, babciu - mówiła złamanym, pełnym płaczu głosem. - Czemu mi babcia nie odesłała tego listu!...

- Przecie ja mam siedemdziesiąt lat - jęknęła pani Tańska. - Co się stało?

- Stała się straszna rzecz... O, Boże, jaka straszna! A ten list leży tu od miesiąca... Och, babciu... Jak mogłaś, jak mogłaś!...

- Co jest w tym liście? Mów prędko!

Panna Stanisława nie mogła jednak mówić prędko. W oczach miała łzy. Była blada i znękana.

- Miałam przyjaciółkę... Helenkę Bzowską...

- Znam ją!

- Znałaś ją, babciu... Wpadła pod pociąg... Jechała z córką... Mam fotografię tego dziecka... I to dziecko... O, Boże miłosierny!

- Cóż z nim, mów prędko!

- Helenka miała tyle jeszcze sił i przytomności, że wybłagała, aby dziecko posłać do mnie. Prosi w tym liście, abym oczekiwała na dworcu... A to wszystko działo się przed miesiącem... Gdzie jest teraz to dziecko?

Pani Tańska była widocznie przerażona.

- To straszne... - szepnęła. - Co począć, co począć?

Zerwała się z fotela i zaczęła truchcikiem biegać dokoła pokoju. Nagle przystanęła i krzyknęła gromko:

- Kto wysłał dziecko pociągiem?

- Żona jakiegoś lekarza... Natalia Budziszowa. List pisze jej mąż.

- Natalia Budziszowa ma rozum w niezupełnym porządku, skoro dziecko wysłała bez opieki. Adres jej jest?

- Jest...

- Piszmy do Natalii Budziszowej. Niech tu natychmiast przyjedzie. Można by zadeszować, ale jeszcze się przerazi depeszy. A zresztą, pal ją licha! Niech się przerazi. Marcysia! Biegnij na pocztę i powiedz, że wszystko musi być na jednej nodze... Jeszcze nie wszystko stracone. Chociaż mam siedemdziesiąt lat, ale jeszcze dam wszystkiemu radę. Pisz depeszę!

Panna Stanisława, przejęta energią babki, rozgorączkowana i zażawiona, od razu zebrała wszystką dzielność. Napisała: - PROSZĘ PRZYJECHAĆ NIEZWŁOCZNIE TRAGICZNE NIEPOROZUMIENIE PRZYSŁANE DZIECKO PRZEPADŁO - Sama pobiegła na pocztę.

Do późnej nocy omawiała pani Tańska to okropne zdarzenie.

- Musieli pisać w gazetach o tym wypadku, ale ja przez miesiąc rzadko je czytałam. Babcia nie czytała?

- Przecie ja mam siedemdziesiąt lat... - odparła babka. - Ani nie czytałam, ani nie słyszałam. Powiedz mi jednak, jak to się mogło stać, że dziewczyny nikt do mnie nie przyprowadził! Ten doktor pisze, że jego żona zawiesiła na jej szyi dokładny adres. Czy dziecko zgubiło karteczkę? A gdzie jest ojciec tego dziecka?

- To i o tym babcia nie słyszała? Opowiadałam babci...

- Przecie ja mam siedemdziesiąt... Zresztą wszystko jedno. Gdzie on jest?

- Mąż Helenki był głośnym uczonym i wyjechał do jakiejś puszczy w Ameryce Południowej.

- Po co go aż tam zanosło?

- Trzech ich pojechało na badania, nie wiem dobrze jakie. I o wszystkich trzech słuch zaginął.

- Zginęli?

- Nikt tego nie wie, lecz powszechnie utrzymują, że zginęli. Helenka nigdy nie mogła w to uwierzyć... Mieszkała w Gdyni i wciąż oczekiwała powrotu męża. Skąd się znalazła na tej stacji, na której ją spotkało nieszczęście, dokąd jechała, o tym wszystkim się dowiemy. A dziecko...

- Nie płacz!

- Muszę płakać. Biedna kobieta miała mnie jedną na świecie, nikogo poza tym, ani rodziców, ani krewnych. Podobno są jacyś, ale we Francji, bo jej matka była Francuzką. O, babciu, babciu, jakie to wszystko straszne! Biedna, biedna Basieńka!...

- To dziecko nazywa się Basia? Tak jak ja... - mruknęła pani Tańska. - Może Bóg da, że ją znajdziemy.

Zdaje się, że zrozpaczona pani Tańska musiała się o to modlić długo w nocy, gdyż słychać było jej szepcące głosy.

Nazajutrz około dwunastej rano wpadła do jej mieszkania trąba powietrzna.

- Jestem doktorowa Budziszowa! - oznajmiła potężnie. - Co się stało?

- Niestety! - rzekła pani Tańska.

Pani doktorowa usłyszawszy o całej tragedii chwyciła się rękoma za głowę.

- To pani wszystkiemu jest winna! - krzyknęła wskazując dla wszelkiej pewności palcem nieszczęsną babkę.

- Przecież ja mam siedemdziesiąt lat... - zakwiliła pani Tańska.

- Tym więcej jest pani winna. Od osoby w pani wieku można by się spodziewać odrobiny rozsądku.

- A pani ile ma lat?

- Czterdzieści dwa... Co to ma do rzeczy?

- To, że gdybym ja miała czterdzieści dwa lata, nie wysłałabym małego dziecka samego do Warszawy. Chyba że w dzieciństwie upadłabym ze schodów na głowę.

- Słusznie - rzekła pani Budziszowa ponuro. - Ale mój mąż...

- Niech panie dadzą spokój tym latom - mówiła panna Stanisława. - Radźmy, co robić, aby odnaleźć dziecko. Co pani napisała na kartce?

- To, co mój mąż zanotował: Do panny Stanisławy Olszańskiej - Warszawa - ulica Zielna 15. Wprawdzie mój mąż napisał potem na swojej notatce receptę jakiemuś bałwanowi, ale ja miałam ten adres zapisany w duszy. Czy się zgadza?

- Wszystko się zgadza, a dziewczyny nie ma.

- Ktoś ją ukradł nic innego, tylko ktoś ją ukradł.

- Cyganie... - podszepnęła babka.

- Jacy Cyganie? Ukradł ją ktoś na dworcu albo na ulicy, albo... czekajcie! W przedziale- siedział taki jeden, co trochę wyglądał na zbója. Były tam dwie bardzo przyzwoite panie i on. Musiałam stracić rozum, że tego nie zauważyłam od razu! Albo kat, albo morderca...

- Ja myślę - mówiła panna Stanisława - dziewczyna wyszła na ulicę, ktoś się nią zajął i teraz sam nie wie, co z nią począć. Chociaż i w to trudno uwierzyć, gdyż albo dałby znać policji, albo ogłosił w gazetach.

Czyniono wszystkie możliwe przypuszczenia i rozważano setki możliwości. Po dręczącej kilkugodzinnej naradzie uchwalono: ogłosić w gazetach wiadomość o dziwnej zgubie i dołączyć do ogłoszenia fotografię Basi.

- Dziecko moje... - szepnęła pani Budziszowa patrząc na fotografię.

Pani Tańska i jej wnuczka milczały, bardzo wzruszone.

Nagle pani doktorowa krzyknęła wielkim głosem:

- Znajdę ją, choćby pod ziemią!

Pani Tańska, ujęta tym zapalem, przebaczyła jej serdecznie ciężką uwagę o "odrobinie rozsądku".

- Niech pani liczy i na mnie! - rzekła gorąco.

Ziemia usłyszawszy, że trzy dzielne kobiety będą ją wywracały do góry nogami w poszukiwaniu Basi, cokolwiek struchlała. Najbardziej zdawała się lękać pani doktorowej, która oświadczyła, mocno uderzając się w piersi:

- Moja wina, że już dawno tutaj nie przyjechałam.

Dziwne to było, że nie miałam od pani żadnej wiadomości, co mi nie dawało spać. Poza tym miałam przecucia, złe i bolesne przecucia. Zdawało mi się nieraz, że Basia nawołuje mnie rozdzierającym głosem. Ale cóż? Mąż mnie wyśmiał...

- Mężczyźni nie powinni mieć nic do gadania w takich delikatnych sprawach - rzekła głucho babka.

- Ale teraz ja będę miała coś do pogadania z mężczyzną - mówiła pani doktorowa powoli i dobitnie.

Zdawało się, że jedno jej słowo tak się ostrzy na drugim jak nóż na nożu.

Zamieszkała u pani Tańskiej, która była kobietą wcale zamożną, a ponieważ potrzeba jej było ruchu, więc miała obszerne mieszkanie. Tam z wielkim niepokojem oczekiwała odpowiedzi na ogłoszenie.

Już nazajutrz przyleciała pierwsza jaskółka, dama w czerwonym kapeluszu, i opowiedziała ponurą historię o jakimś Herodzie, co rozgłośnie zgrzytał zębami i na igrawał się.

- I pani pozwoliła zabrać mu dziecko? - zapytała stalowym głosem pani Budziszowa.

- Któż mógł wiedzieć, co się stanie? - odparł "czerwony kapelusz". - Przecież pani powiedziała osobiście i wyraźnie, że na dworcu zgłosi się ktoś po dziewczynkę.

Pani doktorowa spojrzała na nią spode łba.

- To i cóż z tego? Czy pani jest kobietą, czy pani nią nie jest?

- Jak pani widzi! Wąsów nie mam...

- Więc mogła pani lepiej upilnować dziecka kierując się matczynym uczuciem!
Zresztą nie ma o czym mówić... Poznałaby pani tego łotra?

- W tej chwili. Takiej złodziejskiej gęby zapomnieć nie można...

- Znajdziemy go! - krzyknęła doktorowa potrząsając słowem jak ciężkimi kajdanami.

“Kapelusz zielony”, który przybiegł w dwie godziny później, potwierdził sprawozdanie czerwonego i obiecał, że po schwytaniu porywacza dzieci zgłosi się natychmiast jako świadek wyrafinowanej zbrodni.

Cała sztuka była w tym, aby schwycić zbrodniarza.

Powiadomione o nim władze nie mogły sobie przypomnieć jego istnienia. W zbiorze podobizn słynnych przestępców nie było jego podobizny. Trzeba było szukać na własną rękę. Babka Barbara ułożyła plan, a panna Stasia i doktorowa przebiegały miasto we wszystkich kierunkach. Ponieważ panna Stanisława nie widziała nigdy zbójcy, więc w roli adiutantów krążyły z nią po mieście oba kolorowe kapelusze. Rozsrożone panie przeszukiwały ogrody i parki zaglądając w twarz każdej dziewczynce i odwiedziły wszystkie przytulki dziecięce. Nigdzie nie było śladu.

Pani doktorowa, odbywając w pojedynkę łowy na grubego zwierza, mało mając nadziei spotkania dziewczynki, patrzyła bystrym, choć czarnym wzrokiem we wszystkie męskie twarze. Cofał się mąż niejeden, nagle zalekły, poczuwszy na sobie ciężkie spojrzenie nieznajomej damy; inny wielkie okazywał zdumienie widząc, że dama, obejrzawszy go pilnie, odchodziła z gniewem i z niedźwiedzim pomrukiem. Jej przyszło na myśl, że może szuka nadaremnie, gdyż człowiek z twarzą zbrodniarza musiał zapewne już zostać powieszony albo zamknięty jest w więzieniu. Ożywiła ją reszta nadziei, że ze straszliwą chytryością ocygał sprawiedliwość i że się sprytnie ukrywa.

Jednego dnia serce w niej na moment jeden zamarło, a radość odjęła jej mowę, ale też na bardzo krótko. Na przystanku tramwajowym, w pełnym świetle słońca, obrażając świat swoim widokiem, stał zbrodniarz. Pani doktorowa uciszywszy rozdygotane serce zaczęła skradać się ku niemu ruchem pantery. Jednym skokiem znalazła się przy nim, chwyciła go za kołnierz i rozdzierającym głosem zaczęła wołać:

- Ratunku! Na pomoc! Ratunku!

Zdumieli się dobrzy ludzie nie mogąc pojąć, dlaczego woła o ratunek ktoś, co me jest napastowany. Uczyniło się zbiegowisko i patrzyło z przejęciem na ponurą twarz człowieka, który - niebotycznie zdumiony - usiłował wydobyć się z drapieżnych szponów.

- Czego pani chce ode mnie? - ryknął wreszcie pan Antoni Walicki.

- Dziecko! Gdzie jest dziecko? Gadaj pan natychmiast albo pana uduszę! - z krzykliwym, lecz głębokim przekonaniem zagroziła mu doktorowa.

- Zamordował dziecko... dziecko zamordował... - zaszemrało zbiegowisko.

- Z gęby mu widać, że to morderca!

- Policja! policja!

- Gdzie dziecko? - zduszonym głosem pytała pani Budziszowa.

Biedny aktor widząc, że zanim zdoła wyjaśnić całą historię, zostanie ciężko pobity przez tłum, mówił szybko:

- Dziecko zdrowe i bezpieczne... Niech pani nie robi awantur, to powiem... Chodźmy stąd!

Pani Budziszowa zastanowiwszy się rzekła:

- Dobrze!... Niech pan nie próbuje uciekać!... Trzymam pana za rękaw!

Aktor opuścił czym prędzej gorące miejsce, ciągnąc za sobą wczepioną w jego rękaw doktorową. Zatrzymała ona skinieniem przejeżdżające auto i wtłoczyła w nie Walickiego jak pakunek.

- Dokąd mnie pani wiezie? - zapytał ze zgrzytaniem.

- To nie pańska sprawa!

Po niejakiem czasie pan Walicki został postawiony przed sądem, któremu przewodniczyła babka. Panna Stanisława patrzyła na niego ze strachem, oba kapelusze z abominacją i ze zwycięskim uśmiechem. Doktorowa była prokuratorem.

Rozprawa trwała krótko. Pan Walicki miał przez chwilę wrażenie, że znajduje się na scenie wobec licznych widzów. Zabił spojrzeniem dwa kapelusze, na babkę spojrzał ciekawie, z wielką sympatią na pannę Stanisławę, a czarnym wzrokiem na Budziszowa. Objasniony jej suchym jak pieprz głosem, dlaczego został wzięty w jasyr, opowiedział o wszystkim.

- Te panie - mówił wskazując lewym okiem na kapelusz czerwony, a prawym na zielony - pozostawiły dziecko bez opieki, więc ja się nim zająłem.

- Ach, to tak? - rzekła Budziszowa głucho.

- To nieporozumienie! - szepnęły boleśnie kapelusze.

- Panie zapewne są bardzo zajęte - wtrąciła babka. - Dziękuję paniom za pomoc w poszukiwaniach, ale nie możemy jej nadużywać. Żegnam panie!

Oba kapelusze wycofały się uśmiechając się lekceważąco.

- Pani doskonale grałyby stare hrabiny! - rzekł z uznaniem Walicki.

Babcia usiłowała zarumienić się z wielkiego ukontentowania i skromnie przymknęła oczęta.

- Gadaj pan dalej! - krzyknęła Budziszowa.

Walicki barwnie wygłosił wielką opowieść o mleku i zamazanym adresie, o przenikliwych poszukiwaniach i o nieporównanej bystrości swego przyjaciela.

- Odczytaliśmy adres z największym trudem, bo zostało z niego kilka zaledwie liter. Muszą panie przyznać, że w pewnym sensie mój przyjaciel jest geniuszem.

- Pański przyjaciel jest kretynem - poprawiła Budziszowa. - Narobiliście bigosu, jakiego świat nie widział. Kto to jest ten pan Olszowski?

- Gdyby pani знаła literaturę ojczystą - odrzekł Walicki twardo i hardo - wiedziałaby pani, że to znakomity autor. Trudno jednakże żądać od kogoś, co pisze ważne dokumenty chemicznym ołówkiem...

Na szczęście wdała się babka w tę sprawę i zagasila pożar.

- Panie drogi! - rzekła. - Jest pan zacnym człowiekiem, chociaż takie pan stroi miny, jak gdyby pan zjadał dzieci na surowo. Zrobiło się trochę zamieszania, ale nie pan jest temu winien... Wszyscy jesteśmy winni, pan najmniej. Dziecko odbierzemy, a pan nas czasem odwiedzi, aby zobaczyć Basie. Nawet dzisiaj zostanie pan na obiedzie... Dobrze?

- Zależy jaki obiad - odrzekł aktor ponuro. - Ja lubię jeść tłusto. I w spokoju! - dodał groźnie, spojrzawszy na doktorową.

Pani Budziszowa jednak była tak szczęśliwa, że aż osłabła. Usiłowała nawet uśmiechnąć się do Walickiego.

- Kto by to pomyślał! - rzekła z łagodnym uznaniem. - Gęba złodziejska, a serce dobre!

- Pan mi się bardzo podoba! - rzekła babka szybko, usłyszawszy lekkie zgrzytanie zębów.

Walicki spojrział na nią podejrzliwie i oświadczył niespodziewanie:

- Czy to obelga, szanowna pani?

- Broń Boże! - mówiła pani Tańska gorąco. - Tylko pan bardzo jest podobny do mojego nieboszczyka męża.

Budziszowa przerwała te słodkie rozmowy machnięciem ręki.

- Jedno mnie dziwi - rzekła z zamyśleniem. - Czy ten pan Olszowski nie czyta gazet? Czy nie widział fotografii Basi?

- Możliwe - rzekł Walicki ponuro. - Literat czyta tylko to, co o nim napisali.

- W tym coś jest... - mówiła doktorowa sama do siebie.

Nagle zwróciła się do Walickiego:

- Panie? Czy pan przypadkiem nie zełgał wszystkiego?

Pan Walicki obejrzał się gwałtownie, jak gdyby szukając jakiegoś ciężkiego przedmiotu, aby zabić okropną istotę. Niczego w tym rodzaju nie było w pobliżu, tylko fortepian, więc wydał z siebie głos tak straszliwy, że babka cofnęła się z fotelem.

VI NOWY SĄD SALOMONA

Walicki stał przed Szotem i tak wwiercił w niego spojrzenie jak korkociąg; w spojrzeniu tym był bezmiar pogardy.

- Przez ciebie - mówił - omal nie skręcono mi karku. Przez ciebie stałem się pośmiewiskiem narodów. Przez ciebie zostałem sponiewierany. Ty marny Sherlocku Holmesie, ty detektywie od czternastu boleści, ty zakuta pało!

- Ha! - krzyknął w całym znaczeniu tego słowa zdumiony przyjaciel.

- Słusznie wstyd pali twoją bałwaniastą duszę. Coś ty odczytał na kartce?

- To, co na niej było napisane - odrzekł Szot zuchwale. - Stanisław Olszowski - Chmielna 15.

- Przeczytałeś: Stanisław? A wiesz, co to było, mandrylu afrykański? Tam było napisane: "Stanisławy".

- Czy być może?

- Teraz dalej. Przeczytałeś: Olszowski. Wtedy zapytałem się ciebie roztropnie, czy nie ma tam jeszcze czegoś po i? Dwa razy zapytywałem...

- Nieprawda! Tylko raz...

- Powiedziałeś, że niczego nie ma, a tam coś było. Były dwie litery: ej. Razem: "do panny Stanisławy Olszańskiej". Zniekształciłeś podstępnie piękną i miłą kobietę. A ulica wcale nie była Chmielna tylko Zielna. Na kolana, magocie amerykański, i skomlij o przebaczenie.

- A to ci heca! - zdumiał się Szot.

Zdumiał się więcej jeszcze, gdy mu Walicki opowiedział wszystko ze szczegółami.

- I co teraz będzie? - zapytał.

- Będzie to, co być musi. Damska armia uczyni dziś wyprawę na Olszowskiego i odbierze mu dziewczynę. Jenerałem tej wyprawy będzie babcia, której na imię Barbara, a wątpię, czy wiesz o tym, niedokładnie ochrzczony poganinie, że święta Barbara jest patronką ciężkiej artylerii. Olszowskiemu będzie gorąco!

- A jeżeli - zapytał Szot niepewnie - nie zechce oddać dziecka? Coś słyszałem, że się zadurzył w nim na amen!

- Nie odda? Trzem kobietom? - usiłował zaśmiać się Walicki. - Człowieku! Jedna z nich chwyciła mnie za kark, a ja myślałem, że mi kręgosłup trzaśnie jak zapalka.

Szot zamyślił się.

- Wiesz co, Antosiu? - mówił z wahaniem. - Ja pobiegnę do Olszowskiego.

- Po co?

- Uprzedzę go... To zacne chłopisko... No i obiecał mi rolę... Ty nie pójdziesz?

- Nigdy! - ryknął Walicki. - Ja mam dość. Ty nie znasz pani doktorowej.

Szot zakręcił się na pięcie i przepadł.

Łatwiej dostać się do oblężonej twierdzy niż do mieszkania Olszowskiego. Bramy strzegła Walentowa. Jeden rzut oka na tę postać rycerską wzbudziłby śmiałą myśl w każdym historyku, że Troja nie byłaby zburzona, gdyby zamiast starożytnych bohaterów strzegła jej bram zawzięta, stuoka pani Walentowa. Mucha nie mogła przelecieć nie zauważona. Dzielna kobieta spoglądała podejrzliwie nawet na listonosza wietrząc, czy nie jest on chytrze przebrany napastnikiem. Nie dziwota przeto, że Szota przyjęła spojrzeniem tak parzącym jak pokrzywa: dopiero gdy Szot przysiągł, że jest sprzymierzeńcem i nadciąga z pomocą, Walentowa po porozumieniu z panem Olszowskim wpuściła go niechętnie do twierdzy.

- Przyjdą niedługo! - szepnął Szot panu Olszowskiemu.

Wyjaśnił mu, jak z panny Olszańskiej wykoncypował błędnie pana Olszowskiego, zapowiedział najście pani Tańskiej i pani Budziszowej.

- To wszystko nic mnie nie obchodzi! - rzekł w podnieceniu pan Olszowski. - Niech udowodnią, że na kartce napisany był adres tamtej pani.

- Doktorowa stwierdzi - zauważył Szot. Olszowski wiedział, że jego prawa do dziecka, oparte na pomyłce, są żadne; rozum mówił mu roztropnie, że nie ma rady i że Basie trzeba będzie oddać, lecz serce buntowało się gwałtownie. W sercu tym Basia rozparła się w pełnej chwale. Olszowski przylgnął do tej złotej dziewczynki i drżał na myśl, że mu, ją odbiorą.

- Basia jest zupełną sierotą - pocieszał się skwapliwie - a ta jakaś panna Stanisława Olszańska nie jest żadną krewną. Nie posiada żadnych praw do dziewczynki... Wprawdzie matka Basi ją prosiła o opiekę, ale tak twierdzi jedynie pani doktorowa... Nie ma żadnego dokumentu stwierdzającego to ponad wszelką wątpliwość. Ho, ho! To tak łatwo nie pójdzie! Będę walczył... Będę walczył! - krzyknął głośno, spojrzawszy na Basie rozbawioną i szczęśliwą.

Dziewczynka czuła się w tym domu jak w siódmym niebie. Opiekowano się nią jak królowną, wszystko było na jej zawołanie. Znoszono jej lalki i książeczki z obrazkami, słodycze i fatalaszki. Najbardziej fantastyczne jej rozkazy spełniano z radością. Ponieważ wyraziła głośne i namiętne uznanie jakiemuś kundlowi widzianemu na ulicy, już nazajutrz kupił jej "wujcio" pieska, małego foksteriera, noszącego dziwaczne imię Kibic. Było to

indywiduum zmyślne i dotknięte obłędem radości. Już w wieku ośmiu miesięcy zdradzał niepospolity spryt urwipołcia. Czarnymi paciorkami mądrych ślepiów spenetrował od razu wszystko i znał wybornie sztukę wykradania rzeczy smakowitych. Wielką kierując się przemyślnością pojął bez dłuższych namysłów, że jedyną istotą ważną w tym domu jest Basia; że pan Olszowski jest u niej pod pantoflem, a z Michałkiem bardzo liczyć się nie trzeba. Wobec tego Basi "przysiągł miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic", poza tym gotowość stoczenia w jej obronie walki na śmierć i życie z najpotężniejszym wrogiem. Ponieważ żaden potężny wróg dotąd się nie zjawił, Kibic zaprawiał swego rycerskiego ducha we wrzaskliwym oszczekiwaniu szafy i pieca, dwóch nieczułych bałwanów. Na każdy odgłos jeżył włosy na karku, aby w ten sposób przerazić cały świat. Nie sprawiało to najmniejszego wrażenia na Basi, która tego straszliwca miętosila na wszelkie możliwe sposoby, jej jednak wolno było wszystko. Na jej cześć Kibic tańczył czasem wspaniałą "taniec ogona", który polegał na zawrotnym kręceniu się w kółko i chwytności zębami tej krótko obciętej psiej ozdoby. Wrzask psiaka i obłąkane radosne okrzyki Basi tworzyły orkiestrę zgoła jerychońską, gdyż mury drżały. Kibic wałęsał się za nią jak cień; w metodzie tej było wiele miłości, ale i wiele sprytnego wyrachowania, dość często bowiem zdarzało się, że Basia miała w ręczce czekoladę. Po krótkiej chwili Kibic umiał czekoladę tę wycyganąć w sposób oburzający. Był to obwieś na wielki kamień i zapowiadał się, że w najbliższej przyszłości wyrośnie na zbrodniczą znakomitość. Tymczasem wprawiał się w swoim rzemiośle rozdierając puchowe poduszki, gryząc dywany i pantofle. Sprawiedliwie należy przyznać, że na wyraźne żądanie Basi tarosił jej lalki, oboje bowiem chcieli dojść koniecznie, co każda lalka ukrywa w swoim wnętrzu. Każda też cierpiała na "rozdarcie brzucha".

Szczęście Basi było w tych warunkach całkowite i doskonałe. Dzień był pełen śmiechu i radości, a kończył się długą i bardzo złożoną ceremonią układania się na spoczynek. Tylko "wujcio" posiadał przywilej układania księżniczki do snu. Musiał siedzieć przy niej i trzymać jej rączki w swojej ręce, przemawiając pieszczotliwie i obiecując na dzień następny niezmiernie, dotąd nie widziane, rozkoszne awantury. Gdy Basia łaskawie usnęła, pan Olszowski odchodził na palcach, a na straży pozostawał Kibic, gotów do piekielnego hałasu, gdyby ktoś zbliżył się do najjaśniejszej panny Barbary.

W jasną, niezmaconą pogodę tego żywota musiało wkraść się coś chmurnego, gdyż wujcio Olszowski od kilku dni stracił ochotę do zabawy. Michałek jest cichy, w kuchni też jest jakoś dziwnie. Jeden Kibic machnął krótkim ogonkiem na wszystkie tajemnicze sprawy tego świata i wśród namiętej żądz przygód, oszalały wierzcipięta, umoczył nosek w kałamarzu pana Olszowskiego, co Basie przyparowało o "pęknięcie ze śmiechu".

Zdumiona jest cokolwiek, że wujcio nie zdradza ochoty do tego samego zabiegu. Przyszedł do niego jakiś pan, którego sobie Basia mętnie przypomina, i obaj bardzo żywo o czymś rozprawiają. Ponieważ jest to grubym nietaktem z ich strony, więc Basia usiłuje się obrazić, a Kibic wrzaskliwie daje wszystkim obecnym do zrozumienia, że nie należy tajemniczo szeptać, skoro w towarzystwie znajduje się dama.

Nagle pan Olszowski chwyta Basie w ramiona, podnosi ją w górę i tuli w ramionach.

- Basieńko! - rzekł. - Czy bardzo kochasz wujcia?

Czułe serce Basi nie umie chować w sobie zawziętości, więc dziewczynka przytuliła się do swojego najukochańszego wujcia i tak go ściska, tak go ściska, że dorosłemu temu panu wycisnęła jakąś wilgoć z oczów.

Szot patrzył wzruszony i uśmiechał się rzewnie.

- Nie dam cię, nie dam cię, maleńka! - szepnął gorąco pan Olszowski.

W tej chwili spojrział zalekły w stronę drzwi. Obaj zaczęli nasłuchiwać.

Na schodach odbywał się jakiś niezwykły tumult i rejewach. Najpierw zagrzmiął wielki głos Walentowej jak ryk gadającej basem armaty. Odpowiedziały mu trzy głosy, cokolwiek cieńsze wprawdzie, lecz szybkostrzelne. Zrazu brzmiały z osobna, potem związały się razem i splątały w niestrojny chór. Znowu ochrypli bas nakrył je i stłumił, jakby kto na tryskającą licznymi strugami fontannę ciężki położył kamień, lecz napór głosów był tak namiętny, że solo dzielnej pani Walentowej zaczęło chwiać się, słabnąć i konać jak zamierające echo. Zgiełk nie ustawał. Musiano tam na schodach grozić sobie zadawaniem mąk i gwałtowną śmiercią, trudno bowiem było przypuścić, że w ten namiętny sposób rozmawiano o pogodzie.

- Przyszli! - jęknął Olszowski.

- Kto przyszedł? - zapytała Basia z nagłym zainteresowaniem.

- Słuchaj, Basieńko... to po ciebie przyszli... Nie rozumiesz, ale to wszystko jedno... Powiedz mi tylko... Zastanów się i powiedz: czy chcesz odejść od wujcia?

- Nie chcę! - z należytą energią oświadczyła Basia.

- Basiu, zrozum; jeśli cię zapytają, czy chcesz odejść, co powiesz?

Dziewczyna długo gryzła to pytanie jak gorzką czekoladę i nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, zaczęła całować twarz pana Olszowskiego.

- I ja mam oddać to dziecko? - krzyknął on. - Czy pan widzi, jak ona mnie kocha?

- Widzę - odrzekł cicho Szot. - Ale jej nie będą pytali...

W tej chwili do pokoju wśliznął się blady ze wzruszenia Michałek, który stał na straży na wysuniętej placówce.

- Już są pod drzwiami - oznajmił szeptem. - Walentowa nie dała rady, bo ich jest trzy. Trzem babom nie poradzi... Co robić, proszę pana?

- Weź Basie, ukryj się z nią w gabinecie i ani mru-mru... Nie! Czekaj... Ja tracę głowę, panie Szot... Niech pan idzie z dzieckiem... Michałek będzie bronił drzwi, - Czy pan myśli się bronić? - zapytał Szot gorączkowo.

- A co? Będę się bronił! - krzyknął Olszowski. To przecie napad!

- Ja nie śmiem radzić, panie autorze, ale może lepiej będzie, jeśli się wszystko odbędzie bez głośnej awantury. Skandal panu nie pomoże, a drogą traktatów może się da cokolwiek uzyskać. O, dzwonek!...

Chwycił Basie i znikł za drzwiami. Kibic wahał się przez chwilę, czy szukać zaczepki z tym kimś poza drzwiami, czy wziąć udział w ucieczce swojej pani, drzwi jednak już się za nią zamknęły, a nikt nie pomyślał o ich otwarciu; wobec tego zawył przeciągle i rozdzierająco cienkim skowytom, pełnym niewysłowionej żalości i poczucia krzywdy. Głos ten musiał przyprawić o gniew wrogą armię czekającą za drzwiami na ich otwarcie. Jak nieprzyjaciel, nie otrzymawszy odpowiedzi na wezwanie do poddania twierdzy, zaczyna taranami szturmować jej bramy, tak poczynali sobie też najeźdźcy. Ponieważ mało było do prawdy podobne, aby przywlekli za sobą tarany i wieże oblężnicze, należało przypuścić, że hetmań ich tłucze o drzwi pięściami, odgłosy bowiem były dudniące.

Michałek spojrział w rozpacz na swego pana, pan spojrział bladym wzrokiem na Michałka.

- Rozbiją drzwi! - szepnął chłopak ze zgrozą. - Niech pan krzyknie, aby poszły precz!

Pan Olszowski zrozumiał, że miał wiele słuszości Szot doradzający unikania głośnej awantury, myślał przez chwilę, potem rozkazał z rezygnacją:

- Otwórz, Michałku!

Michałek, jak wierny żołnierz, dzielący nieszczęsny los dowódcy, poszedł ze spuszczoną głową spełnić rozkaz.

Przez otwartą bramę twierdzy wtargnęła burza: na czele dreptała szybkimi kroczkami babka, wódz zastępu. "Z wieku jej i urzędu ten zaszczyt należy". Za nią maszerowała twardym krokiem pani Budziszowa. Mówiono kiedyś, że "trawa nie porośnie tam, gdzie uderzył kopytem koń tatarski". Gdyby na posadzce mogła wyrósć trawa, marny byłby jej los po przejściu pani Budziszowej. Panna Stanisława szła w straży tylnej, najcichsza ze wszystkich i jakby zalękniona.

Olszowski stał na środku pokoju, spokojny na oko, lecz z burzą w sercu. Błady był i dość ciężko oddychał. Jako człowiek wytworny nawet wobec wroga, pochylił głowę w ukłonie i rzekł głosem, wprawdzie mało serdecznym, lecz pełnym szacunku:

- Witam panie! Jestem wprawdzie zdziwiony...

- Ładnie nas pan wita - rzekła babka z przekąsem. - Najpierw jakaś koszmarna czarownica napada nas w bramie z miotłą w rękę, a potem każą nam czekać przy drzwiach. A teraz namówił pan tego kundla, aby wył.

- Michałku, zabierz psa! - zawołał Olszowski. - Czym mogę służyć paniom? Nie ukrywam, że jestem nieco zdziwiony tą nagłą wizytą.

- Tere-fere! - krzyknęła Budziszowa. - Konfitury pięknych słówek może pan sobie darować. Mów pan prędko: gdzie jest dziecko? Gdzie jest Basia?

- Basia jest u mnie - rzekł twardo Olszowski. - I pozostanie u mnie!

Doktorowa chciała krzyknąć, ale ją "zatkąło". Podniosła jedynie obie ręce w górę na znak przeraźliwego oburzenia i spojrzała na babkę. Pani Tańska przyglądała się przez długą chwilę Olszowskiemu i rzekła spokojnie:

- O tym dopiero pogadamy, ale siedząco. Chyba pozwoli pan usiąść starej babinie, skoro nie udało się panu zgładzić jej ze świata przez tę czarownicę z miotłą?

Olszowski czym prędzej podsunął jej krzesło i szerokim gestem zaprosił resztę armii do zajęcia miejsca. Panna Stanisława usiadła, doktorowa wolała pozostać w stojącej gotowości do boju.

- Dlaczego pan chce zatrzymać dziecko? - zapytała pani Tańska.

- Bo je kocham! - odrzekł gwałtownie znakomity pisarz.

- Kocha je pan? To bardzo ładnie... Nie każdy mężczyzna jest potworem, czasem zdarzy się taki jak pan. Cóż z tego jednak? Dziecko dostało się do pana przez pomyłkę...

- Nie wiem o tym. Proszę szanownej pani... Oto tu jest kartka...

- Ja ją pisałam! - zawołała Budziszowa odzyskawszy głos.

- Być może, lecz na tej kartce można odczytać mój wyraźny adres!

- Niech pan nie udaje głupiego - mówiła doktorowa. - I pan wie, i my wiemy, w jaki sposób nazwisko "Olszańska" zostało przerobione na "Olszowskiego". Niech pani babcia zwróci temu panu uwagę...

- Ja zwracam panu uwagę - rzekła babcia - że jeżeli ten kundel nie przestanie wyć za drzwiami, to się stanie nieszczęście. Poza tym myślę, że pan jest rozumnym człowiekiem. Podobno pisze pan książki. Wprawdzie żadnej z tych książek nie czytałam, bo ja mam siedemdziesiąt lat i tych waszych nowoczesnych hokus-pokus nie rozumiem, ale

przypuszczam, że do napisania najgłupszej książki trzeba mieć odrobinę oleju w głowie. Moja wnuczka - mówiła wskazując laską pannę Stanisławę - opowiada, że książki pańskie są bardzo piękne.

- Ależ babciu...

- Mówiłaś, więc się nie zapieraj. Dlatego o tym wspominam, że jeżeli ten pan potrafi pisać mądre książki, w takim razie będzie miał też dość rozumu, aby oddać dziecko, które do niego nie należy. Basia została oddana mojej wnuczce.

Pan Olszowski spojrzał szybko na śliczną panienkę, która skinęła głową, aby stwierdzić, że najśłodszy miód prawdy spływa z ust jej babki.

- To dziecko - rzekła cicho - jest dzieckiem najwierniejszej mojej przyjaciółki i ja jedynie mam obowiązek otoczenia go opieką. Niech pan nie czyni trudności... Jestem wzruszona pańskim przywiązaniem do Basi, sam pan jednak przyzna, że jako mężczyzna nie będzie pan umiał jej wychować...

- Nauczy ją palić cygara i pić wódkę! - wtrąciła ironicznie pani Budziszowa. - A gdy mu ta zabawa spowszednieje, wyrzuci dziecko na mróz.

Olszowski spojrzał na nią chmurnie, ale czym prędzej zwrócił się do panny Stanisławy.

- Wychowanie tego dziecka powierzę mojej ciotce - rzekł spokojnie. - Może pani być pewna, że nigdzie dziecku nie będzie lepiej niż u mnie.

Pani Tańska uderzyła laską o podłogę.

- Więc pan dziecka nie odda?

- Nie mogę, szanowna pani.

- Tak?! - krzyknęła doktorowa. I wraz w płuca nabrawszy powietrza, wydała z siebie głos donośny i potężny: - Basiu! Basiu! Chodź tutaj! Ciocia przyszła!

Odpowiedział jej pisk za drzwiami. Zanim Szot, nasłuchujący odgłosów burzy, zdołał powstrzymać dziewczynkę, Basia pchnęła drzwi i stanęła w nich, mocno zaciekawiona.

- Jest, jest! - wołała doktorowa i wyciągnęła ku niej rękę. - O, Basińko!

Czy głos pani Budziszowej był zbyt donośny i zbyt gruby, czy też obecność nieznanego człowieka przestraszyła dziecko, tego dojsć niepodobna; dość, że Basia pędem podbiegła do Olszowskiego i schroniła się w jego ramionach.

- Oto jest odpowiedź Basi! - zawołał Olszowski triumfalnie.

- Nie poznajesz mnie, dziecinko? - zapytała najśłodszym głosem Budziszowa. - To ja, ciocia!

Basia spojrzała kącikiem oczą, nie zdoławszy zaś odszukać w pamięci wizerunku tej dziwnej pani, objęła rączką szyję swojego obrońcy i przytuliła twarz do jego twarzy.

- Otumaniał niewinne dziecko - rzekła doktorowa z rozpaczą. - Nie ma innej rady, proszę pani babci, tylko trzeba iść po policję.

Babka nie odpowiadała, patrząc z tajemniczą zadumą na tego miłego pana i na to śliczne dziecko serdecznie się do niego tulące.

- Czym pan ją karmi? - zapytała ku powszechnemu zdumieniu.

Olszowski spojrzał na panią Tańska życzliwie i szybko zaczął wymieniać przedziwne nazwy potraw.

- Za wiele słodczy, ale na ogół dobrze - oświadczyła babka.

- Kupiłem sobie podręcznik o karmieniu dzieci! - zawołał Olszowski. - Zresztą Walentowa...

- To ta z miotłą? Rozumiem... Ale na dłuższą metę wychowanie będzie chodziło obłąkanymi drogami.

Jednego dnia ta dama z miotłą nakarmi dziecko baraniną w kapuście i trzeba będzie wołać doktora. Niech pan o tym pomyśli, co będzie dalej.

- Mówiłem już... Moja ciotka...

- Czy to panna?

- Tak, proszę pani.

- A skądże panna może znać się na chowaniu dzieci? - Jeśli dobrze jestem poinformowany, wnuczka szanownej pani też jest panną.

- Tak, ale ja jestem babką! Ja własnego tałałajstwa - wychowałam siedmioro - zawołała pani Tańska. - Wychowam i tego bąka.

Olszowski zrozumiał, że w łaskawym zainteresowaniu czcigodnej matrony mieści się wiele chytrłości. Chciała go opleść pajęczyną i chwycić Basie jak muchę.

- Być może - rzekł posępnie. - Ale ja dziecka nie oddam.

- Chodźmy po policję! - krzyknęła doktorowa. - To wariat! Basia, pójdiesz z ciocią?

- Nie pójdę! - oznajmiła Basia spoza głowy Olszowskiego.

Trzy panie zaczęły spoglądać na siebie bezradnie, wreszcie pani Tańska powiedziała:

- Czy pan pozwoli, abyśmy się naradziły w przyległym pokoju?

Nie czekając na odpowiedź wskazała laską swojej armii drzwi na lewo. Olszowski został sam z Basią w ramionach i tulił ją przez chwilę gorąco do piersi. Potem zawołał ściszym głosem:

- Panie Szot!

- Wyrwała mi się... - zaczął aktor.

- Niech ją pan weźmie i lepiej pilnuje. Te panie radzą.

Czekał cierpliwie przez pół godziny, nasłuchując zmaconych głosów damskiego sejmku. Narady musiały być burzliwe i namiętne, czasem bowiem tryskał w górę podniecony głos pani Budziszowej i słychać było uderzenie o podłogę marszałkowską laską babci.

Wreszcie otworzyły się drzwi i panie wyszły z powagą. Pani Tańska, zajmąwszy dawne swoje miejsce, ogłosiła urzędowym głosem:

- Panie Olszowski! Sprawa jest przykra, a wobec pańskiego uporu niemal rozpacзлиwa. Pan nie chce oddać dziecka, a my je musimy odebrać. Mogłybyśmy oczywiście zażądać pomocy prawa i jak pani doktorowa słusznie twierdzi, "dokończyłby pan swego życia w kajdanach, na więziennej słomie". Uczyniłybyśmy tak niewątpliwie, gdybyśmy miały do czynienia z brutalem.

Ja jednak wzięłam pana w obronę, bo jestem wzruszona pańskim przywiązaniem do dziecka.

- Dziękuję - bąknął Olszowski.

- Nie ma za co... Zdaje się, że jest pan porządnym człowiekiem, chociaż w tamtym pokoju kurz leży najmniej od dwóch tygodni, a nad piecem jest pajęczyna... Policja tutaj na nic. Będzie awantura i więcej gadania niż potrzeba. Aktory narobiły bigosu, ale po co my wszyscy mamy się ośmieszać na scenie? My posiadamy do dziecka prawo formalne, pan powołuje się na prawo serca. Czy nie uważa pan, że można by tę sprawę załatwić ugodowo?

- W jaki sposób? - spytał Olszowski z niepokojem.

- Przez sąd polubowny. Zaprosimy dwóch nie zainteresowanych ludzi i niech nas sądzą. Przecie to chyba uczciwe?

Olszowski zamyślił się głęboko. Rozumiał dobrze, że ta rozsądna staruszka mówi mądrze i że jego sprawa będzie przegrana, jeśli ją będzie sądzić prawo. Pomyłka wyjdzie na jaw, doktorowa złoży przysięgę i będzie po wszystkim: odbiorą mu Basie na zawsze. Jego serdeczne przywiązanie i jego miłość nie wzruszą prawa, za to w sądzie polubownym jaką taką można pokładać nadzieję.

Potarł gwałtownie ręką czoło.

- Niech się pan nie upiera - usłyszał tuż przy sobie cichy, głęboko wzruszony głos panny Stanisławy. - Dziecko to jest i tak już bardzo nieszczęśliwe, po cóż jeszcze wnosić w jego smutne życie niezgodę, spory i jałową wojnę? Ja widzę, jaki pan jest dobry... Niech Bóg panu zapłaci za miłość do tej maleńkiej... Dlatego nie chciałabym, abyśmy się rozeszli w gniewie... Może się uda znaleźć jakieś możliwe wyjście z tej niemożliwej sytuacji...

- Słyszysz pan? - huknęła Budziszowa, bliska łez z wielkiego rozczulenia. - Sama mądrość mówi przez tę panią.

- Ona ma to po mnie - rzekła skromnie babcia.

- Więc jakże, drogi panie? - spytała prawie szeptem panna Stanisława.

Olszowski był biały i miał taką minę, jakby nasłuchiwał głosów z daleka.

- Dobrze! - rzekł krótko.

- Gdybym nie miała siedemdziesięciu lat, zakochałabym się w panu! - ogłosiła babcia.

- Zresztą bardzo mi pan przypomina jednego mego kuzyna, który spadł z konia i skręcił sobie kark.

- Co mam zrobić? - spytał Olszowski niecierpliwie.

- Niech pan zaprosi jednego ze swych przyjaciół i przyjdzie do mnie jutro o piątej. Ja zaproszę kogoś z naszej strony. Ale, ale... Czy pan da mi słowo, że pan dziecka nie ukryje ani go nie wywiezie?

- Babciu! - krzyknęła panna Stanisława.

- Zdarzały się już takie wypadki - tłumaczyła pani Tańska. - Mnie też chciano porwać... Wprawdzie miałam wtedy już dwadzieścia lat, ale chciano. No, już dobrze, dobrze... Niech pan tylko nie daje Basi tyle słodczy. Lepiej raz na dziesięć dni na przeczyszczenie. Ja dożyłam siedemdziesięciu lat, bo dawniej... ale to wszystko jedno.

Wyrok sądu polubownego:

Zważywszy trudną do rozwikłania zawilgość sporu i dobrą wolę obu stron mającą na względzie jedynie szczęście dziecka, my, podpisani, orzekamy: Barbara Bzowska ma przebywać aż do dnia uzyskania pełnoletności lub odnalezienia bliższej rodziny przez miesiące parzyste u Stanisława Olszowskiego, przez miesiące nieparzyste u Stanisławy Olszańskiej. Obu stronom przysługuje prawo zamiany tych terminów, przedłużania ich i skracania po uprzednim porozumieniu. Zarówno p. Olszowski, jak i p. Olszańska przyrzekają dziecku najtroskliwszą opiekę i usilne staranie o zdrowie jej duszy i ciała. W razie sporów, które nie mogą być przewidziane, obie strony wezwą zawsze sąd polubowny.

Podpisano:

Ksiądz Mikołaj Mościcki, proboszcz

Kornel Makuszyński, powiesciopisarz

VII TAK SIĘ MUSIAŁO SKOŃCZYĆ

- Babciu, chodź biegać - zaproponowała Basia pani Tańskiej.

- Moje dziecko, przecie ja mam siedemdziesiąt lat! - odrzekła pani Tańska z goryczą.

- No to co, że siedemdziesiąt lat! - rzekła Basia zuchwale.

Obstupuit babka. Znieruchomiła na chwilę jak "Dafnis w drzewo bobkowe zamieniona", nagle jednak oczy jej rozbłysły.

- A wiesz, dziewczyno, że masz rację! - wykrzyknęła promieniście i rozpoczęła z Basią bieg na przełaj".

Dobiegłszy do kanapy szeroko rozpartej, padła na nią bez ducha, jak ów poseł, co od Maratonu jednym tchem do Aten przybieżał. Słynny ów maratończyk nie zwał się wprawdzie na kanapę, inne natomiast szczegóły w tym sportowym porównaniu są ścisłe.

Panna Stanisława, zwabiona hałasem, załamała ręce splótłszy je w ósemkę.

- Na Boga, co babcia wyprawia?

- Nic nie wyprawiam... młodziej! - oświadczyła babka gromko. - Nie jestem jeszcze taka stara, aby trochę nie pobiegać.

- Przecie babcia ma siedemdziesiąt lat!

- Siedemdziesiąt? Może być! I cóż z tego? Byli tacy, co w moim wieku fikali koziółki...

Basia, dowiedziawszy się o tym, z niebiańskim zachwytem chciała właśnie namówić babcie do natychmiastowej demonstracji tej tęgiej legendy, lecz właśnie wszedł pan Olszowski. Trzeba go było powitać z piskiem i rzucaniem się na szyję.

Tego dnia kończył się miesiąc pobytu Basi u panny Stanisławy, więc się zjawił po "odbiór pakunku". Pilnował terminów co do godziny. Roztropny wyrok salomonowy dwóch niepospolicie świątłych mężów, którzy go wydali, trwał w swej mocy i żadnych dotąd nie budził zastrzeżeń. Wesola ta historia trwała już od roku i obyła się bez tarć i niespodzianych wybuchów. Olszowski zyskał sobie gorącą sympatię babci, która, chcąc mu ją okazać w sposób nieprawdopodobnie serdeczny, obiecywała niezmiennie, że przeczyta jego książki.

- Przeczytam je, drogi panie, kiedy będę chora. Jak długo jestem zdrowa, szkoda czasu.

- Oby ich droga pani wobec tego nigdy nie przeczytała! - śmiał się Olszowski.

- Bardzo rozumnie pan gada! - odpowiadała babka. - I za to pana lubię, i za miłość do Basi. Czy panu to dziewczynisko nie dokuczyło jeszcze? To dziwne! Ja jestem zmachana podczas jej pobytu jak koń po wyścigach. Wczoraj musiałam wylazić na komodę, ale dziękowałam Bogu, że nie na szafę. A ten pański przeklęty pies wył z radości... Ten kundel ma pomieszanie zmysłów. Gdy nie szczeka, wtedy kradnie. A wie pan, kto tu był wczoraj z wizytą u Basi? Ten stary aktor Walicki. Bardzo miły człowiek, tylko że służąca, która mu otwierała drzwi, zemdląła, bo taką zrobił minę. Czemu on wyprawia z gębą takie sztuczki? Jego też bardzo lubię. Zatrzymałam go na obiedzie, bo go Basia nie chciała wypuścić. Pytam go, czy cielęcina była dobra. Nie odpowiedział nic, tylko zazgrzytał, a Basia zaraz po nim. "To może sos się udał?" - pytam tego mandryla. "Sos ten byłby dobry do zalepiania okien na zimę!" odpowiedział głosem z brzucha. Bardzo zabawny jegomość... Stasia przepada za nim. Coś bym jeszcze panu powiedziała, ale się boję, że się pan wygada

Mężczyźni są to straszni plotkarze... Kobieta nie zdradzi tajemnicy, żeby z niej nawet pasy darto, ale mężczyźni...

- Au, au, au! - zawył przeciągle Kibic.

Pan Olszowski pomyślał, że to mądry pies.

- Przysięgam pani, że ja nie zdradzę! - rzekł z uśmiechem.

- Więc powiem panu... Moja Stasia przepada nie tylko za tym hebesem ze zbójcejką gębą, ale i za panem!

- Nie może być!

- Może być, a pan poczerwieniał jak rak. Pewnie pan tymi swoimi książkami zawrócił dziewczynie głowę. Teraz pan rozumie, dlaczego ja boję się je czytać? Miałam dwóch... nie! o ile sobie przypominam, miałam trzech mężów, tylko mi się trochę rachunek pomieszał... Wystarczy! Czemu się pan śmieje? Mogę jeszcze wyleźć na komodę, mogłabym się machnąć jeszcze raz za mąż.

- Niech się babcia machnie! - krzyknęła Basia z entuzjazmem.

- Słyszysz pan? - śmiała się Tańska. - Bóg przemawia przez usta dziecka. Nie wiedziałam, że ten skarb tu się płacze.

Znakomity pisarz zamyślił się i patrzył w ścianę, jak gdyby niesłychane na niej działały się historie, pani Tańska zaś wpatrywała się w niego z czujną, łączącą uwagę, jak rybak wpatruje się w pławik wędki: chwyciła ryba czy nie chwyciła? Pani Tańska bowiem, pierwszorzędny dyplomata, miała swoje tajemne plany. Nikt o nich nie wiedział prócz kucharki, która przy tym ministrze grała rolę tajnego radcy. Kucharka była słynną powagą w sprawach sercowych. Tępy człowiek patrząc na świeżą polędwicę pomyślałby głupio, że to

tylko połędwica; w jej oczach przybierała ona kształt cierpiącego, krwawiącego serca, które nieszczęśliwa miłość przywiodła do ostatecznej zguby. Na tajemnych naradach z panią Tańska oświadczyła dobitnie, że prowadzenie dwóch domów dla Basi jest jawnym nonsensem i że panna Stasia powinna wyjść za pana Olszowskiego.

- To nic - mówiła roztropnym szeptem - że pan Olszowski nie ma uczciwego zajęcia i musi pisać książki. Gdyby trochę pochodził i poszukał, pewnie by znalazł jakąś pracę i wtedy by go odeszło to pisanie. Takie czasy, proszę wielmożnej pani, że człowiek czepia się byle czego i musi wymyślać różne figle-migle, a potem podają go na pośmiewisko. W naszym domu wszyscy go palcami pokazują, a jedna pannica z trzeciego piętra zawsze na schody wybiega, aby go zobaczyć, jak cudaka. Niechby się tak ożenił z naszą panienką, zaraz by się to skończyło. Chłopisko musi być dobre, a wąs ma taki śliczny jak ten sierżant, którego mi jedna małpa ze Złotej ulicy odbiła.

Babcia zajmowała też lekceważące stanowisko wobec literatury, pan Olszowski jednak podobał się jej bardzo. Nie był też w zamysłach babki do pogardzenia fakt, że na "wyprawnej" bieliźnie nie trzeba by zmieniać znaków. Inicjały Stasi i pana Olszowskiego były przecie te same. To też dobra wróżba. Dlatego, gdy Basia spędzała czas w jej domu, zapraszała go często, a on skwapliwie korzystał z tych zaproszeń. Gdy pochwalił jakąś potrawę, babcia objaśniała go szeptem:

- To Stasia robiła!

Panna Stanisława, usłyszawszy to pewnego razu, zaprotestowała gwałtownie.

- Po co babcia opowiada panu Olszowskiemu takie rzeczy? Przecie babcia wie, że nie ja to robiłam tylko Marcysia.

- To co z tego? Mam siedemdziesiąt lat i mogłam zapomnieć. A zresztą, ja wiem, co robię... Ho, ho! Stary ze mnie wróbel!... Czy ty myślisz, że mężczyzna ma serce? Gadanie! Może czasem i ma to serce, ale zawsze ma przede wszystkim żołądek.

- Ale co to wszystko ma znaczyć?

- Nic, nic... Dlaczego ma zaraz coś znaczyć? - chichotała babka, słynny dyplomata.

Słynny dyplomata, Talleyrand w kiece, nie zauważyła że Basia przysłuchiwała się pilnie jej naradom z tajnym radcą kuchennym. Któż by zważał na berbecia dokazującego z obłąkanym psem?

Berbecć przeniósł się tego dnia do pana Olszowskiego z całym swoim żywym i martwym inwentarzem. Pobyt u mężczyzny, któremu można było łązić po głowie i robić z nim, co tylko damska dusza zapagnie, uważała Basia za szczęśliwe wakacje. Z kobietami zawsze trudniej. Panna Stanisława poczęła ją napędzać do abecadła, a babka nauczała

domowych porządków. Pani Tańska nigdy nie chorowała, raz jednak zmoгло ją, gdy Marcysia, mając w onczas głowę nadzianą szczęśliwą miłością, wylała mleko na dywan. Babcia dostała gorączki i leżała trzy dni. Aż dziw, że nie wołała o lód na nieszczęsną głowę teraz, gdy łajdacki pies Kibic, zielonego pojęcia nie mający o wstydlivej skromności, w obliczu całego świata czynił rzeczy, o których w wytwornym towarzystwie mówić nie wypada. U pana Olszowskiego panowała złota, najzłocistsza wolność. Można było śmiać się przez cały dzień i wywracać dom do góry nogami. Mężczyzna wcale się nie liczy! Nic mu to nie szkodzi, że Michałek wozi Basie na dywanie, a Kibic, nie mając nic lepszego do roboty, obgryza liście palmy. Poza tym w domu dobrego wujaszka wiedziono bujne życie towarzyskie. Wciąż ktoś przychodził, śmiał się, gadał i odchodził. Przyjaciele pana Olszowskiego byli najmiłszymi ludźmi. Każdy zawsze coś przyniósł w kieszeni dla infantki Barbary, a jeden z nich namalował Basie na obrazie, który Kibic z zachwytem oszczekał. Rozkoszy było mnóstwo. Do największych należały wyprawy z wujaszkiem do parków i jazda automobilem, o czym zawsze wiedziała stolica. Kibic bowiem, przez rozkosz pędu pozbawiony tej odrobiny zmysłów, którą posiadał, darł się jak opętany i szczeakał na ludzi, na domy, na latarnie, na wszystko zresztą, z czego składa się świat.

Dniem niezapomnianym dla Basi było przedstawienie teatralne. Trochę jej było markotno, że nie zabrano tego idioty Kibica, ale zapomniała o tym szybko, niebotycznie przejęta. Stała obok pana Olszowskiego siedzącego w pierwszym rzędzie tuż przed samą sceną. Miała wypieki na twarzy, jak zresztą cała obecna w teatrze dzieciarnia. Czegoś podobnego jeszcze chyba nie widziano na świecie! W wielkim blasku zjawiły się tęczowe anioły i tak cudnie śpiewały, że pewnie niebo się otworzyło i było słycać, co się tam dzieje. Pastuszkowie przybieżeli i nawoływali się tak śmiesznie, że boki zrywać. Jeden wołał do drugiego: "Mój Macieju, ty nam powiesz, albowiem ty sam wszystko wiesz!" Potem, gdy zasłona uniosła się w górę, pan Olszowski szepnął:

- Teraz uważaj, Basieńko!

Na tronie siedział straszliwy król Herodes i tak z nagłą zaryczał, że wszystkie dzieci, jak zastrachane pisklęta, przytuliły się do swoich matek. Okropny to był widok! Srogi król toczył dokoła ponurym spojrzeniem, jak gdyby szukał, kogo ma pożreć. Basia cofnęła się w lęku i przyłgnęła do pana Olszowskiego. Przecie ten zły król może tylko ręką sięgnąć i porwie ją jak kurczę. Dusza Basi zaczęła szukać ciemnego zakątka i byłaby odwiecznym zwyczajem uciekła do najciemniejszego: w piętę, gdyby król Herodes nie zazgrzytał. Uczynił to tak przeraźliwie, jak gdyby zgryzł garść orzechów. W ciemnej sali zakrzyknęło piskiem przełekte dziecko. A Herodes znów zgrzytnął tak, że mu się z zębów posypały iskry, i zakrzyknął

piekielnym głosem: - “Jam jest król Herod, potężny pan świata!” Wtedy stało się coś niesłychanego! Basia zaczęła słuchać jak oczarowana i nagle na zalęklej jej twarzycze zjawił się szczęśliwy uśmiech.

- Wujcio! - pisnęła z radością.

Zanim pan Olszowski zdołał ją powstrzymać, Basia jak sarenka przebiegła przez kilka stopni wiodących na scenę i z krzykiem rzuciła się w ramiona zdumionego Heroda. Berło wypadło z krwawej jego ręki, dzikie spojrzenie przybrało wyraz cokolwiek głupawy, a gębę otworzył szeroko. Znieruchomiały wszystkie dzieci w teatrze, ujrawszy ten czyn nadludzkiej odwagi, bo przecież Herodes jednym kłapnięciem paszczy pożre tę głupią dziewczynkę. Straszny król jednak tak dokumentnie otumaniał, że zapomniał o swoich obowiązkach i zamiast pożreć niewinne stworzenie bez soli i pieprzu, zawył nadludzkim głosem:

- Basia!

Uczynił się nieprawdopodobny rwetes i tumult, gdy dziewczyna jednym skokiem znalazła się na kolanach krwawego straszliwca i w radosnym opętaniu pociągnęła za jego kruczoczarną brodę, spoza której, jak spoza burzliwej chmury, ukazało się przerażone oblicze Walickiego, najkrwawszego Heroda wszystkich czasów.

W gazetach napisano o tym zdarzeniu, a Walicki przez cały tydzień nie pokazywał się ludziom na oczy.

- Jaki z ciebie łapserdacki Herod! - mówił do niego przyjaciel Szot. - Nawet dziecka nie przestraszysz!

- Poznała mnie po zgrzytaniu... - odrzekł Walicki śmiertelnie smutnym głosem.

Pan Olszowski serdecznie go przeproszał i pocieszał.

- Nawet ja pana nie poznałem - mówił. - Ale to dziecko tak pana kocha, że poznałoby pana nawet w przebraniu diabła. Pan jest świetnym aktorem, a Basia jest nieznośną dziewczynką.

- Wczoraj kilkoro pędraków omal nie zemdląło na widowni! - rzekł z dumą Walicki.

Basia, której pan Olszowski wytłumaczył, że nie wolno było króla Heroda ciągnąć za brodę, wycalowała oblicze aktora, dość niejasne odnosząc wrażenie, że całuje ryżową szczotkę, więc się morderca niewinnych młodzianków rozrzewnił i obiecał, że już będzie dobry i nie będzie dybał na niewiniątka.

Babcia Tańska śmiała się tak z tej awantury, że ją mocno kucharka musiała trzymać, aby się kobiecina nie rozleciała. Przyszedszy jednak do równowagi i do przyrodzonego rozsądku, udzieliła- panu Olszowskiemu zbawiennych rad.

- Po co pan smarkulę prowadzi do teatru? Co to za pomysł? Ja byłam w teatrze po raz pierwszy, gdy doszłam do pełnoletności, a przecie zemdlałam, kiedy na scenie jakiś dziki Murzyn zadusił swoją biedną żonę.

- Otello! - śmiał się pan Olszowski.

- Ach, to pan zna tę sztukę? - zdziwiła się babcia patrząc na niego z szacunkiem. - Myślałam, że już wszyscy zapomnieli o tym sztuczynie, bo to przecie grali przed pięćdziesięciu laty. Gdyby ją teraz grali, ten Walicki nie tylko że zadusiłby niewinną kobietę, aleby jej jeszcze dla wszelkiej pewności poderżnął gardło scyzorykiem. Zaprosiłam go na niedzielę na obiad, ale pod warunkiem, żeby przyszedł z przyprawioną brodą. A wie pan, co mi ten Herod odpowiedział? Powiada: "To zbyteczne, proszę pani-! U pani bez tego można często znaleźć włos w zupie!" Taki opryszek! Ale ja go lubię... Pan też niech przyjdzie, bo będzie indyk. Rodzice Stasi przysłali... Pewnie zdechł, bo teraz na indyki przysłała jakaś cholera, ale kto nie wie, ten zje.

Pan Olszowski nie zjadł jednakże indyka ani też pan Walicki nie przyczepił sobie sztucznej brody, bo stało się nieszczęście.

W piątek wieczorem zadzwonił telefon w mieszkaniu pani Tańskiej.

- Basia zachorowała! - mówił zdławionym głosem pan Olszowski. - Niech panna Stanisława...

- Już jedziemy! - krzyknęła babcia nie pozwoliwszy mu dokończyć.

Panna Stasia nie mogła za nią nadążyć. Starowinka biegła przez ulicę nie zwracając na nic uwagi, byle szybko znaleźć auto. Po upływie dziesięciu minut pytała, zdyszana:

- Co się stało, na Boga?

Dziewczynka była bardzo chora. Leżała rozpalona i nie wiedząca o świecie. Krótko obcięte płowe włoski, rozrzucone na białej poduszce, wyglądały jak żytni wianuszek dokoła głowy. Rozchylone usteczka z trudem piły powietrze.

Pan Olszowski miał przerażenie w oczach i patrzył z niepokojem na lekarza pochylonego nad Basią.

- Zapalenie płuc... - szepnął lekarz po chwili.

- O, Boże! - jęknęła panna Stanisława.

Babka spochmurniała. Spojrzała na lekarza i spytała groźnie, chociaż szeptem:

- Czy pan jest dobrym lekarzem?

Lekarz spojrzał na nią z głębokim zdumieniem.

- Mam wrażenie, szanowna pani...

- Bo jeżeli sam pan nie poradzi, zawezwie się dwóch, trzech...

- Myślę, że ja wystarczę, jeśli jednak szanowna pani...

- Daj pan spokój z tą "szanowną panią"... Niech się pan nie gniewa. Gadam głupstwa ze strachu, bo ja mam siedemdziesiąt lat. Czy to groźne?

- Nie będę ukrywał...

Pani Tańska załamała się i tak nagle osłabła, jakby jej podcięto nogi.

- Panie doktorze... - mówiła zblakłym, wymęczonym szeptem. - Niech pan ratuje to dziecko... To sierota... I cała nasza pociecha... Bóg panu zapłaci... No i ja też!... Niech ją pan ratuje!

- Uczynię, co tylko jest w mocy ludzkiej - odrzekł lekarz wzruszony. - Śliczne, biedne dziecko!

Spojrzał z żywym współczuciem na trzy załękłe twarze i serdecznie, zachęcająco uśmiechnął się do każdej.

- Proszę mną rozporządzać... - Mówił. - Zjawię się o każdej porze, każdej chwili.

Potem odbył długą naradę z babką w osobnym pokoju.

Nie było można przenieść dziecka do mieszkania pani Tańskiej, więc dom Olszowskiego zamieniono w sanatorium, na którego czele stanęła ona. Po krótkiej załękłej chwili słabości odzyskała swoją czerstwą, wspaniałą energię. Juliusz Cezar w najsroźszej bitwie z Wercyngetoryksem nie dowodził genialniej niżli ona. Siódme poty były na Michałka, a panna Stanisława i Olszowski przypominali Murzynów z najczarniejszych czasów niewolnictwa. Dzielna starowina 'walczyła o życie dziecka z namiętą pasją. Gdyby mogła była ujrzeć na własne oczy wciąż zbliżającą się śmierć, byłaby jej porachowała kości. Przez kilka nocy nie zmrużyła oka, czujna na każdy szelest i na każde najcichsze westchnienie dziecka. Nie trzeba mu było mierzyć ciepłoty jakimś głupim termometrem; czuła jak najczulszy przyrząd, kobieca ręka pani Tańskiej, położona na piersi dziecka, zdawała się nieomylna. Sędziwa matka kilkorga dzieci znała dobrze wszystkie podstępne czyhania śmierci i wszystkie sposoby unikania jej pajęczych zasadzek.

Wspaniałe, wilcze, do śmiertelnej walki zawsze gotowe macierzyństwo obudziło się w niej raz jeszcze. Gorącym blaskiem rozzłociła się iskra w spopieliałym życiu. Tylko ona naradzała się z lekarzem, tylko ona tkwiła przy drobnej, bezbronnej istocie jak żołnierz na warcie, opanowana, rozumna, zbrojna w siwe doświadczenie. Wesole jej oczki spoglądały teraz twardo i ostro.

- Nic tu po was! - rzekła do panny Stasi i do Olszowskiego.

Oni fez czuwali ustawicznie. Panna Stasia miała podkrążone z bezsenności oczy, a Olszowski, milczący i ponury, nie wiedział, co z sobą począć? Teraz zrozumiał, jak bardzo

kochał to dziecko. Nie mógł ani czytać, ani pisać. Patrzył rozrzuwionym, najtkliwszym spojrzeniem na tego bezbronno ptaka, nad którym pływa śmierć, jastrzęb bystrooki. Czasem wybiegał na godzinę, aby zanieść wiadomość Walickiemu, Szotowi i swoim przyjaciółom. Babce całował ręce i bez jednego słowa cisnął je do swoich piersi.

Przyszła taka jedna noc, ta najgorsza, podczas której śmierć waha się: odejść czy pozostać? W pokoju Basi czuwała pani Tańska z lekarzem, który nie odchodził ani na chwilę. Olszowski siedział w gabinecie z panną Stanisławą i czekał. Milczeli oboje patrząc sobie w oczy w nagłym przerażeniu, ile razy usłyszeli jakiś szmer.

Nad ranem babka stanęła we drzwiach. Miała promienie w oczach.

- Uratowana! - ogłosiła jakby z radosnym jękiem.

Olszowski tkwił przez moment na miejscu, jak gdyby się nie mógł poruszyć, potem zerwawszy się niespodziewanie, chwycił zdumioną babkę w ramiona i zaczął ją całować. Śmiał się, chociaż miał łzy w oczach.

- O, babciu! babciu! - gadał ze zdyszaniem pośpiechem.

Pani Tańska śmiejąc się usiłowała wydobyć się z jego uścisków.

- Niech pan przestanie całować starą babę! Wprawdzie jestem przystojna, ale już dość... już dość! A idźże pan do licha!

Babcia wytrwawszy na pozycji prawie że straconej zaczęła odsypiać wszystkie noce, pozostawiając na straży swoją wierną gwardię. Panna Stasia spędzała przy Basi całe dnie. Olszowski zaś z pielęgniarką - noce. Łajdacko mądry Kibic, osowiały dotąd i smutny na wygnaniu w kuchni, zrozumiał, że można już zawyć radośnie, i został dopuszczony do dziewczynki. Zanim zdołano go powstrzymać, w obłąkanym napadzie radości polizał jej nos i policzek, bladziutki jak mgiełka. Zrzucony przemocą z łóżka, wykonał wspaniały "taniec ogona", bardzo wymyślny i urozmaicony. Basia wracała do zdrowia powoli i zdawało się, że z promienistą ciekawością rozgląda się po świecie. Na jej ustach zakwitł uśmiech jak krokus. Potem zaczęła szczebiotać.

- Prędko wyzdrowieje, bo dużo gada - oświadczyła babka. - Prawdziwa kobieta, musi sobie odbić wszystkie stracone słowa.

Potem zaczął przychodzić "wujcio Herod" - Walicki, aby i panna Stasia, i Olszowski mogli odpocząć. Urządzał dla Basi całe przedstawienia, wywracał oczy, ruszał uchem i włosami i zgrzytał tak cudownie, że dziewczyna płakała z radości.

Jednego dnia z obiadu u pani Tańskiej przyszli wszyscy we troje.

- Co się tam dzieje, u Boga Ojca ! - zapytała babka w przedpokoju.

Z pokoju Basi wy latał ryk rozszalonej burzy; słycać było bulgotanie piorunów i poświsty wichru; głuche warczenia lwa i przeciągły skowyt wilka.

- To Walicki! - szepnął pan Olszowski.

- Dziecko umrze ze strachu! - krzyknęła babka.

- Niech babcia słucha... - rzekła panna Stasia.

- Jeszcze, jeszcze! - wołała Basia. - To było bardzo śmieszne!

Walicki odsapnął i znowu zaczął:

- Uważaj, dziewczyno! Teraz będzie z Króla Lira.

Wielki monolog, ha! Tamto było z Hamleta.

Rozległ się przeraźliwy jęk potwornej skargi, a słowa kapały jak łzy wielkości młyńskich kamieni.

- Oszalał stary Herod! - rzekła babka.

- Nie, droga pani! - mówił rozrzuwiony Olszowski. - Każdy chwali Pana Boga, jak umie. Był taki kuglarz-prostaczek, co się modlił pokazywaniem swoich sztuk. Ten biedaczysko nie umie się radować, bo i skąd weźmie odrobinę śmiechu? Chciałby rozweselić dziecko, więc mu wygłasza najwspanialsze tyrady i poświęca się, byle ono się śmiało. O, jakież to dobry, jakież to dobry człowiek! Zróbmy trochę hałasu, bo mu będzie przykro, żeśmy słyszeli.

Gdy weszli, stary aktor spojrzał na nich podejrzliwie, czerwony i zasapany.

- Pan byłby doskonałą niańką - rzekła serdecznie panna Stasia. - Dziecko jest rozradowane...

- U ludożerców zrobiłby karierę - mruknęła babcia.

Uśmiechnęła się jednak do zacnego aktora.

- Panie Antoni - rzekła. - Niech pan jutro do mnie zajdzie, będą pączki.

- Nie mam armaty - odrzekł Walicki głucho. - A pączki u pani przypominają armatnie pociski. Ale przyjść mogę... - dodał śmiertelnie smutno. - Wszystko mi jedno, od czego umrę...

Tego wieczora słońce zachodziło bogato, jak gdyby chciało ogrzać pokrytą śniegiem ziemię. Żółtą, drżącą smugą czepiało się dachów, jakby chciało się tą pajęczą nitką związać ze światem, na który czyhała noc. Babka podreptała do domu, po raz pierwszy wiedząc ściśle, dokąd się śpieszy. Panna Stasia usiadła z jednej strony przy łóżku Basi, a Olszowski z drugiej. Bardzo było cicho i bardzo przytulnie. Kibic w głębokiej zadumie rozmyślał przy ciepłym piecu o ważnych psich sprawach.

- Dobrze ci, Basieńko? - spytał pieszczotliwie Olszowski.

- Byczo! - odrzekła Basia.

- Co takiego? Co to znaczy: "byczo"? Kto cię tego nauczył?

- Wujcio Herod. Albo co? A o cioci Stasi mówił: "morowa dziewica". To bardzo śmieszne! I jeszcze mówił, że "zje diabła, kto da babci radę!" Olszowski spojrzał na pannę Stanisławę:

- Słyszysz pani, co ten bęcwał wygaduje przed dzieckiem?

Panna Stasia uśmiechnęła się ślicznym uśmiechem.

- Ja się nie obraziłam za "morową dziewicę"... Będziesz już spać, maleńka?

"Maleńka" wcale nie chciała spać, bo głęboko nad czymś rozmyślała. Patrzyła bardzo poważnym spojrzeniem to na wujcia, to na ciocię i zdawało się, że coś sobie uparcie przypomina. Wreszcie położyła jedną rączkę na ręce Olszowskiego, drugą na ręce panny Stanisławy i mówiła cichutko:

- Ciociu Stasiu!...

- Co, Basieńko?

- Coś ci powiem... Czemu ty się z nim nie ożenisz?

- Z kim?! - zduszonym głosem wykrzyknęła panna Stasia.

- Z nim... Z wujciem... Mówię ci: ożeń się!

Tak się uczyniło cicho, że słychać było stukot jakiegoś serca.

Pan Olszowski dziwnie pobladł i lekko, pieściwie położył rękę na ręce panny Stanisławy.

- Ja wszystko robię zawsze - mówił wzruszonym głosem - co każe Basia.

- Ja też... - szepnęła panienka po dłuższej chwili.

- To ja już będę spać! - oświadczyła Basia.

Minęło pierwsze to wiosenne rano,

Gdy się spod śniegu wychylił pierwiosnek

Patrząc na ziemię, słońcem malowaną,

Pełną uśmiechów i ptaszęcych piosnek.

Z wiosennym wiatrem radość wciąż przylata,

Niebo się rzeką rozlewa błękitną,

Miłością wzbiera wielkie serce świata,

A ludzkie serca tak jak kwiaty kwitną.

Zbierzmy, dziewczynko, kolorowe kwiatki,

Co przystroiły wszystkie łąki boże,

Potem je zanieś na grób swojej matki,

*A ja tę książkę obok nich położę.
Mateczka twoja cicho się obudzi,
Potem czym prędzej twe przeczyta dzieje,
A gdy się dowie, żeś wśród dobrych ludzi,
Wtedy, szczęśliwa, w głos się roześmieje.
A my pójdziemy dalej, coraz dalej,
Na świat daleki i na świat szeroki,
I tak będziemy razem wędrowali,
Jako po niebie wędrują obłoki.
Minął poranek, minęła godzina,
Co tak beztrosko jak ptaszek świergota;
Z Basi się duża zrobiła dziewczyna:
W głowie zielono, a serce ze złota.
Autora ciężka czeka teraz praca,
Bo czytelniczek tak woła gromada:
“Niech pan wierszami głowy nie zawraca
I co się stało, prędko opowiada!”
Dobrze już, dobrze! Lecz niech spokój będzie,
Bo - jak rzekł mędrzec rozgadanej pannie:
“Biedny jest autor, gdy pod drzewem siądzie,
Na którym wróble krzyczą nieustannie!”*

VIII

OJ, BASIU, BASIEŃKO

Panna Barbara Bzowska została mianowana oficjalnie przybraną córką państwa Olszowskich, którzy ją kochali tak jak własnego syna. Zjawił się on na bożym świecie ku niezmiernemu szczęściu babci Tańskiej. Nie zdołała ona do tej chwili przeczytać ksiązek sławnego męża swojej wnuczki, zdrowie bowiem dopisywało jej niezmiennie. Potężnym sercem babci można było wbijać gwoździe w ścianę, jak żelaznym młotkiem. Żyła w wielkiej przyjaźni ze starym aktorem Walickim, pilnie jednak strzegąc, aby ukochany jej prawnuczek, Tadzio, nie ujrzał z bliska jego chmurnej twarzy.

- Niech się pan nie zbliża do dziecka - mówiła serdecznie. - Na widok takiej złodziejskiej gęby chłopiec może dostać konwulsji albo straci mowę z przerażenia.

- Pani też powinna mieć maskę na twarzy, gdy pani go bierze na ręce! - odpowiadał Walicki, malując każde słowo czarną mazią.

- Słusznie - odpowiadała babka - ale do mnie już przywykł. Jak panu nie wstyd, aby tak wyglądać jak zmora? Czy to jest twarz? To jest katastrofa, a nie twarz ludzka. Przyjdzie pan jutro na obiad?

- Pójdę raczej na cmentarz, bo tam weselej. A co będzie na ten obiad?

Walicki przychodził i grywał z babcią w pikietę. Było to przedstawienie, za które należało płacić wstęp.

- Pan albo szachruje - mówiła babcia - albo pan ma spółkę z diabłem, co wcale nie byłoby dziwne, gdyż posiada pan z diabłem rodzinne podobieństwo. Niech pan tak nie zgrzyta, bo mnie pan nie nastraszy. Ja się i diabła nie nastraszę!

- Oczywiście! Ciocia nie boi się siostrzeńca! - ryczał aktor.

Basia odwiedzała starowinkę codziennie i musiała zdawać sumiennie sprawozdania z tego, co się dzieje w szkole. Pani Tańska słuchała zachłannie, cmokając z podziwu.

- Tego wszystkiego was uczą, Panie Świąty!?! I ty to wszystko rozumiesz? I głowa cię z tego nie boli? Straszne rzeczy wyprawiają teraz z kobietami... Mnie tam tyle nie uczyli, a ja dałabym radę całemu światu. Starali mi się wytłumaczyć, że ziemia jest kulista, ale powiem ci po cichu, że ja w to do dnia dzisiejszego nie wierzę. A co robi Tadzio?

- Krzyczy! - śmiała się Basia. - Krzyczy i ciągnie staruszka Kibica za imitację ogona.

- A co wujcio?

- Wujcio krzyczy na Tadzia, że Tadzio krzyczy, a ciocia krzyczy na wujcia, że krzyczy na Tadzia. Mogłaby babcia przyjść, aby trochę nakrzyczeć na ciocię, bo wujcio krzyczy, że nie może pisać, a właśnie pisze nową książkę.

- O czym znowu?

- O miłości! - krzyknęła z niebiańskim zachwytem Basia. - Nikt tak na całym świecie nie umie pisać o miłości, jak wujcio Olszowski.

- A skąd ty, smarkulo, możesz wiedzieć o tym? - zdumiała się babcia.

- Ja? Babciu złota, przecie ja mam piętnaście lat!

- A ja mam osiemdziesiąt. Marcysiu! Ile ja mam lat właściwie?

- Czy ja wiem? - odpowiadała Marcysia wzruszając ramionami. - Chyba już ze sto...

- Przepadnij, ty mętna kreaturo! Mam osiemdziesiąt i długo je będę miała. Słyszysz?

A o miłości niczego nie wiem.

- Wujcio mówił - śmiała się Basia - że pan Walicki w babci się kocha!

- Walicki? Czekaj! To możliwe... Wciąż przewraca oczy i tak wzdycha, jakby miał cierń w żołądku. Czasem tak na mnie patrzy, jak gdyby chciał poderżnąć mi gardło, a teraz dowiaduję się, że to z miłości.

- A nasza cała klasa - mówiła w głębokim zaufaniu Basia - kocha się w wujaszku Olszowskim.

- Ho, ho! A ty w kim?

Basia zmieniała się w purpurową piwonię.

- Ja? - mówiła z niewinną minką. - Ja jeszcze dobrze nie wiem, bo nie jestem pewna.

Nie mogę się zdecydować, bo ich jest dwóch...

- Dwóch? - z nagłym zainteresowaniem zapytała babcia. - Kręcisz w głowie dwom od razu? Szalona dziewczyno?

- To nie ja im kręcę, to oni... Jeden, proszę babci, to jest Julek, który jest prawie że genialny, bo umie naprawić radio i elektryczne dzwonki, a drugi - Zygmunt, co pisze wiersze. Wujcio czytał...

- I co powiedział, co powiedział?

- Trochę za surowo. Powiedział, że Zygmunt nie pisze poezji, tylko zawiązuje rymom kozie ogony. A to naprawdę śliczne wiersze... Śliczne! Wszystkie o mnie... Ja to wszystko babci mówię w wielkim zaufaniu... Niech babcia nic nie powie cioci, moja złocienka...

- Nic nie powiem, ale dwóch to za wiele. Mogłabyś jednego odstąpić Marcysi, od której uciekł trzydziesty szósty narzeczony.

- E! Babcia żartuje, a mnie się serce krwawi. Babciu! Oni się nienawidzą! Z tego będzie jakieś nieszczęście! Julek, ten od radia, powiedział, że "z tego wierszoklety" wypuści ducha. A musi babcia wiedzieć, że on jest strasznie silny, a Zygmunt jest bardzo delikatny, bo każdy poeta jest delikatny. Ja niedawno przez całą noc nie mogłam zmrużyć oka, bo dostałam od Julka list. Napisał do mnie: "Wybieraj, bo się czarna krew poleje!"

- I poląła się?

- Jeszcze nie... Ale mówię babci, że z tego będzie nieszczęście, bo prawdziwa miłość bez nieszczęścia nie ma wielkiego znaczenia. W ostatniej powieści wujaszka dwie osoby umarły z miłości, dlatego ta powieść jest taka śliczna. Nasza cała klasa płakała!

- A co na to panie nauczycielki?

- Też strasznie płakały.

- To jakaś dziwna szkoła - rzekła babcia z powątpiewaniem.

- Takiej drugiej nie ma na świecie! - zawołała Basia z zachwytem. - A ja w niej mam ogromne poważanie, dlatego że jestem bardzo blisko wujaszka. Babcia nie ma pojęcia, ile jego fotografii jest w naszej klasie.

- Skąd?

- Wszędzie sprzedają wujaszka po pięćdziesiąt groszy, a jeżeli się kupuje od razu cały tuzin, to po trzydzieści.

- To za tanio - rzekła babcia. - Kilo cielęciny kosztuje tyle, co cały tuzin sławnych pisarzy. Zresztą słusznie. No, no! To wujaszek taka znakomitość... Patrzcie, patrzcie!

- Przecie babcia wie o tym...

- Wiem z waszego gadania, polegamy jednak tylko na własnych sądach. Muszę się wreszcie zabrać do czytania jego książek. Ile tego jest?

- Czy ja wiem? Więcej niż dwadzieścia!

- Dwadzieścia? Nie dam rady. Ja jedną książkę czytam przez cały rok. Czy we wszystkich tych książkach pisze o miłości?

- Oczywiście! O czym innym warto pisać?

Pan Olszowski pisał właśnie, ku utrapionemu zdumieniu pani Tańskiej, dwudziestą pierwszą książkę. Czarne znaki liter, jak czarne motyle nie wiadomo skąd przylatujące, pokrywały gęstwą białe kartki papieru. Basia oglądała własnymi, oczarowanymi oczami tajemniczy cud tworzenia. Z niczego powstawało coś, co żyje i nie przemija. Z pustki zjawiali się żywi ludzie mający serce i mózg, krew i namiętności. Od razu umieli mówić językiem wspaniałym i przezroczystym. Kochali się lub walczyli ze sobą, odnosili zwycięstwa lub umierali. Pisarz przywoływał je z jakiejś czeluści nocy, z jakiegoś odległego świata, jak

czarnoksiężnik zwołyuje zaklęciem geniusze i demony. Czynił to zawsze w wielkiej ciszy i w skupieniu. Basia widziała nieraz przez nie domknięte drzwi Olszowskiego pochylonego nad białą kartką papieru. Na czole miał pionową bruzdę, oczy jakby rozświetlone, a twarz jak gdyby cierpiącą. To zwoływanie duchów musiało być ciężką pracą, nadludzkim trudem, bo pisarz czasem westchnął tak ciężko, jak gdyby jęknął. Wtedy pani Olszowska kładła palec na usta ostrzegając wszystkich, że muszą zachować ciszę. Te widma bezcielesne, które pan Olszowski oblekał w ciało sprowadziwszy je na ziemię, musiały być płochliwe i lękały się krzyku.

Koleżanki Basi słuchały z należytyim podziwem opowieści Basi o tym, jak i kiedy pisze znakomity autor. Musiała im opowiadać o wszystkim. Czyniła to z dumą, a mówiła o swoim uwielbianym wujaszku z tkliwością. Zdawało się jej, że i na nią pada jeden promyczek jego wielkiej sławy. Było jej niezmiernie miło, że każdego słowa o nim słuchają dziewczęta z wniebowziętą miną. Trzeba się było jakoś odwdziżyć.

Od pewnego czasu pan Olszowski zasiadając do pisania zaczynał je od wielkiej awantury.

- Gdzie, u licha, podziało się moje pióro?

Wiadomo, że żołnierz nie może strzelać nie mając karabinu, a pisarz bez pióra nie może pisać samym palcem.

Zaczynało się poszukiwanie pióra.

- Może Tadzio gdzie zapodział? - pytała pani Olszowska bez wiary we własne słowa.

- Tadzio na biurko nie wylezie! - wołał pan Olszowski.

Kucharka nie używała pióra, gdyż była niepiśmienna, a jej listy miłosne pisał jeden student z czwartego piętra.

- Może Kibic?... - nieśmiało podsunęła Basia.

- Kibic? Skąd Kibic? Czy pisze na starość wiersze?

Długo szukano wspaniałego narzędzia znakomitego pisarza, wspaniałe narzędzie jednakże zapadło się pod ziemię. I to nie raz, trzy nowe zapadły się po trzykroć. Jeszcze większym zdumieniem nappełnił pana Olszowskiego gwałtowny ubytek czarnej krwi, którą ludzie pospolicie nazywają atramentem. Można było z małym prawdopodobieństwem oskarżać Kibica, mającego wrodzone złodziejskie instynkty, o zaprzepaszczenie piór, stanowczo jednak nie można było przypuścić, aby zachłannie i maniacko wypijał atrament. Psy miewają najdziwniejsze upodobania, nauka jednakże nie zanotowała takiego pomyłonego psa, który by wypijał atrament.

- To zaczyna być niepojęte! - wołał pan Olszowski.

Od tej chwili atramentu ubywało tylko tyle, ile go zużywał na pisanie, natomiast rozpoczęły się dziwne historie na innym terenie.

Zakłopotana pani Olszowska oznajmiła dnia jednego, że w sposób niewytłumaczony zdematerializowało się czy przepadło z tego świata: sześć kołnierzyków wielkiego pisarza, numer 41, z napisem *Splendid*, a do tego zużytych, przygotowanych do wyprania. Kibic nie mógł być posądzony. Nie można było posądzić też o tę psotę mieszkańców rodzaju ludzkiego, na cóż bowiem przydałby się męski kołnierzyk Basi czy Tadziewi, czy wybornej kucharce?

- Może sam gdzie zarzuciłeś? - pytała beznadziejnie pani Olszowska.

Sławny pisarz oznajmił spokojnie, że może jest nawet dziwakiem, nie ma jednak zwyczaju zdejmowania kołnierzyka na mieście i porzucania go na ulicy, tym bardziej - sześciokrotnie. Sprawa została nie wyjaśniona. Jak się to stało, nikt tego nie wiedział. Pan Olszowski machnął ręką, najpierw lewą na pióra i atrament, potem prawą na kołnierzyki, lecz niedługo potem chwycił się za głowę od razu ręką i lewą, i prawą.

— Na miłosierdzie boskie! - wołał potężnie. - Zginęło mi sześć kartek rękopisu!

Była to już sprawa gruba, rzecz można "kryminalna". Basia powróciwszy ze szkoły trafiła na trzęsienie ziemi i domu, który został wywrócony do góry nogami. Sześciu bezcennych kartek szukano nawet na lampie zwisającej u pułapu. Właśnie odbywało się śledztwo. Ponieważ kucharka okazywała zawsze dla przedmiotów zapisanych lub zadrukowanych ponurą obojętność, więc wyciągnięto w tej chwili kosmatą duszę z jej ospałego ciała i zapytywano, czy małej cząstki twórczości znakomitego autora nie użyła przypadkiem do prywatnego użytku, do zakręcania bogatych włosów w kunsztowne esy-floresy? Szanowna ta osoba przysięgała na własną śmierć, że głupia by była, gdyby do tych zabiegów używała zapisanego papieru mając do rozporządzenia czysty.

Pan Olszowski był bardzo smutny, a Basia dostrzegła z przerażeniem, że pani Olszowska ma łzy w oczach.

- Czy to wielka strata? - zapytała Basia cicho.

- Dziewczyno! - rzekła rozplakany głosem pani Olszowska. - Wujaszek pracował nad tym prawie że całą noc.

- O, Boże! - jęknęła Basia. - To z nowej książki?

- Tak, z nowej...

Basia zamknęła się w swoim pokoju. Po dłuższej chwili weszła do gabinetu pana Olszowskiego, który wciąż jeszcze szukał przewracając papiery. Stała przy drzwiach i powiedziała drżącym głosem:

- Niech wujcio nie szuka... Ja jutro odniosę... To ja zabrałam...

Pan Olszowski spojrział na nią ze zdumieniem.

- Och, Basiu! - rzekł głosem boleśnie drżącym.

- Niech mnie wujcio zabije - mówiła Basia przez łyżę. - Ale niech tak na mnie nie patrzy... Ja nie wiedziałam, że to z nowej książki... ja bym nigdy... Myślałam, że już niepotrzebne... O, wujciu, wujciu, jaka ja jestem nieszczęśliwa... Jutro odniosę! Przysięgam!

Pan Olszowski spojrział na nią bystrze.

- Chodź tu bliżej, moje dziecko! - rzekł miękko.

Basia szła machinalnie, jakby nie wiedząc o tym, że się porusza. Patrzyła w jego oczy z niewysłowionym lękiem. Błada była jak te kartki z nowej jego książki. Zaczęła mówić urywanym, zwiotczalym od łez głosem:

- Ja zabrałam i te kartki, i pióra, i atrament, i kołnierzyki... Ja jestem podła... że się nie przyznałam...

- Atrament zabrałaś i kołnierzyki? Na Boga Ojca! Na co ci są potrzebne moje kołnierzyki?

- Ja nie dla siebie... wujaszku... ja nie dla siebie... Ja cię tak kocham, że już nie wiem jak... Ale ja to wszystko dla szkoły...

Zdumiał się po raz drugi pan Olszowski. Podeszedł do niej, objął serdecznie i posadził na krześle naprzeciwko siebie.

- Gadaj, Basiu, co i jak - rzekł łagodnie. - I nie - płacz!

- Ja wcale nie płaczę... - mówiła Basia oblewając łzami twarz, nos, dywan na podłodze i każde słowo. - Ja chcę umrzeć, bo jestem strasznie podła.

- Nie jesteś podła, tylko głupiutka. Co z tą szkołą?

- W szkole mam sześć przyjaciółek... Moja cała klasa kocha się w wujaszku, a te sześć to najwięcej... Każda ma fotografię wujaszka, a jak są wujaszka imieniny, to ją stawiają wśród kwiatów i palą przed nią świeczkę.

- Nie może być! - zawołał uradowany pisarz.

- Słowo honoru daję! - rzekła Basia. - Tak strasznie wujaszka kochają, że już więcej nie można... Więc ja im musiałam dać te pióra i ten atrament... Trzy dostały pióra, a trzy atrament...

- I co one z tym robią?

- Chowają na pamiątkę, ale atrament jedna chciała wypić... Mówiła, że wojownik, który zje serce lwa, staje się nieustraszony, a jeżeli ona wypije ten atrament, to będzie tak pisała jak wujaszek... Taka głupia... A kołnierzyki wzięłam, bo mi nie dawały żyć... I koniecznie, żeby były nie prane.

- I noszą je? - pytał pan Olszowski dziwne czyniąc grymasy.

- Nie, bo za wielkie... A potem zakłęły mnie, abym przyniosła autograf... Ja chciałam wziąć stare kartki, ale przez pomyłkę wzięłam nowe... O, wujaszku, niech mnie wujaszek zabije! Nie jestem warta lepszego losu... A kartki jutro odniosę... Czy wujaszek mi przebaczy?

Pan Olszowski śmiał się szeroko i serdecznie.

- Przebaczam, przebaczam, ale już tego nie czyn więcej. Co będzie, jeżeli twoja klasa zażąda mego fraka albo biurka? Przebaczam teraz, bo zbrodnia została popełniona z miłości... Basiu! Co robisz? Czy chcesz mnie udusić? Dostaniesz jeszcze trzy pióra... Dość, dość, niemądra dziewczyno!

Nazajutrz wróciła Basia ze szkoły z rozpaczą w oczach.

- Gdzie rękopis? - spytał pan Olszowski na tajemniczej konferencji.

- Nie chcę oddać - mówiła Basia zduszonym głosem. - Podłe kobiety! Jedna powiedziała: "po moim trupie!", ale wszystko będzie dobrze, wujaszku, tylko trzeba się potargować.

- Co ty wygadujesz?

- Mówię prawdę... Każda z nich odda kartkę, ale tylko wtedy, gdy wujaszek wpisze się każdej do pamiętnika.

- To gwałt! - zaśmiał się autor. - O, kozy nieznośne! Ładne masz przyjaciółki... Ale trudno! Napiszę każdej ze dwa słowa.

- Dwa słowa? Będzie mało...

- Więc napiszę więcej. Przynies jutro te pamiętniki.

Basia zaczęła kręcić głową.

- To też się nie da zrobić. One chcą z ręki do ręki, szczególnie ta, co powiedziała: "po moim trupie!" Wujaszku najdroższy! Czy one mogą przyjść same?

- Skaranie boskie! - zawołał pan Olszowski. - Niech przyjdą.

Ekipa złożona z sześciu przyjaciółek Basi stała najpierw przez pół godziny u drzwi. Serca tłukły się nieznośnie w całej ekipie, tak że można było stukot ten słyszeć na schodach. Żadna nie chciała zadzwonić.

Sześć par długich i cienkich nóg drżało jak trzcina na wietrze. Wreszcie ta, co to "po moim trupie!" - zamknęła oczy i z rozpaczliwą odwagą zadzwoniła. Otworzyła Basia blada i przejęta.

- Która będzie mówić? - zapytała cicho.

Cała ekipa pozbawiona była jednak ryczałem mowy ludzkiej.

- Basieńko, mów ty! - błagało sześć rozdygotanych serc.

Weszły do gabinetu Olszowskiego jak gęsi, jedna za drugą. Zbiły się w gromadkę i dygnęły, co im przyszło z wielką łatwością, gdyż nogi uginały się same. Sześć par oczu spojrzało z lękiem i ujrzało łagodny, rozbawiony uśmiech znakomitego pisarza.

Nie gniewa się! Morowy chłop! - krzyknęło sześć serc.

- Wujaszku, to właśnie one! - wygłosiła Basia potężne przemówienie.

- Niech panie usiądą - rzekł Jowisz łaskawie.

- My postoiemy! - odpowiedziała z niesłychaną odwagą ta, co to "po moim trupie!"

Pół tuzina rumieńców zakwitło na sześciu dziewczęcych twarzyczkach. Spojrzenia zaczęły błyskawicznie łowić wszystko, co tkwiło dokoła, aby zapamiętać i wynieść w oczach. Trzeba będzie przecie opowiadać całej klasie.

Handel wymienny odbył się w atmosferze wybitnie przyjaznej i pełnej uśmiechów. Pan Olszowski bawił się jak w wesołym teatrze i pisał, pisał, pisał.

- Imię pani? - pytał trzymając pióro.

- Kicia... - odpowiedział szklany głosik.

- Z czego to jest zdrobnienie?

- Z Marii.

- Aha! To łatwo odgadnąć - śmiał się autor i wpisywał barwne zdanie.

Bystre oczy śledziły, czy następnej nie napisał mniej niż poprzedniej, ale mąż to był sprawiedliwy i nie pragnął niczyjej krzywdy.

- A co? - pytała rozjaśniona Basia w przedpokoju. Na znak, że głosem ludzkim niepodobna wyrazić zachwyty, pół tuzina oczów wzniosło się ku pułapowi, nad którym wedle wszelkich obliczeń było niebo.

- W naszej szkole jest rewolucja! - oznajmiła Basia nazajutrz. - To się wszystko źle skończy... Cała szkoła tutaj przyjdzie...

Wróżba Basi okazała się prawdziwa. Molestowano ją ze wszystkich stron, ale Basia była jak skała. Sześciokrotna awantura była wystarczająca, tym bardziej że wzniosły i wspaniały pan Olszowski nie zażądał zwrotu kołnierzyków numer 41. Triumfatorki przechwalały się jednak ponad ludzką miarę, co wielce rozjątrzyło społeczność szkolną. Jedne dziewczęta nie śmiały marzyć o wielkim szczęściu posiadania autografu, inne ukryły gorycz w sercu. Jedna tylko, panna Wanda, nie mogła usnąć. Była to śliczna dziewczyna o zielonych oczach. Wiedziała o swojej urodzie i obnosiła ją jak paw, ptak nadobny i nadobnie głupi. Uporczywie przynosiła Basi swój pamiętnik w- safian oprawny i równie natarczywie prosiła o "protekcję".

- Nie mogę, Wandziu! - tłumaczyła się Basia. - Wujaszek jest dobry, lecz nie mogę nadużywać jego dobroci.

- A dla innych mogłaś to zrobić?

- Mogłam, ale wplątałam się w awanturę, a wujaszek...

- Więc nie weźmiesz mojego pamiętnika?

- Teraz nie. Może kiedyś, później...

- Nie weźmiesz?

- Nie!

- Daj jej spokój! - wołały koleżanki. - Odczep się!

Zielone oczy ślicznej dziewczyny przygasły. Powiedziała złym głosem:

- Wiesz, co ci powiem? Kpię sobie z twego niby-wujaszka i z ciebie... ty... ty...
znajdo!

- O, Boże! - jęknęła Basia.

Kilkanaście dziewczynek nie rozumiejąc, co ma oznaczać to ostatnie słowo, zdrętwiało z innego powodu: ta bezczelna Zielonooka obraziła wielkiego pisarza, grudą ziemi cisnęła w bóstwo! Ha! Z niemej chwili zdumienia wytrysnęła z dzikim szumem fontanna awantury. Zielonooka zostałaby na miejscu ukamienowana, zarząd szkoły jednakże nie mogąc przypuścić, że kiedykolwiek zajdzie tego potrzeba, nie postarał się na czas o potrzebną do nagłej operacji ilość kamieni. Obrzucono przeto Zielonooką kamiennymi słowami, co nie uczyniło na niej zbyt wielkiego wrażenia. Została jednak bez żadnych narad w tym względzie obwołana za trędowatą. Wszystkie serca zostały dla niej zamknięte, jak się niektóre kwiaty przed nocnym zamykają chłodem. Ciężkie to było postanowienie. Człowiek nie może ciężiej ukarać człowieka, jak go karze zamknąwszy przed nim serce.

Basia była wstrząśnięta. Pan Olszowski jest zbyt wielkim i wzniosłym człowiekiem, aby mogły go dotknąć lub poniżyć jadowite, ze złości narodzone słowa. Lecz co miało oznaczać to ostatnie? Czemu ta dziewczyna nazwała ją "znajdą"? Rzuciła tym słowem jak ciężkim pociskiem. Co to znaczy "znajda"? Basia wie, że "znajdą" nazywają najnieszczęśliwszą istotę na bożym świecie: dziecko bez rodziców, których albo śmierć zabrała, albo inne jakieś nieszczęście. Nie ma dość ciepłej, dość tkliwej i serdecznej miłości, którą człowiek powinien ogarnąć i otulić takie stworzonko, porzucone na srogiej ziemi. "Znajda" jest najniewinniejszym stworzeniem bożym, któremu się dzieje najstraszliwsza krzywda. Płacze, a nie ma tej matki, która by scałowała z jej oczą łzy. Tylko zbrodnicza głupota wymawia straszne słowo: "znajda", z pogardliwym uśmiechem. Przecie to słowo jest jak łzy. Nieogarniona mieści się w nim krzywda. "Znajda" jest bezbronnym pisklęciem,

wyrzuconym z gniazda przez burzę. Najtkliwszym czynem dobrego człowieka jest podniesienie samotnego dziecka z bruku i przytulenie go do serca. Czyn taki zapisuje Bóg złotym piórem.

Basia wie o tym wszystkim. Nie rozumie jednak, dlaczego koleżanka nazwała ją “znajdą”. Jaka gorzka myśl tkwiła w tym ohydny szyderstwie? Gdy wróciła do domu, miała oczy pełne łez.

- Co ci jest, Basieńko? - spytała ją zaniepokojona pani Olszowska.

- Nic, cioteczko, nic mi nie jest...

- Chyba nie z radości płaczesz?

- Czy ja płaczę? O, ciociu!

Wtuliła głowę między ramiona pani Olszowskiej, która zaczęła ją gładzić po włosach.

- Co się stało dobrej dziewczynce? - pytała pani Olszowska serdecznie. - Co się stało? Z zaciśniętymi ustami i nieruchomym spojrzeniem wysłuchiwała opowiadania Basi.

- Dziecko drogie! - mówiła najtkliwszym głosem.

- Ta zła koleżanka myślała, że cię obrazi. Nie wiadomo, skąd wie o tym, że nie masz rodziców, że jesteś sierotą. To głupia pannica... Gdybyś nawet była, jak ona powiedziała: “znajdą”, byłabyś nieszczęśliwym dzieckiem, któremu nie wolno przypominać jego niezmiernego nieszczęścia. Ciebie jednak znaleziono w martwych ramionach matki.

- Jak to było? - spytała Basia bez tchu. Dotąd nie rozmawiano o tym nigdy. Basia wiedziała, że jej rodziców zabrała śmierć, lecz nie chciano rzucać mroku na jej maleńkie serce opowieścią o tragedii. Pan Olszowski miał jej kiedyś powiedzieć o wszystkim, kiedy to serce dziewczęce dojrzeje i mężnie zniesie krwawą historię nieszczęścia. Widać jednak, że zachłanna, żarłoczna ciekawość ludzka znała dzieje Basi, a teraz zła dziewczyna ulepiła z jej nieszczęścia pocisk i ugodziła nim w zdumione i zalękłe serce. Pani Olszowska zaczęła jej opowiadać. W pokoju było mroczno, a słowa wsiąkały w mrok jak wilgoć łez w czarną tkaninę. Mówiła jej o ojcu, o którym słuch zaginął po wyprawie do południowoamerykańskiej puszczy. O matce, do obłędu zrozpaczonej, ogarniętej nieprzytomnym bólem podczas podróży, zapewne po otrzymaniu okropnej wiadomości z Ameryki. O pani Budziszowej, dobrej kobiecie, o pomyłce zacnego straszliwca Walickiego, o krewnych mieszkających we Francji.

- Resztę przeżyłaś z nami, dziecko drogie. Wiesz o tym, jak cię kochamy... Bóg nam ciebie przysłał, maleńka, i pozostaniesz z nami, jak długo zechcesz. Mamy oboje z wujaszkiem jedno serce, a ty wiesz, że się ono nigdy nie odmieni... Czy jeszcze chcesz wiedzieć o czym, Basieńko?

Basia słuchała całą duszą, wpatrzona bystrze w mrok, jak gdyby się w jego czeluści odbywały te wszystkie dzieje, które jej opowiadano. Wysiłkiem pamięci wywołała z niego bladą, woskową, śliczną twarz matki. Usłyszała w mroku rozpaczliwy krzyk, piekielny warkot i zgrzyty. Potem się wszystko zatarło i rozplynęło, a mrok słonecznie pojaśniał.

- O, mamusiu... - westchnęła tak cichutko i tak przejmująco, że pani Olszowska zadrżała i przytuliła ją do siebie tak blisko, że aż do serca.

IX UŚMIECH KRWAWEGO HERODA

W wesołych zawsze oczach Basi zjawiała się niezwykła powaga. Dziewczyna ścichła i często zapadała w zadumane milczenie. Przez pierwsze dni, po mrocznej i smutnej rozmowie z panią Olszowską, uśmiechała się z przymusem, choć uśmiech zdawał się zawsze przyrośnięty do jej chłopięcej twarzy. Największe nawet zmartwienie nie mogło go z niej zetrzeć, rześiste łzy też nie mogły mu dać rady. Radość tkwiła głęboko w tym stworzeniu kochającym cały świat i wszystko, co na świecie, więc teraz jakby nieco przywiędła.

- Cios był zbyt gwałtowny - mówiła pani Olszowską do męża.

- Biedactwo kochane - szepnął pan Olszowski. - Trzeba odwrócić jej myśl i zająć czymś wesołym.

Basia jednak sama znalazła sobie zajęcie, zapalawszy niespodzianą miłością do geografii. Wędrowała przez długie godziny po mapach, upodobawszy sobie podróże po krajach Ameryki Południowej. Przez dzicze, przez kamienne pustynie i przez puszcze gorącym buchające, przez zbałwanione rzeki przez jedną noc wzdymające się mętną wodną puchliną wiodły ją książki, troskliwie wyszukiwane. Oczami wyławiała z nich wszystkie wieści o tych "niehumanicznych ziemiach", a równocześnie palcem kreśliła na mapie obłądne drogi. Dziwne myśli, jak podzwrotnikowe motyle, latały nad jej zadumany sercem.

- Szuka ojca na mapie - rzekł do żony Olszowski. - Serce się kraje...

Jednego dnia zjawiała się Basia w jego gabinecie.

- Wujaszku złoty - rzekła cichutko. - Czy ty znasz profesora Somera?

- Tego sławnego geografę? Znam. Czemu o to pytasz?

- Czy mógłbyś mi do niego napisać polecający list?

- A na cóż... - zaczął Olszowski, ale nie skończył. - Dobrze, dziecko! - dodał szybko. -

Wiesz, gdzie mieszka?

- Wiem już od dawna.

Z listem gorąco napisanym stanęła Basia przed słynnym uczonym. Był to człowiek drobnej postaci, z przenikliwymi oczami. Przewiercił nimi glob ziemski i wzrokiem dotarł do owych przepaścistych mroków, wśród których, w konwulsjach i w piekle ognia, z niewysłowionego cierpienia żywiołów rodziła się biedna ziemia. Głośny na całym świecie geografą ujrzawszy przed sobą zamiast nieznaną górę, co by mu wielką sprawiło przyjemność, drobną ludzką okruszynkę, zmarszczył czoło. Ludzie obchodzili go najmniej.

Trzęsienie ziemi, ucziwy kataklizm, rozpadnięcie się globu albo najazd oceanów na ziemskie padoły mogły mu zabrać odrobinę czasu, którego nie miał wiele, czego jednak chce ta mała?

Basia dygnęła ślicznie i podała mu list.

- Niech panienka siada, jeśli tylko jest na czym - rzekł opryskliwie.

Nie było jednak na czym usiąść, bo cała pracownia zavalona była książkami i mapami. Gdyby nastąpił koniec świata i wszystko przepadło, pan profesor Somer, cudem jakimś ocalony, odtworzyłby świat bez najmniejszego trudu wedle swoich map i biblioteki. Ponieważ w tej chwili nic światu nie groziło, zajął się czytaniem listu. Przerwał w połowie i spojrzał na nią. Znowu czytał, jak gdyby już z większą uwagą. Skończył, zdjął okulary i milczał przez dłuższą chwilę.

- Bzowski... Bzowski... - mówić zaczął jakby sam do siebie. - Mój najlepszy uczeń... Adam Bzowski. Miło mi, moje dziecko, że cię widzę... Bardzo kochałem twojego ojca, bardzo... Byłby po mnie... Trudno! Nieszczęście. O czym chcesz się dowiedzieć, dziewczyno?

- Chcę się dowiedzieć, proszę pana profesora, dokąd naprawdę udał się mój ojciec i gdzie zginął - odparła Basia z powagą.

- Zaraz cię objaśnię.

Zręcznym ruchem nogi odrzucił na bok nikomu w tej chwili niepotrzebną Europę, zwałił na jakieś rupiecie Azję i wreszcie, jak Kolumb, odnalazł koło pieca obie Ameryki.

- Zrozumiesz co z tej mapy? - zapytał podejrzliwie.

Basia przejechała palcem przez Amerykę Południową i jednym tchem wyrecytowała nazwy wszystkich republik, w których jest zawsze gorąco i zawsze jest rewolucja.

Wielki geograf spojrzał na nią z nie ukrywaną radością.

- Doskonale, mała kobieto! - krzyknął z zachwytem. - A teraz powiedz, gdzie się znajduje mój palec.

- W Ekwadorze!

- Twoja bystrość zaszczyt przynosi rodzajowi damskiemu. Osiem kobiet na dziesięć rzekłoby, że to Zakopane, bo widać jakieś góry.

- To Andy - objaśniła Basia słynnego geografa.

- Zdaje mi się, że słuszność jest po twojej stronie! - śmiał się uczony.

Śmiał się jednak jakoś dziwnie; pokrywał śmiechem wzruszenie podczas tej wymyślonej podróży na grób ojca tej dziewczyny.

- Byłam tu już dziesięć tysięcy razy - rzekła Basia cicho.

On spojrział na nią ze szczerym zdumieniem, potem zrozumiał, w jaki sposób i w jakim celu wędrowała po tej krainie i po wszystkich sąsiednich, spędził uśmiech z ust jak pszczołę i mówił poważnie:

- To dolny Ekwador, bagnisty, zarażony malarią i gorączką... A tu górny, zagubiony wśród gór i przepaści. Po hiszpańsku: *tierra. fria* - "zimna kraina". Na te wyżyny zmierzał twój ojciec z dwoma francuskimi uczonymi.

- Po co?

- Po wiedzę. We wnętrzu tego kraju mieszka plemię indiańskie Jibaro, o którym krąży mnóstwo bajek i bredni. Nauka jest żelazną miotłą, co wymiata z umysłów ludzkich wszystkie plewy. Dlatego wybrało się ich trzech, aby przez rok cały badać ten zakątek świata. Jeden z nich miał notować mowę i pieśni, drugi miał przynieść ściśle wiadomości o wszystkim, co żyje tam i rośnie, a twój ojciec zamierzał zbadać samą ziemię, skały, góry i rzeki. Tymczasem... czy będziesz odważnie słuchać, moje dziecko?

Basia skinęła głową z wielką powagą.

- Tymczasem podczas przejścia przez góry zerwała się na wielkiej wysokości ścieżka. Jeden z Francuzów ocalał, drugi zaś i twój ojciec... Panie Boże, daj im światłość wiekiustą... a tobie, dziewczyno...

- Panie profesorze - rzekła Basia głucho. - Czy to wszystko jest pewne?

- Takie sprawozdanie zdał ocalony. Udało mu się dotrzeć do ludzkich osiedli, do miasteczka Łoi. Stamtąd powrócił do Paryża. Francuskie Towarzystwo Geograficzne powtórzyło jego sprawozdanie w urzędowym biuletynie. To wszystko, co wiem.

- I nie szukano ich?

- Owszem, czyniono poszukiwania długo jeszcze po katastrofie. Nie znaleziono śladu... Przepaści są żarłoczne. Jakieś straszliwe górskie deszcze musiały pogrzebać tragedię wśród skał i kamieni. A dzisiaj... Dzisiaj mija już dziesięć lat... Głowa do góry, dziewczyno! Twój ojciec padł na posterunku jak żołnierz. Żołnierz nauki jest największym bohaterem. Nie zabija, szuka źródeł życia, chce rozszerzyć świat i wytycza drogi dla tych, co za nim przyjdą, ze światłem. Bądź dumna ze swego ojca... Twój ojciec padł na szczytach, na których śmierć czyha siedząc okrakiem... Czekaj, dziecko coś ci jeszcze pokażę...

Zdjął ze ściany wielką fotografię, na której obok niego widać było sześciu młodych ludzi.

- To twój ojciec - rzekł zdławionym głosem. - Ten z lewej strony...

Basia wpiła się spojrzeniem w jasną, szczerą, wesołą twarz. Wpatrywała się w nią tak mocno, że ta twarz zaczęła rosnąć, olbrzymieć i oto nagle dwoje jasnych oczów zajrzało w jej oczy.

- Tatusiu! - szepnęła Basia rozdzierającym głosem.

Profesor Somer wyjął łagodnie obraz z jej rąk.

- Nie trzeba, maleńka, nie trzeba... Raczej uśmiechnij się do niego.

Jasna twarz ojca zapadła w jej oczy i utrwaliła się na nich jak na fotograficznej płycie.

Modliła się tego wieczora:

- Spraw, Boże jedyny, aby mu nie było zimno w tej przepaści... Niech go omijają wody i nie budzą go ze snu... Niech omijają go głązy lecące z urwiska... Niech ma grób spokojny na dalekiej, strasznej, obcej ziemi... Miej litość dla biednego ojca mojego, Boże Ojczce!

Do państwa Olszowskich powiedziała:

- Ja wiem wszystko!

Schowała atlasy i mapy, gdyż mogła po ekwadorskim płaskowyżu wędrować z zamkniętymi oczami.

Czekał ją jeszcze jeden obowiązek, bardzo pilny: odwiedzenia grobu matki i odwiedziny u pani Natalii Budziszowej, jej pierwszej opiekunki.

Obie długo klęczały przy grobie, starannie utrzymanym i ukwieconym.

- To pani o tym pamięta... - rzekła Basia ze wzruszeniem. - Jak ja mam pani dziękować? Ujęła obie ręce i tuliła do swej twarzy.

- Daj pokój, dziecko! - broniła się gwałtownie pani Budziszowa. - To żadna zasługa... W naszym przeraźliwym mieście nie można gadać z żywymi, więc trochę radości znajdzie człowiek jedynie na cmentarzu. Zasadziłam tu kilka kwiatków, to i cóż?... Mam przynajmniej jakieś zajęcie.

- Przecie pan doktor... - bąknęła Basia. - pan doktor więcej się zawsze cieszy tyfusem niż mną. Poza tym gra w pikietę z aptekarzem, ładna spółka co? - a jako kibic asystuje im właściciel składu trumien. Ale, ale... Skoro już mowa o śmiertelnym towarzystwie, powiedz mi, co się dzieje z tym upiornym aktorem, co straszy w biały dzień?

- Z panem Walickim? - uśmiechnęła się Basia. - Co niedzieli przychodzi do babci na obiad i klóć się do wieczora. Bardzo się postarzał.

- A zębami zgrzyta?

- Już nie bardzo. Tylko w niedzielę.

Basia spędziła trzy pogodne dni u zacnej Budziszowej, choć skwaśniałej jak zwietrzałe, dobre kiedyś wino. Trzeba było powracać po czułym pożegnaniu.

- Trafisz chyba sama do Warszawy? - uśmiechnęła się Budziszowa. - Nie potrzeba ci już kartki z adresem?

Basie oczekiwała w Warszawie smutna nowina.

- Walicki jest bardzo chory! - oznajmił jej pan Olszowski.

- O, Boże! - zasmuciła się Basia serdecznie. - Niedawno rozmawiałam o nim z panią Budziszowa. Co mu jest?

- Ciężko zaziębił się gdzieś na swojej aktorskiej włóczędze. Zapalenie płuc, ale groźne. Zabrali go do szpitala.

- Czy można go odwiedzić?

- Nie tylko można, ale trzeba, Basiu! Ten biedny człowiek wciąż zapytuje o ciebie! Był tu Szot i opowiadał. Może tego nie pamiętasz, ale gdy byłaś chora przed dziewięcioma laty, ten przezacny człowiek włosy sobie wydierał z głowy i przychodził codziennie.

- Pamiętam... Wykrzykiwał śmiesznie, aby mnie pocieszyć. Biedny, biedny Herod!

Pobiegła czym prędzej do babki, aby o nim pogadać. Pani Tańska zgaszona była jak pochodnia i dymiła złym humorem.

- Mówiłam mu: "Noś pan jesienią trykoty! odziewaj się ciepło!" Mówiłam mu dziesięć razy i myślisz, że mnie posłuchał? Płaszczyk nosił podszyty wiatrem, a buty miał... Wiesz, jakie miał buty? Przyszedł kiedyś, a ja patrzę: na dywanie kałuża... Ryby można było łowić... Powiadam mu: "Co to znaczy? Czemu pan nie wyciera nóg przed drzwiami?" "Wycierałem, wycierałem - bredzi ten zbójca - ale nie udało się. Ta woda nie pochodzi z zewnątrz, to jest woda zaskórna, wypływa z wnętrza butów!" Podnosi bezczelnie najpierw jedną nogę, a potem drugą i chwali się, że ma w podeszwach dziury. Chciałam zazgrzytać zębami, ale mnie uprzedził, a ja z nim nie wytrzymam konkurencji. "Na sztuce się dorobiłem! - zaczął krzyczeć. - To są moje odznaczenia za waleczność! Tak za nią chodziłem, krok w krok, żem zdarł te śmieszne buty!" Słyszałaś coś podobnego?

- Babciu... - rzekła Basia nieśmiało. - Trzeba mu było kupić nowe...

Pani Tańska spojrzała ponuro.

- Tak myślisz? - rzekła czarnym głosem.

Otworzyła z wielkim trzaskiem szafę i podniosła w rękę parę promienistych butów; z ich ogromu można się było domyślić, że pan Walicki żyje "na szerokiej stopie".

- Co to jest?! - krzyknęła gromko.

- Buty...

- Istotnie. Ślepy poznałby, że to buty. Kupiłam i mówię: “Weźmij je i noś w imię boże!” A ten morderca omal że mnie nie zabił. Krzyczał tak, że w całym domu uczyniło się zbiegowisko.

- “Nie potrzeba mi niczyjej łaski! - darł się jak opętany. - Artystą jestem, a nie żebrakiem! Niech je pani sama nosi, bo pani ma słoniowe nogi... I obie lewe!” Słyszysz? Aha! I jeszcze gorsze rzeczy wygadywał. “Starożytne damy mają zwariowane pomysły. Może mi pani ofiaruje jeszcze jakieś swoje barchanowe majtadały? Niech je pani da komu innemu... Przydadzą się na namiot podczas ulewy!’ Potem trzasnął drzwiami i tyle go widziałam. Ot, biedaczysko!

- Babcia się rozgniewała?

- Za co? To jest człowiek jak łaza i ma swój honor. Nagadał on mnie, nagadałam ja jemu i koniec... Smutno mi bez niego... A gdy się dowiedziałam, że chory, serce się we mnie ścisnęło... Pójdiesz tam do niego, Basiu?

- Idę jutro z panem Szotem.

- To dobrze, to bardzo dobrze! Powiedz mu, chciałam jak najlepiej. A tego Szota zapytaj, czy czego nie potrzeba. Teraz nie będzie mógł robić awantur. Nieszczęśliwy pan Antoni... Gębę wykrzywia, a serce ma anielskie... Marcysia zapłakuje się w kuchni... Mówił jej, że przez milion lat będzie gryzła w piekle to, co podle zgotowała, i że będzie popijać smołą, a babina przepadała za nim. Zabrał raz ją do teatru, kiedy grał jakiegoś ducha, a Marcysia uciekła z teatru ze strachu. Za to chciał ją ucałować... Powiedz mu, Basiu, żeby prędko wyzdrowiał!

Pan Antoni Walicki, najstraszliwszy Herodes wszystkich czasów, żywy upiór i wilkołak, prezes stowarzyszeń straszących duchów, herszt zbójców i krwawe widmo, nie miał jednak tego zamiaru. Dyszał ciężko i łowił powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Wodził ponurym spojrzeniem po pułapie, jakby tam ujrzał śmierć w postaci pająka. Czasem pokrzykiwał głośno i zapewne ją odstraszył, bo długo czaiła się w mroku. Gorączka zjadała go uporczywie.

Przyjaciel Szot odwiedzał go często i wpatrywał się w niego smętnym, zbolałym spojrzeniem. A pan Antoni zapytywał urywanym, spotniałym głosem:

- Co słyszać w teatrze?

Przyjaciel opowiadał o blaskach i nędzach umiłowanego teatru udając beztroską wesołość. Nagle ujrzał na cmentarzysku twarzy Walickiego gwałtowne skrzywienie, znając zaś jej obłądną wymowę zdumiał się:

- Czemu się cieszysz, Anteczku?

- Cieszę się... - mówił ciężko stary Herod - bo mnie czeka wielka... wielka... przyjemność... Tylko czekam, aby umrzeć... Tej samej nocy tak będę straszył tego ananasa dyrektora, że albo osiwieje, albo ucieknie z domu...

- Warto, warto! - rzekł Szot z uznaniem. - To partacz nie dyrektor. Ale ty, Antoni, nie umrzesz... Mowy nie ma!

- Umrę, umrę, choćby z grzeczności... Nie mogę robić zawodu doktorom, którzy już podpisali wyrok. Aha, Szot!

- Słucham cię, bracie!

- Poduszkę możesz zabrać sobie... Kołdrę też... Tylko nie sprzedawaj, oprysku jeden, bo się spijesz... Znam cię. Za to musisz przed karawanem nieść wszystkie moje ordery...

- Jakie ordery?

- Te wszystkie gwiazdy, które widziałem w biały dzień, kiedy byłem głodny... I te wszystkie krzyże...

- Przestań, Anteczku, masz gorączkę...

- Zawsze miałem gorączkę, przez całe życie... Uczciwy aktor musi mieć zawsze gorączkę... Ile razy wchodzi na scenę... A ja przez czterdzieści lat... Ale za to Heroda grałem, że palce lizać!

- Morowo odstawiłeś Heroda! - rzekł Szot z zapalem. - I ducha ojca Hamleta! Już nikt tak nie zagra!

Stary aktor przymknął oczy z zachwytem. Śmierć zaszyła się w jakiś ciemny kąt, a promień słońca wpadł przez okno ze złotą radością. Szpitalny pokój napłynął się zgiełkiem i wrzawą: "Walicki! Walicki!" - To galeria tak klaszcze i woła, i domaga się ukazania aktora przed kurtyną.

- Szot... - szepnął stary Herod.

- Jestem...

- Wszystkie fotografie dasz Basi... Słyszysz?

- Słyszę... Basia przyjdzie tu jutro!

Walicki otworzył oczy szeroko i zawołał jasnym głosem:

- Przyjdzie? O, przyjacielu... Szot, ja muszę się ogolić!

Nadobnie ogolony, z podnieceniem w oczach, oczekiwał jej nazajutrz od samego rana.

Basia zjawiała się po południu z bukietem jesiennych fiołków, uroczysta i jakby trochę zalękała. Szot, czekający na nią przed bramą, rzekł do niej smutno:

- Bardzo jest źle, ale proszę się uśmiechać...

- Ja nie mogę.

- Trzeba! Trzeba się uśmiechnąć.

- Dobrze! - powiedziała Basia.

Zmartwiła na krótką chwilę, ujrawszy “wujaszka Walickiego” zamienionego w ponury cień, lecz gdy dostrzegła nieludzką jego radość, uśmiechnęła się rozrzewniającym uśmiechem. Chciał wyciągnąć ręce w jej stronę, ale nie mógł.

- Basiu! - szepnął. - Basieńko!

- Wujaszku złoty! - mówiła dziewczynka drżącym głosem. - Wszystko będzie dobrze... Wszyscy się modlą za twoje zdrowie. I babcia, i ciocia... I Marcysia się modli i płacze...

- Nareszcie zupa będzie osolona, jeśli łyżę leje do zupy... Dobrze, że przyszedłeś... Teraz, Basiu, spokojnie umrę... Bardzo na ciebie czekałem... Szot, nie podsłuchuj... Chcę jej coś powiedzieć...

Przyjaciel usunął się na palcach w stronę okna i patrzył na ogród. Basia usiadła przy łóżku.

- Pochyl się nade mną... Tak!... nie mogę mówić... A chciałbym ci powiedzieć, drogie dziecko... że cię bardzo... bardzo kocham... Nie mam na świecie nikogo... wszyscy odeszli... Sam jak palec... Nikt nigdy... nie przytulił twarzy do mojej twarzy... tylko ty... Pamiętasz? Na dworcu... Przed dziesięcioma laty...

- Pamiętam...

- Nigdy tego nie zapomniałam... Pan Bóg cię zesłał... bo mi było w sercu strasznie ciemno... A ja mam serce... To wygląda na kłamstwo, ale mam...

- Ja wiem o tym!

- To dobrze... Pamiętaj o mnie, dziecinko... Choćby niedługo, ale pamiętaj... To tak strasznie smutno pomyśleć, że nikt nigdy nie wspomni...

Basia zaczęła mówić szybko, gorącym szeptem, że nie tylko ona, lecz że kochają go wszyscy i nigdy, przenigdy o nim nie zapomni, ale niepotrzebnie o to prosi, bo wyzdrowieje. Herod przymknął oczy i słuchał chciwie. Zdawało mu się, że jest śmiertelnie znużonym wędrowcem, co wyczerpany legł pod drzewem, a na drzewie śpiewa ptak. Pachną mocno jakieś fiołki, pachną aż do upojenia, a łaskawe wiosenne słońce ogrzewa zgrabiałe jego ręce. Dotyk słońca napędza go niewysłowioną błogością... Jest mu ciepło, jest mu niezmiernie dobre... Słońce pieścizotą ogrzewa jego ręce. Spojrzał na nie otworzywszy z trudem oczy i ujrzał, że to nie słońce: to Basia położyła na nich swoje dziecinne, małe rączka.

- Basia... - szepnął jakby zdumiony. - O, jak ciepło... Tak... to przecie wiosna...

Dziewczyna spojrzała z rozpaczą w stronę Szota. Czemu Herod mówi o wiośnie? Zapada właśnie jesienny mrok. Co mu się roi?

A Herod mówi zdyszczanym szeptem:

- Jest mi dobrze... Strasznie byłem zmęczony... Tyle lat, tyle lat... Serce spalone na popiół... Wszystko spalone. Bo ja zawsze całą duszę... Całą duszę wkładam w to, co było... co było piękne... Basiu, jesteś tu?

- Jestem! - odpowiedziała zdławionym głosem.

- Nie odchodź... Całe życie sam... Niech przynajmniej teraz... Nie boisz się mnie?

- Wujaszku!

- To dobrze... Ja tylko na twarzy... ale w duszy... O, Boże, Boże miłosierny!...

W okrzyku tym było tyle skargi, tyle prośby, tyle jęku i tyle łez, że nappełnił on cały pokój. Cisza, która potem zapadła, była jakaś niezmiernie poważna i uroczysta. Bładość pokryła twarz i serce dziewczyny. Stała bezradna i zalekła wobec czegoś wielkiego i wzniosłego. Biedny człowiek wzywał Boga głębokim jękiem duszy.

- Zasnął... - szepnął Szot.

Basia podniosła się z krzesła i patrzyła z niewysłowioną tkliwością na tę twarz brzydką, chmurną, wymęczoną i zmiętą. Jej "pierwszy opiekun", cierpieniem pobity, leżał bezbronny, Łazarz i Hiob dopraszający się jednego ciepłego słowa. Chciała mu ich powiedzieć tysiąc tysięcy.

- Śpi... - powtórzył Szot.

Nagle Basia chwyciła jego rękę.

- Niech pan patrzy!... - szepnęła.

Zorana zmarszczkami, groźna twarz "krwawego Heroda" jakiejś gwałtownej uległa przemianie: wygładziła się, pojaśniała i przez cud chyba niepojęty opromieniła się jasnym, dobrym, łagodnym uśmiechem. Złoto tego niespodzianego uśmiechu ukazało się na białych jego ustach. Ponury straszliwiec uśmiechał się, szczęśliwy, och, jak bardzo szczęśliwy!

Musiał umrzeć, aby się uśmiechnąć...

X

“INTRYGNA I MIŁOŚĆ”

Basia wracała do domu jak błędna. W króciutkim swoim życiu widziała już śmierć dwa razy, a myślała wciąż o trzeciej: w przepaści dalekiej ziemi. Dwa razy dotknęła jej ręką. W tej chwili niosła w oczach ostatni, dobry uśmiech znużonego człowieka, który tym uśmiechem witał spokój wieczysty i niezmacony.

Tak była zamyślona, że niebacznie, w niebezpiecznych miejscach przechodziła przez jezdnię. Nagle postyszała zdyszane sapanie i gniewny, rozkrzyczany warkot automobilu, który z największym trudem zatrzymał się tuż przed nią. Posypał się w jej stronę grad gwałtownych okrzyków; oprzytomniawszy zaczęła biec w stronę chodnika; umknąwszy jednak przed śmiercią nie zdołała umknąć przed policjantem, który stanął przed nią w marsowej grozie.

- Czy panna nie ma oczów? - zadał jej pytanie zgoła ironiczne, gdyż dwoje oczów patrzyło w niego z pokornym lękiem. - Trzeba będzie zapłacić złotówkę... Ma panienska pieniądze?

Basia miała pieniądze i już chciała otworzyć torebkę, lecz zatrzymała się. Pokorny lęk ciężkiego przestępcy nagle gdzieś się zapodział, a bezczelna damska figura, mącąca haniebnie prawidłowy ruch uliczny, spojrzała bystrze na pogodne oblicze przedstawiciela publicznego porządku i rzekła:

- Dobry wieczór, panie Michale!

Granatowy człowiek otworzył szeroko urzędowe usta i jakby stężał wedle tej samej metody, której użyła żona Lota zamieniwszy się w słup soli. Przez jezdnię przemknęło, chytrze i podstępnie, najmniej dziesięciu lekkomyślnych Lechitów, zanim odzyskał mowę i buchnął okrzykiem jak fontanna:

- Panna Basia!

Zdawało się przez chwilę, że w obliczu niesfornego świata, mającego skłonność do wpadania pod auta, zbrojny mąż zacznie całować rączki dziewczynki; pohamował się jednak i tylko oczami krzyczał, że go większa nie mogła spotkać przyjemność i że dawno wspanialszej nie zaznał radości. Tego nie mogły mu zabronić żadne przepisy. Dawny Michałek, wierny służka pana Olszowskiego, ósmy brat śpiący, trzeci z kolei opiekun Basi, jej wyznawca i wielbiciel, a obecnie wspaniały rycerz przypasany do rewolweru i pałki, otworzył po raz drugi wspaniałą gębę, tym razem w szerokim uśmiechu. Drugi dziesiątek niesfornych Lechitów,

korzystając z tego otumaniałego stanu władzy, przebiegł przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

- O, jak się cieszę... o, jak panienka wyrosła... - mówił szybko granatowy mąż. - Teraz nie mam czasu na rozmowę, ale czy ja mogę przyjść do państwa?

- Musi pan przyjść! - rzekła Basia serdecznie. - Do widzenia!

- Chwileczkę! - mówił czujny żuraw. - Panno Basiu... Proszę się nie gniewać... Ale złotóweczkę trzeba zapłacić!...

Basia zapłaciła złotóweczkę z największą powagą, pan Michał wyprostował się i zasalutował elegancko.

- Proszę się pięknie kłaniać...

Nie wymienił tej szczęśliwej osoby, gdyż zawładnąwszy już zmaconymi zmysłami, dostrzegł dwudziestego pierwszego niesfornego Lechitę, co korzystając z zamieszania przebiegał przez jezdnię, i ułapił go uczyniwszy dwa jelenie susy.

Basia ujrzała go po raz drugi na pogrzebie Walickiego.

Piękny to był pogrzeb. Nie było żadnej nad grobem rodziny, ale wierni, najwierniejsi odprowadzali go przyjaciele. Pan Olszowski przemówił wzruszająco. Szot łkał wtuliwszy głowę w ramiona. Pani Tańska patrzyła w trumnę twardym wzrokiem, lecz przyśpieszony oddech zdradzał, że burza jakaś tłamsi się w jej sercu. Ktoś rzucił do otwartego grobu mizerną wiązkę kwiatków, lecz podziw ogarnął zebranych, gdy pani Tańska wzięła z rąk zapłakanej kucharki dość okazałe zawiniątko i pochyliwszy się nad grobem złożyła je u stóp trumny. Nikt nie śmiał zapytać, czym obdarzyła starego aktora na podróż w niebiosy? Jedna Basia wiedziała, że to owe błyszczące, promieniste buty... W nowych butach stanie sobie dumny pan Antoni przed boskim tronem i olśni całe niebo. Umarłe aktory spojrzą z zazdrosnym podziwem i rzekną: "Aleś się, bracie, wyelegantował!" A najbardziej zdumieje się aktor sławny, pan Trapszo, co buty swoje dyrektorskie zszywał białą nitką i czernił je potem umiejętnie, albowiem wielka chwała rzadko w całych butach wędruje przez świat.

Pani Tańska, dowiedziawszy się o ostatnim uśmiechu krwawego Heroda, rzekła krótko:

- Zawsze wiedziałam, że to był oszust. Na gębie miał cmentarz, a śmiał się do środka.

Pomodliła się jednak gorąco, aby mu Pan Bóg przebaczył to ponure szachrajstwo, potem kazała przyjść Szotowi.

- Niech pan w każdą niedzielę przyjdzie na obiad! - rozkazała szorstko. - Niech pan przyjdzie, bo nie mam się z kim kłócić.

- Ale ja jestem spokojnym człowiekiem, szanowna pani!

- Nic nie szkodzi. Przy mnie zrobi się pan awanturnikiem... Będę miała jakieś zajęcie, bo żyję za długo i straszliwie mi się nudzi. A ja mam jeszcze cztery zęby!

Tymi czterema zębami usiłowała rozgryźć twarde zagadnienie:, co to się właściwie dzieje z Basią. Dziewczyna zmizerniała i straciła ten żywy humor, który był źródłem wesołego zamieszania w domu Olszowskich. Pan Olszowski był zaniepokojony. Basia, odwiedzwszy dwa razy jeszcze profesora Somera, poczęła wysyłać tajemnicze jakieś listy i jakieś listy zaczęły przybywać do niej. To było najdziwniejsze, że Basia musiała korespondować z Paryżem, stamtąd bowiem przychodziły odpowiedzi. Nikt nie chciał zapytywać ją o te sprawy.

- Musi wiedzieć, co robi! - orzekła pani Olszowska. - To nie jest głupia dziewczyna.

Pani Tańska zasłyszawszy o tym, od razu odnalazła prawdziwy powód tajemniczej korespondencji:

- Musiała się zakochać w kimś, kto przebywa we Francji!

- Ależ, babciu, cóż za pomysł! - wybuchnęła pani Olszowska.

- Pomysł nie najgorszy - odrzekła babcia. - Aby długo nie szukać, ja sama zakochałam się we Francuzie.

- W kim?

- W Napoleonie III. Byłabym nawet napisała do niego list, ale nie umiałam po francusku. A Basia umie. Zobaczycie, że z tego będzie awantura.

Basia miała wprawdzie romansowe kłopoty, ale na rodzinnej ziemi. Zajmowały one południową stronę jej serca, tę jeszcze dziecinną i pogodną, bo na północnej jego stronie gromadziły się chmury i latały ponad nią troski.

Cała szkoła wiedziała o "śmiertelnej" miłości i krwawym współzawodnictwie genialnego Juliusza, co umiał naprawiać dzwonki, i wieszczą Zygmunta, oblewającego siódmym potem każdy rym niepoliczonych wierszydeł. Basia zapomniała o nich podczas chmurnych dni, wśród których był ten jeden, jesiennym wiatrem wydęty i pomazany skisłym, deszczowym mrokiem: dzień odlotu wędrownego żurawia, biednego Heroda, na wyraj w niebieskiej krainie. Prędko jednak wyskoczyli obaj jak dwa szatany z magicznego pudełka. Dwa cienie wędrowały za nią niezmordowanie i czaiły się na jej drodze; jeden po lewej, drugi po prawej stronie ulicy. Udawała, że ich nie widzi, ponieważ jednak nie można było przejść obojętnie wobec tak niezmierniej miłości moknącej na deszczu i wytrwale prażącej się na słońcu, czasem - bardzo rzadko! - ofiarowała zagadkowe spojrzenie lewym okiem geniuszowi od dzwonek, a prawym geniuszowi od pisania wierszy. Takie łaskawe spojrzenie zostało na wieki wieków zasuszone w poemacie Zygmunta, z którego szczątek zaledwie dotarł do nas:

Uśmiechnęła się do mnie - o serce, ratunku!

Bowiem cóż to jest uśmiech? To pół pocałunku!

Ponieważ na znak obłądnej zgoła radości z tego samego powodu trudno było Juliuszowi naprawić wszystkie dzwonki w mieście, nieszczęśliwy ten człowiek, którego serce było młotkiem Neffa (zobacz w podręczniku fizyki) - postanowił oblec w krwawiące ciało wszystkie swoje groźby. Szczegóły ponurej tej sprawy wyszły na jaw za pośrednictwem kuzynki Juliusza. Opowiedziała ona zrozpaczoną szeptem całej szkole o serdecznej męce naprawiacza dzwonek, który dnia jednego, chmurny jak noc i Achilles w pierwszej pieśni Iliady, uderzył z mocą ręką o stół i zakrzyknął słowami Mickiewicza: "Trzeba tę rzecz skończyć! Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć!" Za czym posłał sekundantów Zygmuntowi.

Przyszło ich dwóch, a chociaż dzień był słoneczny, poecie uczyniło się czarno w oczach. Sekundanci tacy byli mroczni jak dwa postne dni, a tak od nich wiało śmiercią, jak zapach kiszzonej kapusty wionie ze starej beczki.

- Wiesz, o co idzie... Szkoda marnować słów, zresztą Julek zabronił nam wymawiać imię jednej osoby, które jest dla niego święte. Stałaś na jego drodze, więc jeden z was musi zginąć.

- W takim razie on zginie! - krzyknął poeta nawet dość potężnie, niewątpliwą jest jednak prawdą, że to nie on krzyknął, lecz strach, który w nim mieszkał.

- To się jeszcze pokaże - zaśmiał się jeden z sekundantów i zmierzył poetę uważnym wzrokiem, jak gdyby zdejmował na oko miarę na trumnę.

- Raz kozie śmierć! - oświadczył drugi.

Nie wiadomo dobrze, co w tej śmiertelnej sprawie miała koza do roboty. Ponure to oświadczenie brzmiało na pozór bez sensu, lecz groźny poseł, z obojętnością potraktowawszy kozę, z takim naciskiem wymówił słowo "śmierć", że wykrzyknik po nim przybrał widomy kształt cyprysu, smutnego drzewa rosnącego nad grobem. O to szło!

Cała sprawa toczyła się w największej tajemnicy, dlatego tylko jeden z kolegów o niej nie wiedział, bo na swoje nieszczęście był chory. Wlokła się ona przez dwa tygodnie. Naradzano się nad wyborem broni uśmiercającej całkowicie i bez nadziei ratunku. Co dnia któryś z dobrych towarzyszy podsuwał inny sposób zakatrupienia przeciwnika. Jednym z najznakomitszych, lecz, niestety, niewykonalnym był pomysł, aby do pudełka włożyć jadowitą kobrę, za czym obaj śmiertelni wrogowie mieli na pięć minut wrazić równocześnie ręce w straszne pudełko. Kogo wybierze żmija, to sprawa jej i sprawa losu. Nie można było też urządzić przeciwnikowi kęsim z pomocą broni ani siecznej, ani palnej, gdyż nie było

sposobu jej wydostania. Odpadł doskonały pomysł, aby obaj wrogowie zanurzyli równocześnie głowy pod wodą; wygrałby ten, który by miał dłuższy oddech. Taki pojedynek wyborczy w lecie, był dość ryzykowny w listopadzie. Z miłości można umrzeć, rzecz jasna, ale po co się zaziębić? Głucha wieść zaczęła wałęsać się po szkole: Skończone! Będzie amerykański pojedynek... Straszny pojedynek...

Już nie czterech, po dwóch z każdej strony, ale trzydziestu sześciu sekundantów, po osiemnastu na głowę, wymyśliło jeden z najokropniejszych pojedynków, jaki zanotowano w awanturniczych dziejach świata. Obaj rywale złożyli ponurą przysięgę, że od dnia 13 - trzynastego! - listopada, od godziny dziewiątej rano przestaną przyjmować pokarmy. Nie wolno im wziąć do ust niczego prócz wody. Wszystkie możliwe szachrajstwa zostały przewidziane. Woda musi być wprost z kranu i nie wolno w niej przemycać chytrze żadnych pożywnych rozpuszczalnych dodatków. Kto zginie, ten zginie. Trudno. Kto wytrzyma, będzie zwycięzcą. Każdemu z przeciwników przysługuje prawo kapitulacji. Może się stawić przed śmiertelnym trybunałem i ogłosić: "Dłużej nie mogę! Poddaję się!" Przez to samo, jako pobity, zejdzie z drogi zwycięzcy i nie wolno mu już nigdy współzawodniczyć w "wiadomej" sprawie.

Cała klasa Basi śledziła z niewypowiedzianym wzruszeniem dzieje tego pojedynku. Na nią patrzono z zazdrosnym podziwem.

- Jakaś ty szczęśliwa! - mówiono.

- Zielonooka jest już cała zielona z zazdrości!...

- Ależ to wszystko nie ma sensu! - mówiła Basia, nieco bez przekonania.

Wielki ją jednak ogarnął niepokój, gdy trzeciego dnia zaczęły krążyć po szkole biuletyny.

- Zygmunt omal że się nie przewrócił...

- Julek jest blady jak śmierć...

Zielonooka Wanda uśmiechała się z politowaniem i wzruszała ramionami.

Czwartego dnia wpadła do szkoły Ewcia Szczepańska z przerażającą wieścią:

- Wiecie? Zygmunt jest umierający!

- O, Boże! - krzyknęła Basia. - Co robić, radźcie, co robić?

- A cóż ty możesz zrobić? To jest honorowa sprawa! Nie mieszaj się do tego...

Basia pobiegła do pani Tańskiej i opowiedziała jej o wszystkim zrozpaczonego głosem. Pani Tańska pomyślała głęboko i rzekła:

- Najlepiej by było, aby obaj skapieli, bo o dwóch idiotów byłoby mniej na świecie!

- Jak babcia może tak mówić?

- Mogę, bo sama znam taki wypadek. Gdy byłam młoda, zakochał się we mnie jeden brunet, na którego nie chciałam patrzeć, bo nie cierpię brunetów. Wtedy przysiągł, że tak długo będzie stał na jednej nodze przed moimi oknami, aż się nad nim zlituję. Stał tak przez pięć dni, przez pięć nocy! Jednego dnia na lewej, drugiego na prawej nodze. Cała okolica zjeżdżała się, aby zobaczyć wariata...

- I co, i co?

- I nic. Kiedy mnie tak wzruszył, że już, już chciałam za niego wyjść, ten drab stanął na obydwóch nogach i ożenił się z moją przyjaciółką, co nad jego poświęceniem płakała z rozczulenia.

Nazajutrz wybuchła awantura wśród chłopców, bo wyborny poeta istotnie zemdłał w szkole i odwieziono go do domu. Na żadne pytania jednak nie odpowiadał i zacisnąwszy zęby nie chciał jeść.

- Ja pójdę do jego rodziców i wszystko powiem! - oznajmiła Basia.

- Może tak będzie najlepiej - zgodziły się zalękłe dziewczęta. - Ale poczekaj do jutra...

On się podda.

Zielonooka wtrąciła lekceważąco:

- Albo zmądrzeje!

- Poddał się! Zygmunt się poddał! - zakrzyknął następny dzień.

Ale to nie było poddanie się; to była nieczysta sprawa. Leżący na łożu głodnej boleści poeta otrzymał przez posły tajemniczy list. Przeczytał go mętym wzrokiem, potem ryknął: "Jeść! jeść!" Ani przed trybunałem nie stanął, ani się uroczystemu nie poddał ceremoniałowi. Rzucił się na jedzenie łapczywie jak tygrys.

- Niesmaczne! - rzekła klasa Basi.

- On mówi zapewne, że jedzenie jest smaczniejsze - rzekła piękna Zielonooka.

- Wanda coś wie... - poszedł szept po szkole.

Zielonooka wydobyla z torebki papier i mówiła niedbale.

- Napisał do mnie wiersz...

Jedna z koleżanek chwyciła łapczywie poemat i odczytała go zdumionemu społeczeństwu. Basia słuchała ze ściśniętym sercem. Ona zna ten wiersz... Ten wiersz napisany był dla niej. Podły poeta wydarł z niego jak serce jej imię i na tym miejscu zasadził Zielonooką. Ach, to tak? Przez jedną chwilę chciała się rozplakać, ale czy warto płakać? Dlaczego jednak tak uczynił?

Chyba głód pomieszał mu zmysły? - pomyślała gorzko.

Całą klasę zastanowił triumfalny uśmiech Zielonookiej; namiętny szept oznajmił, że ta dziewczyna musiała maczać palce w tej "intrydze i miłości". Wreszcie się wydało, wszystko się wydało! Od zarania dziejów nie zdarzyło się, aby się cokolwiek mogło ukryć w żeńskiej szkole. Wierne koleżanki Basi przeprowadziły dochodzenia, długie i cierpliwe. Siostra Zygmunta, wylupiastooki pędrak z czwartej klasy, sprzedała zbrodniczą tajemnicę za dwanaście czekoladek. Dreszcz przebiegł po wielu oburzonych sercach, gdy się wiadomym stało, że Zielonooka napisała list do marnego poety i przesłała go przez jego siostrę wylupiastooką. W liście tym wyśmiała krwawo jego opętaną miłość do Basi i wśród zatrutych kwiatków słów posłała mu własne - zapewne zielone - serce. Nie dbała o niego, lecz dopuściła się potwornej zdrady, byle dokuczyć Basi. Ach! Niektóre dziewczęta miały łzy w oczach. Święta kobieca solidarność została znieważona. Sponiewierana przyjaźń. Serce podeptane. Zielonooka nie zważała jednak na nic. Ośmieliła się oświadczyć głośno wobec trzech koleżanek przejętych zgrozą:

- Jeżeli mi się będzie podobało, to i Juliusz będzie leżał u moich stóp!

Pięknie to było powiedziane, prawie tak jak w teatrze, lecz każde słowo toczył robak.

Basia dowiedziawszy się o tym spojrziała na nią wyniośle, z królewską obojętnością.

- Ta pani zbiera same tandety! - powiedziała. - Wszystko z drugiej ręki... Powinna przeczytać Zemstę o mur graniczny. Powiedział tam Fredro: "Bo nie będę z ziemi zbierał, co Milczkowi z nosa spadło!"

- Świetnie jej powiedziałaś! - orzekła klasa. - W piąty jej poszło!

Milcząca wojna strzelająca huraganowym ogniem spojrzeń i raniąca białą pogardą trwała nieustannie i nie było widać jej końca. Zbliżał się jednak dzień imienin przełożonej szkoły, damy wielce czcigodnej i bardzo kochanej. Święcono go zawsze w sposób nadzwyczaj uroczysty: graniem, śpiewaniem i deklamacją, lecz świetnością świetności były zawsze żywe obrazy. Czcigodna dama musiała przez cztery bite godziny słuchać i patrzeć, co serce jej napełniało wzruszającą radością, a głowę trzydniową migreną, uroczystość ta bowiem stwarzała znakomitą sposobność do publicznego pokazania wszystkich talentów szkoły, w której było siedem słowików śpiewających, osiem cudownych deklamatorek, cztery pianistki i takie dwie, które do siódmego potu umiały dręczyć skrzypce. Pot spływał po tym lubym muzycznym narzędziu, a struny straszliwym bekiem ogłaszały przerażonemu światu, że są baraniego pochodzenia. Każdy talent pragnął dać znać o sobie w tym radosnym dniu. Primadonną uroczystości była jednak zawsze Zielonooka. Nikt nie mógł zdzierżyć tej ślicznej dziewczynie, posągowo pięknej. Nie posiadała żadnych talentów: kot śpiewał lepiej od niej, a głuchoniemy umiejętniej deklamował, w żywych obrazach jednakże była niedościgniona.

Toteż głuchy niepokój ogarnął klasę. Bez niej się nie obejdzie, bez tej zdrajczyni! Któż ją zastąpi w uroczystej apoteozie, wymyślonej wspaniale przez nauczycielkę literatury? Na środku sceny, na podniesieniu, ma stać nieruchomo bóstwo z płonąca pochodnią w dłoni; jedna z artystek, wpatrzona w nie, ma wygłosić na klęczkach wiersz, za czym bóstwo, które musi być wspaniale piękne, skłoni przed przełożoną “oświaty kaganiec”, jak żołnierz skłania sztandar przed wodzem. Nikt inny nie mógł być bóstwem tylko ona, Zielonooka... Wszystkie wiedziały o tym i ona wiedziała. Kącikiem oka patrzyła drwiąco na zbijające się gromadki radzące szeptem. Zdawała sobie sprawę, że kozy muszą przyjść do wożą. Przyszły, z trudem wymawiając słowa:

- Czy będziesz “bóstwem”?

- Nie wiem... zastanowię się... - odrzekła niedbałym tonem.

- Musisz!

- Wcale nie muszę i zrobię, jak mi się będzie podobało.

Dziewczęta były bliskie płaczu. Co będzie, jeżeli zażąda, jak ksiązę Bogusław Radziwiłł od Kmicica, aby klasa przed nią uklękła, a ona nogą dotknie jej czoła?

Zielonooka postanowiła okrutnie igrać z zalękłym sercem całej klasy, nagle jednak, po rozmowie z nauczycielką, zmieniła zamiar.

- Będę bóstwem! - oświadczyła łaskawie.

Nikt nie mógł dojść, skąd ta niespodziana wspaniałomyślność; nikt bowiem nie wiedział, że nauczycielka opisując scenę powiedziała:

- Staniesz nieruchomo, a przed tobą uklęknie Basia Bzowska...

- Basia? - krzyknęła Zielonooka.

- Czemu się tak dziwisz? Basia wybornie mówi...

- Ja się nie dziwię, proszę pani... Ja się bardzo cieszę!

O, przewrotności!

Basi było najzupełniej obojętne, przed kim uklęknie. Zawezwany pilną sztafetą Szot pracowicie i umiejętnie czynił próby i kierował “tłumem”. Teatr ten żywo przypominał dom wariatów, więc nieznacznie tylko różnił się od prawdziwego teatru.

Przedstawienie było świetne. Wiele osób płakało z rozczulenia, ale nigdy razem, lecz zawsze z osobna. Gdy śpiewała Zosia, płakała mama Zosi i dwie jej ciotki, po czym szybko ocierały łzy, bo zaczynała grać na skrzypcach Irena; wtedy z kolei obowiązek rzewnego płakania spadał na jej mamę i na trzy jej kuzynki. W ten sposób, powoli, wszyscy odplakali swoje, nikt nie został pominięty i cała publiczność serdecznie była zadowolona.

Dreszcz przebiegł przez salę, gdy już przebrzmiały wysokie kocie śpiewy i gdy wszystkie baranie kiszki skrzypiec wypląkały swe skargi. Teraz odbędzie się “uroczysty finał”. Po podniesieniu zasłony blask padł na salę. Zielonooka, jako bóstwo, promieniała majestatem; w oczach miała zielone błyskawice, królewską dumę na czole. Odziana była w powiewne szaty, lekkie jak obłok. Basia pokornie przed nią klęcząca wzniosła ku niej błagalnie ręce, wołając:

- “Ty światło szerzysz, o dostojna pani, ty nas ku zorzy prowadzisz z otchłani, ty swą pochodnią precz odgarniasz mroki, ku prawdzie wiodąc zawsze nasze kroki!”

- Zniżyć pochodnię! - ostrym szeptem rozkazał Szot spoza kulisy.

Zastygła w pysznej swej pozie Zielonooka, wpatrzona w pokorną Basie, napawała się triumfem. Zapomniała o roli w dumnym zapamiętaniu się. Usłyszawszy przenikliwy rozkaz Szota opuściła płonąca pochodnię tak szybko...

Krzyk przerażenia i gromadny jęk wybuchnął na zatłoczonej sali. Czcigodna przełożona zemdląca. Dziewczęta pisnęły płaczliwym piskiem. Powiewne szaty bóstwa oświaty zapłonęły żywym ogniem.

- Pali się, pali się! - krzyknęło sto zrozpaczonych głosów.

W zielonych oczach bóstwa zamigotał śmiertelny przestach. Wszyscy tak osłupieli, że nikt nie rzucił się na ratunek. Nie! Nie wszyscy... Basia zerwała się z klęczek kocim ruchem i parząc sobie ręce zaczęła z jakąś oszalałą pasją zrywać z bóstwa płonące szmatki. Zdarła jakąś zasłonę i zaczęła dławić ogień.

- Panie Szot! - krzyknęła przeraźliwie.

Szot wyskoczył spoza kulis i błyskawicznym ruchem zdjawszy z siebie frak, użył go wspaniale do gaszenia pożaru, po czym porwawszy nieszczęsne bóstwo na ręce, wyniósł je ze sceny.

Basia stała na niej, blada i ciężko dysząca. Ze zdumieniem patrzyła na swoje ręce, jakby chcąc zbadać, dlaczego ją tak straszliwie pieką.

XI GŁOS ZZA ŚWIATA

W dwa tygodnie później przyszła poparzona Zielonooka do poparzonej Basi. Podeszła ku niej nieśmiało i bez jednego słowa wyciągnęła ku niej ręce. Chmurne oczy Basi pojaśniały i spojrzały ze słodyczą. Ręce miała jeszcze w bandażach, więc je podniosła powoli, lecz już po to, aby nimi przytulić Wandę szlochającą na jej piersi.

- Przestań... przestań... - mówiła Basia. - Bo i ja chyba się rozplaczę.

Groźba łatwa była do spełnienia, bo łzy zaczęły płynąć same. Nie ma bardziej niesfornych stworzeń niż damskie łzy, szczególnie te, które wypływają z rozczulenia. Żadnym sposobem nie dadzą się zatrzymać. Inżynierowie na próżno łamią sobie głowy nad wynalezieniem tamy przeciwko takim łzom.

Zielonooka oznajmiła Basi, że zawdzięcza jej życie i że do końca tego ocalonego życia nigdy tego nie zapomni. Basia uznała to za przesadę i powołała się na obowiązek bliźniego, który powinien gasić lekkomyślną osobę usiłującą usmażyć się na befszytk po angielsku. Zielonooka pragnąc zadokumentować, że jest innego zdania, ujęła delikatnie ręce Basi i niespodzianie podniosła je do swoich ust. Twarz Basi pokrył purpurowy rumieniec, jak gdyby ona z kolei pragnęła spłonąć żywym ogniem; czym prędzej przeto obie otworzyły słozociąg - (czuła odmiana wodociągu!) - i lały ślęzy na pożar serc. W tym oczyszczającym ogniu narodziła się, jak salamandra, wielka przyjaźń na śmierć i życie, trudno bowiem wymyślić coś jeszcze poza śmiercią i życiem. Gdyby można było siłę zakłęb i rozmach pocałunków zmienić na energię, starczyłoby jej na pęd do lokomotywy na przestrzeni Warszawa-Otwock.

Gdy się w nich serca ukoiliły, a dusze ułożyły skrzydła jak ptaki po burzliwej podróży, Zielonooka rzekła cichutko:

- Czy mi przebaczysz Zygmunta?

- Zygmunt jest dla mnie powietrzem! - rzekła Basia cichym głosem.

- A ja myślałam... O, jak to dobrze! Dla mnie też... To wierszokleta! Wiesz, w kim się teraz kocha?

- Jest mi to obojętne. Nie pragnę wiedzieć... W kimże takim?

Zielonooka wyszeptwała jakieś nazwisko, które powitał wybuch śmiechu.

Jedna pani Tańska nie była zbyt zachwycona bohaterskim czynem Basi, znając Zielonooką z opowieści orzekła sucho:

- Trzeba było pozwolić, aby się trochę przyrumieniła.

- Ależ babciu! - zawołała ze zgrozą pani Olszowska. - Jak można nie mieć serca?

- Nie gadaj głupstw! Ja mam serce z masła, ale nie cierpię pychy u młodych dziewcząt. Czy ja byłam pyszna z mojej urody? Zapytaj tych, co mnie znali, gdy miałam piętnaście lat... Z daleka przyjeżdżali ludzie, aby mnie zobaczyć.

Ponieważ ci wszyscy naoczni świadkowie dawno już pomarli, nie można ich było wyciągać z grobów w tak drobnej sprawie, tym bardziej że nierównie ważniejsza zjawiała się na widnokręgu. Pod adresem pana Olszowskiego przyszedł list z uroczystym napisem głoszącym, że go wysłano z ambasady francuskiej. Ambasada zapytywała pana Olszowskiego, czy prawdziwą jest wiadomość, że w jego domu znajduje się panna Barbara Bzowska, od dawna przez całą Francję poszukiwana. W piśmie tym oznajmiono powściągliwym stylem, że trzykrotne listy w tej samej sprawie wysyłane do Basi pod adresem niejakiej pani Tańskiej, u której poszukiwana osoba miała znaleźć schronienie, pozostały bez odpowiedzi.

Rada rodzinna, zwołana w gwałtownym trybie, odbyła się burzliwie. Pan Olszowski patrząc przenikliwie na panią Tańską zapytał zniechęcony:

- Czy babcia otrzymała jakieś listy z francuskiej ambasady?

- Być może... - odrzekła babcia. - Cóż jednak obchodzi kogo moja poufna korespondencja z ambasadorem? Owszem pisał do mnie, ale...

- Ale co?

- Ale ja tego wcale nie czytałam!

- Na Boga, czemu?

- Bo nie umiem po francusku.

- A dlaczego babcia mnie o tym nie mówiła?

- Po co? Zresztą nieboszczyk Walicki mi odradził, a to był mądry człowiek. Oboje przeglądaliśmy te listy i wyczytaliśmy razem tylko dwa słowa "Barbara Bzowska". Wtedy Walicki zakrzyknął: "Ho! ho!" Gadaliśmy o tym długo i doszliśmy do wniosku, że się Francuzom zachciało Basi. Co miałam robić? Miałam ją oddać Francuzom, jak Józefa Egipcjanom? "Niech pani spali te listy, aby śladu nie zostało!" - mówił Walicki.

- I babcia spaliła?

- Nie tylko spaliłam, ale kazałam Marcysi rozsypać popiół na cztery wiatry.

- Skaranie boskie - mruknął pan Olszowski. - Czy babcia wie, dlaczego Francuzi szukają Basi?

- A skądże ja mam wiedzieć? Ja mam osiemdziesiąt lat! - krzyknęła babcia triumfalnie. - Dlaczego szukają?

- Bo Basia dostała spadek we Francji!

Pani Tańską zerwała się z krzesła.

- Nie może być! A dlaczegoż tego od razu nie napisali?

- Zapewne napisali... Tylko że po francusku.

- Głupstwo zrobiłam, ale to Herod winien nie ja. Mów prędko!... Czy już przepadło?

- Nic nie przepadło.

Prawdziwa, babka Basi, Francuzka, która wyszła za Polaka naturalizowanego we Francji, odziedziczyła po śmierci męża duży majątek. Umarł on w Indochinach, gdzie przebywał na rządowej posiadzie. Tknięta melancholią po tej śmierci, żyła w całkowitym odosobnieniu, cokolwiek zdziwaczała, smutkiem osnuta jak pająk swym przędziwem. Córka jej i wnuczka, o której wiedziała, mieszkały w dalekiej Polsce. W swojej samotni, w dalekim zakątku świata nie słyszała nic o tragedii zięcia ani śmierci córki. Dziwaczny przypadek dopiero zapukał do jej serca... Basia dowiedziawszy się od profesora Somera o adresie pana Gastona Dimaurtac, ocalałego towarzysza wyprawy jej ojca, zaczęła wymieniać z nim owe tajemnicze listy, które tak niepokoiły panią Tańską. Zapytując o dzieje ojca napisała niejedno o sobie i o swojej francuskiej babce. Znał zaledwie jej nazwisko. Przypadek, największy autor świata, sprawił, że pan Dimauriac żonaty był z panną, której rodzice znali doskonale jej babkę. Powróciwszy z Indochin zamieszkała ona w ustronnym domku koło Fontainebleau. Francuski uczony, wzruszony smutną dolą nieznannej polskiej dziewczynki, wybrał się niezwłocznie do starej, zdziwaczałej w opuszczeniu damy i zdołał obudzić jej śpiące serce. Stara kobieta słuchała w smutnym, gorzkim zdumieniu, jakie okropne spustoszenie poczyniła śmierć w jej najbliższym kole. Ocknęła się i zasnute melancholią oczy przemyla łzami. Wyprawiono list do ambasady francuskiej w Warszawie z prośbą o znalezienie Basi. Ponieważ w owym czasie Olszowscy przebywali za granicą, Basia przeniosła się do pani Tańskiej, więc ten adres znał pan Dimauriac i tam skierowano urzędowe epistoły.. które uległy zagładzie ognia.

Dopiero czwarty list odnalazł Basię u Olszowskich. Oznajmiał on o śmierci prawdziwej babki i o testamencie, który walną część ogromnego majątku przeznaczał dziewczynie.

Pana Olszowskiego pouczone, że powinna ona wybrać się do Francji i tam, korzystając z opieki polskiej ambasady i odpowiedniego prawnika, zakończyć zawile sprawy spadkowe, tym zawilsze, że jest nieletnią.

Basia nie zdradzała najmniejszej chęci wyjazdu, energicznie buntowana zresztą przez panią Tańską.

- Strzeż się podróży koleją! - mówiła babka. - Raz ci się już nie udało i gdyby nie Walicki, byłabyś skapiała, a Walickiego już nie ma. Zresztą zginiesz w Paryżu... To musi być straszne miasto. Opowiadają, że tam jest podobno więcej aut niż w Warszawie i że koni wcale nie ma, bo je Francuzi dawno już zjedli. Koni nie ma, słyszałaś coś podobnego? Ciekawam, z czego też oni w Paryżu robią serdelki?

Basia nie obawiała się aut, lecz smutku. Kochała tutaj wszystkich gorącą miłością. Tutaj, między nimi, przekonała się, że jednak ludzie są dobrzy, a ci, o których opowiada się, że są źli, są raczej nieszczęśliwi. Mówił jej jednego razu pan Olszowski:

- Za złe mi to biorą, że w moich książkach roi się od ludzi dobrych, jasnych i miłosiernych, a przecie z palca sobie tego nie wyssałem. Zresztą wielką odczuwam litość dla złych, z rozmysłem natomiast sławię. dobroć promienistą. Urojeni ludzie z książek wychodzą z nich jak duchy wywołane z nicości i wchodzą w ludzką gromadę. Serce ludzkie takie jest dziwne, że więcej wierzy jasnemu urojeniu niż mętnej, czarnej rzeczywistości; więc moi dobrzy ludzie z książek korzystając z tego przywileju szerzą wieści o istnieniu dobra i o potrzebie miłosierdzia. Moje książki wędrują pomiędzy rzesze, niechże przeto świecą, niech grzeją, lecz niech nie straszą i nie burzą naiwnej, prostej wiary w serce człowieka.

Dziewczyna wierzyła w nie głęboko. Osobiście mogła oświadczyć, że nie spotkała jeszcze ludzi złych; oczywiście, spotka ich kiedyś, świat bowiem nie jest rajem; oczywiście, że gdzieś istnieją, w jakichś zaułkach życia; los mógł ją, ślepe, bezbronne dziecko, skierować w ich stronę. Więcej jednak musi być na bożym świecie dobrych i miłosiernych, skoro wypchnięta w ludzką gromadę natknęła się na nich właśnie. Z gorącej wdzięczności utrwali w sobie wiarę w dobrego człowieka i wiary tej nie zachwieje w niej nawet krzywda, którą jej może kiedyś wyrządzić człowiek zły. Pan Olszowski, umiejący patrzeć w głębie ludzkich serc, pouczał ją, że rzadkością jest człowiek, który złym się rodzi. Gniewu i złości naucza go głód, nieszczęście, niesprawiedliwość i podłość. Wstrętna ohyda nędzy, której nie powinno być na radosnym świecie, jest najstraszliwszym nauczycielem zła, więc kto nędzę wygania z ziemi, kto jej ze słodyczą ociera łzy, kto jej zimne serce ogrzewa, ten czyni rzecz najszlachetniejszą: zasypuje źródło zła.

Dziewczyna zamyśliła się głęboko.

Dotąd miała w całym swoim bogactwie uczciwe, współczujące serce i tę odrobinę promienistej radości, którą oddałaby na każde zawołanie człowieka nieszczęśliwego. Nie pożywiłby się tym, lecz ogrzałby się przy promieniu. Teraz jest inaczej; teraz posiada majątek, za który można kupić całą górę chleba. Jej mądry nauczyciel, Olszowski, mówił:

- Najśłodszy chlebem jest ten chleb, którym można nakarmić głodnego; trucizną i twardym kamieniem, przez przekleństwo w kamień zamienionym, jest ten chytrze ukryty, zachłannie gromadzony, pleśniejący bez użytku.

Basia mało wiedziała o straszliwym morzu nędzy; skrwawionej, głucho milczącej, zrozpaczonej i ogarniającej cały świat. Zbyt wielkie to były sprawy dla dziewczęcego serca. To wielkie, martwe morze śmierci i opuszczenia nie było widoczne jej oczom, niedaleko patrzącym. Pan Olszowski wie o nim i inni wiedzą.

Ona jednak, jeszcze dziecko, zdaje sobie sprawę, że nawet tuż-tuż, o dwa kroki, w malutkim kole jej życia, dzieje się -jakaś piekąca niesprawiedliwość. Obok siebie, na swojej drodze króciutkiej, spotyka spojrzenia głodne i śmiertelnie smutne, bose nogi, zziębnięte ręce, łachmany i obszarpanie. Przecie i pan Walicki - dobry, och, jak dobry człowiek - nie miał tortów; pan Walicki jednak był mocny i zahartowany, lecz te drobne dziecko drżące na mrozie i skostniałe, które często widuje pod bramą, nie jest ani mocne, ani zahartowane. Przypomina bezbronnego ptaka, nad którym waży się na czarnych skrzydłach straszliwy jastrząb: śmierć. Więcej jest takich dzieci niż wróbli.

Serce Basi spoważniało w zadumie. Nieśmiało wsunęła się do pracowni pana Olszowskiego i mówiła nieśmiało:

- Wujaszku, czy ja będę miała prawo zrobić z tym spadkiem, co mi się podoba?

- Oczywiście - odrzekł pan Olszowski. - W odpowiednim czasie...

- To dobrze... To tylko chciałam wiedzieć...

- Pamiętaj, dziecko - dodał on szybko - że u nas możesz pozostać zawsze. Jak długo nie oślepnę lub jak długo nie rozchoruję się ciężko, wystarczy dla nas wszystkich.

- Wiem o tym! - rzekła Basia ze wzruszeniem. - A czy pomożesz mi, wujaszku, rozporządzić tym majątkiem?

- Z całego serca. Czy masz jakieś plany?

- Mam wiele planów, daj Boże tylko, żeby wystarczyło - zaśmiała się Basia.

W tej chwili zapukano do pracowni.

- Telegram do Basi! - oznajmiła z wielkim przejęciem pani Olszowska.

Basia z lękiem otworzyła ten dziwny papierek, który z równą obojętnością ogłasza szczęście i śmierć.

- Jezus Maria! - krzyknęła zduszonym głosem podając telegram zalęknionemu panu Olszowskiemu.

Pan Gaston Dimauriac donosił w krótkich słowach, że nadeszły nieokreślone wiadomości o ojcu Basi:

JEŚLI NIE TRAGICZNA POMYŁKA MOŻLIWE ŻE ŻYJE PROSZĘ PRZYJECHAĆ NIEZWŁOCZNIE

Basia, blada jak gieźło, stała przez chwilę nieruchoma oddychając szybko; potem z niespodzianym wybuchem płaczu przytuliła się do pani Olszowskiej oparłszy głowę na jej piersi.

- Cicho, cicho, drogie dziecko - uspokajała ją pani Olszowska, sama bliska rozplakanego rozrzewnienia.

Połączonym wysiłkom obojga udało się uciszyć rozelkaną dziewczynę.

- Ja już od dawna nie mogłam sobie dać rady... - spowiadała się Basia. - Nie wiem czemu. Mój ojciec śnił mi się i wciąż powracał we śnie... Powiedzcie mi, czy to naprawdę możliwe, aby jeszcze żył?... Czy można było nie odkryć jego śladów przez dziesięć lat?!

- Możliwe, Basieńko - pocieszał ją pan Olszowski. - Kraj dziki i zapadły... Co ci mówił profesor Somer?

Basia, rozwinąwszy mapę gwałtownym ruchem, zaczęła ich objaśniać: jak, co, któredy?

- Tędy szli - mówiła gorączkowo - a tu zdarzyło się nieszczęście, nad jakąś przepaścią. Pan Dimauriac ocalał jedynie...

- Czy nikt nie szukał twojego ojca?

- Pan Dimauriac był ranny i jak mi pisał, sam nie mógł się tym zająć, coś jednak słyszał o poszukiwaniach, ale o daremnych poszukiwaniach. Ale żeby przez dziesięć lat...

- Nie raz jeden - mówił w zamyśleniu pan Olszowski - ginęli podróżnicy i członkowie wypraw naukowych w dżunglach i puszczech i słuch o nich ginął. Odnajdywał ich albo szczęśliwy przypadek, albo taki szlachetny upór jak upór Stanieya, który w zatęchłej afrykańskiej puszczy odnalazł Livingstone'a. Niedawno, bo przed kilku miesiącami, rozeszły się wieści, że ekspedycja naukowa, którą uważano za przepadła od lat dziewięciu, daje znaki życia. Bądź dobrej myśli, drogie dziecko! Może się właśnie zdarzył taki cud, że twój ojciec przez całe lata ukryty był w jakimś niedostępnym pustkowiu, albo chory, albo niezdolny do powrotnej wyprawy. Na wiadomości pana Dimauriaca nie można budować zbyt wiele, może ona jednak być taką nitką, która cię powiedzie do wnętrza tajemnicy. Co daj, Panie Boże! Już w tym jest jakieś dziwne zrządzenie, że odnalazłaś tego Francuza. Co cię do tego skłoniło?

- Nie wiem sama - odrzekła Basia w głębokim zamyśleniu. - Nie wiem sama. Profesor Somer pokazał mi fotografię ojca... Wtedy mi się wydało, że spojrział na mnie żywym spojrzeniem...

- Dziwne, dziwne! - szepnął pan Olszowski.

Profesor, zawiadomiony natychmiast o wielkiej nowinie, okazał żywe wzruszenie.

- Wszystko jest możliwe - rzekł z namysłem. - Bzowski mógł przez całe lata przebywać w jakichś indiańskich komyszach, w jakichś górskich odludziach, dokąd nikt nie dociera, bo nie ma po co. Czy Basia pojedzie do Paryża?

- Oczywiście! - zawołała dziewczyna.

- Moje listy będą tam przed tobą, Basiu - rzekł słynny geograf. - Trzeba będzie poruszyć niebo i ziemię, i tych, co żyją poza niebem i ziemią; wszystkich uczonych całego świata. Czy sama pojedziesz?

- Ja z nią pojedę! - oświadczył szybko Olszowski.

Postanowienie Olszowskiego spotkało się jednak z żywym sprzeciwem pani Tańskiej.

- Ty tam po co? - rzekła niecierpliwie. - Sam chodzisz po świecie jak lunatyk i nigdy dobrze nie wiesz, jaki jest dzień tygodnia. Gdyby nie mądra żona, jadłbyś obiad raz na miesiąc. W sam raz dobry jesteś na opiekuna niemądrej pannicy! Musi z nią pojechać Nikt, ktoś energiczny, który sobie potrafi dać radę z samym diablem, ktoś obrotny i praktyczny...

- Więc kto ma jechać? - zapytał drwiąco pan Olszowski.

- Ja! - zagrzmiała triumfalnie babcia. tylko ja! Ja nie dam zginąć dziewczynie.

- Doskonale - zaśmiał się pan Olszowski. - Z tym tylko kłopot, że babcia nie umie po francusku.

- Powiedział, co wiedział! - rzekła pani Tańska z niesłychanym ogromem pogardy. - Więc cóż z tego, że nie umiem? Po chińsku też nie umiem, a gadałam z Chińczykiem i rozumieliśmy się doskonale.

- Gdzież to babcia gadała z Chińczykiem?

- Tu, na tym miejscu. Przyszedł taki Kitajec, co sprzedaje kościane figurki i różne bożki z gołym brzuchem, bardzo śmieszna kreatura. Przez pół godziny gadaliśmy sobie na migi i wytargowałam jakiegoś chińskiego małpiszona za połowę ceny. Chciałabym widzieć w Paryżu takiego, co by mnie ocyganił!

- Ależ babcia ma osiemdziesiąt lat! - śmiał się pan Olszowski.

- Tylko człowiek źle wychowany liczy lata kobiecie. Przede wszystkim nie mam osiemdziesięciu lat, bo mi brakuje siedmiu dni, a następnie pozwolę sobie powiedzieć, że nie

wiadomo jeszcze, kto ma bardziej zgarbione plecy, czy ja, czy taki, co krzywo siedzi przy biurku. Domyślasz się chyba, o kim mówię?

Pani Tańska była bliska wielkiego gniewu, gdyż wyjazd ukochanej Basi przyprawił ją o rozdrażnienie. Z jawną pogardą przyjęła do wiadomości, że jednak pojedzie z Basią pan Olszowski.

- Jeśli z tego nie będzie nieszczęścia - rzekła opryskliwie - to dlatego tylko, że Bóg czuwa nad Pijakami i takimi, co są niespełna rozumu i piszą książki.

Zamknęła się w swoim namiocie jak obrażony Achilles i podczas niedzielnego obiadu zwymyślała cierpliwego Szota od komediantów. Szot jednak miał, taką szczęśliwą naturę, że zły humor babci zaostrzał jedynie jego apetyt.

- Pan już zjada szósty kotlet! - krzyknęła babcia w gniewnym zdumieniu.

- Nigdy mi nie szkodzi, jeśli jem do pary - odrzekł Szot z kamiennym spokojem.

- Ależ to są baranie kotlety! Słyszysz pan: baranie!

- Dlatego też zjadłem tylko sześć, cielęcych zjadłbym osiem - odrzekł Szot ze zgasłym uśmiechem.

Pani Tańska osłabła i dlatego tylko gorący zamiar rzucenia w niego ciężką srebrną cukiernicą spelzł na niczym.

Coraz większy jednakże okazywała niepokój, im bliżej było do wyjazdu Basi.

Czyniono do niego pilne przygotowania. Pan Olszowski rozmawiał z prawnikami i składał wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Musiał rozmawiać z dziennikarzami, wiadomość bowiem o przypuszczalnym ocaleniu młodego uczonego stała się wielkim zdarzeniem dnia. Z telegramu pana Dimauriaca wysnuto długie i barwne opowieści, które żywo poruszyły wszystkich, najbardziej jednak szkołę Basi.

"Klasa" przygotowała jej uroczyste pożegnanie, nie wiadomo bowiem, czy jeszcze kiedy powróci. Patrzono na nią z zachwyconym podziwem. Basia jedzie do Paryża. Basia jedzie na spotkanie zaginionego ojca! Basia to, Basia owo...

Dziewczyna była niemal nieprzytomna od wielkich wzruszeń. Serce jej rwało się do tej podróży, w tę dalekość, na której sinym krańcu ma znaleźć tego jedyne, nieszczęśliwego, który cierpiał przez lat dziesięć. Przebiegał ją zimny dreszcz na myśl, że pogłoska mogła przelecieć z wiatrem i rozwiać się we wiatr. Tknięte taką zrozpaczoną myślą, serce jej ustawało na chwilę, aby zaraz potem napęlić się gorącą nadzieją. Musi, musi odnaleźć ojca! Otoczona jest miłością, jakąż jednak najtkliwsza nawet miłość zastąpi tę wielką, nie darowaną, lecz z niczego się rodzącą i odnawiającą się w każdej chwili i każdej godzinie, miłość najbliższego człowieka? Tę miłość, co się przedzie z każdego spojrzenia, z

każdego dotknięcia, z każdego uśmiechu i każdego słowa? Basia pragnie jej teraz całą duszą, najgorętszym, łakomym, zachłannym pragnieniem. Ojciec, ojczulek, tatuś... Sponiewierany, pobity przez los i nieszczęście, jasnooki, śliczny! Tym droższy, tym ukochańszy, że taki nieszczęśliwy, cudem odebrany śmierci jak łup tygrysowi... Często w nocy, w uśpionym domu, sieroce dziewczęce serce wołało go cichutkim jękiem. Ojciec, ojczulek, tatuś... Basia tuliła się do tego nieznanego promiennego widma, wyciągała ku niemu ręce, obejmowała go z czułością. Myśl o nim nie opuszczała jej ani na moment. Patrząc na wysmukłego, lekko stąpającego młodego człowieka na ulicy, myślała: On tak musi wyglądać!

Po chwili przychodziło jej na myśl, że okropne przejścia musiały pozostawić na nim bolesne ślady. Wyszukiwała przeto spojrzeniem ludzi młodych jeszcze, lecz mających osrebrzone siwizną skronie. Człowiek taki uśmiechał się widząc, jak nieznana dziewczyna patrzy na niego z zachwytem, co przemocą tłumi okrzyk radości.

Już niedługo, już niedługo!

Pożegnanie z "klasą" było zgoła śmiertelne. Basia pomyślała z rozczuleniem, że gdyby umarła, nie byłoby większego płaczu i narzekania. Gdyby Wisła nagle wyschła, można by potężnie zasilić jej źródła potopem koleżeńskich łez. Dziewczęta płakały z nieokiełznaną rozrzutnością; Basie oddawano sobie w ramiona, aby przyjemną tę, choć zarówno bolesną operację rozpocząć *da capo senza fine*. Zielonooka wylała takie masy wilgoci, że oczy jej zamieniły się we dwa Zielone Stawki tatrzańskie. Należało to przypisać urzędowemu lekceważeniu uczuciowych wybuchów, że Polski Instytut Meteorologiczny nie zanotował wzmoczenia się wilgoci nad Polską centralną i gwałtownego przyboru słonej wody.

Niczym jednak było to pożegnanie, rzecz można ceremonialne, w porównaniu z uroczystością tajemną, w najściślejszym kółku sześciu przyjaciółek, takich, co to: "aż do śmierci i po niej też". Na tym zebraniu było mniej łez, więcej za to drżące milczenia, grobowej powagi i spojrzeń tak czarnych, że lampy przygasły. Przypominało ono ponure obrady sprzysiężonych w katakumbach lub w podziemiach zamkowych zwalisk. "*Bracia z Ajaccio*" lub "*Towarzysze Jehudy*" z pewnością weselsze odbywali zebrania. Z rozdzierającym smutkiem przysięgła Basia przyjaciółkom, a przyjaciółki przysięgły Basi, że jedynie całkowity koniec świata rozdzieli ich serca, bo sama śmierć dokonać tego nie zdoła, każda z nich bowiem, nawet po śmierci, nie zapomni i powróci jako duch. Ponieważ zaś z dawien dawna krwią jedynie uroczyste pieczętowano pakty, więc sześć śmiertelnych przyjaciółek wydrapało sobie na skórze ramienia krwawe znamię w kształcie litery B. Basia pomyślała z odrobiną przestachu, że - płacąc krwią za krew - powinna wyryć na swoim

ramieniu sześć liter sześciu imion. Wyjaśniono jej jednak, że wystarczy, jeśli je sobie wyryje na korze serca, i to tylko “na niby”, bez śmiertelnej operacji.

Płonącym stylem proroka Jeremiasza, który groził swojemu językowi, że mu do podniebienia przyschnie, gdyby zapomniał Jeruzalemu, złożono sobie wzajemną przysięgę grożącą zagładą i nieszczęściem nie tylko obrotnemu językowi, lecz wszystkim kończynom, dolnym i górnym, gdyby jedna zapomniała o drugiej, a one o Basi. Dopiero po wyczerpaniu wszystkich ciemnych szczegółów obrzędu pozwolono sobie, już poza programem, na odrobinę przyjemności, na wylanie odpowiedniej ilości łez.

Bardzo pokrzepiło Basie to przyjacielskie zebranie i tych sześć krwawych znamion przypominających żywo znaki na chusteczkach. Przekonała się, że pozostawia poza sobą wierny hufiec, który jej odkrzyknie, chociażby zawołała z końca świata. Dlatego było jej przykro cokolwiek, gdy jej pan Olszowski zabronił zdradzenia koleżankom dnia i godziny odjazdu.

- Nie pragnę spektaklu na dworcu! - rzekł do Basi. - Jeszcze się która rzuci pod koła lokomotywy.

- Wszystko to możliwe - odpowiedziała Basia. - Wierna przyjaźń zdolna jest do wszystkiego. Dobrze, wcale nie powiem.

Nie można było jednak uciec potajemnie przed zagniewaną panią Tańską. Staruszka przyjęła “awanturników” z początku dość mrukliwie, aby “utrzymać fason”, nie mogła jednak wytrwać długo w kamiennej pozie. Ryknęła sobie babcia wcale głośno, potem kazała Basi uklęknąć i uroczyście błogosławiła ją na drogę.

- Czego płaczesz? - krzyknęła.

- To nie ja, to babcia...

- Ja? Ja nigdy nie płaczę... Nigdy... Tylko raz jeden: u Ojca Świętego na posłuchaniu. Wtedy powiedział do mnie po łacinie: “Nie płacz, moja córko! Zaraz się skończy!” Ale teraz nie płaczę... Wracaj prędko z ojcem... I powiedz mu, że może przychodzić do mnie na obiad w każdą niedzielę... Z tym Szotem nie mogę już wytrzymać, bo tyle zjada... Masz wszystko na drogę?

- Wszystko, babciu najdroższa!

- Jak mówisz? “Najdroższa”? Dawno już nie słyszałam tego wyrazu... Dawno... Pierwszy mój mąż mówił tak do mnie, ale potem, szelma, uciekł ode mnie...

Marcysia! Przynieś wszystko z mojego pokoju!

Państwo Olszowscy patrzyli z przerażeniem, a Basia z rozradowaniem na olbrzymi tłumok, katowskim związany sznurem.

- Co to jest? - krzyknął pan Olszowski.

- Podrózne drobiazgi - odpowiedziała babcia z przekąsem. - Ty byś o tym nie pomyślał, ale ja pomyślałam. W tym zawiniątku jest poduszka, kołdra, gumowa flaszka na gorącą wodę, spirytusowa maszynka, butelka ze spirytusem. W długiej podróży wszystko się przyda... Aha! Coś tam jeszcze jest... Marcysiu! Co tam jest?

- Pieczony indyk i kilo bulionu - rzekła Marcysia lejąc ślozy na indyka i na bulion.

- To na Paryż! - zawołała babcia. - Bo tam pono karmią pieczonymi ślimakami.

Basia tkwiła w objęciach pani Tańskiej, a pan Olszowski mówił szeptem do żony:

- Zabierz to do domu albo rzuć z mostu do Wisły! Potem on całował dzielną babkę, która rzekła z niesmakiem:

- Czuć cię cygarami... Człowiek palący cygara nie powinien leżeć z gębą do wytwornych kobiet. Marcysiu! Prędko kolońskiej wody!

XII SZUKANIE DUSZY

Pan Gaston Dimauriac był Gaskończykiem, jak sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano, tego nosa, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosała osobny usypać kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się nie umęczoną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie: ustami, oczami i rękoma; słowami migał jak szpadą, przypominając owego Gaskończyka, który tak grzmiał w liście: "Piszę do ciebie trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej". Zapalny entuzjasta tak się uradował mętną wieścią o ocaleniu towarzysza i przyjaciela, że ani na chwilę o nim nie zwątpił. Uściskał Basie z rozrzewnieniem, zerwał z ruchliwych ust najpiękniejsze piwa i obsypał ją nimi jak różami. Olszowskiego z serdecznym wylaniem klepał po ramieniu i oznajmił mu, że niezwykle kocha "dzielnych Polaków".

Basia słuchała z wypiekami na twarzy nieustannego szumu wymowy pana Dimauriaca wyławiając zachłannie słowa, w których jawił się jej ojciec.

- Czy żyje? - wołał pan Gaston. - Musi żyć! Taki nie zginie... Wydobył się spod gruzów kamieniska, o, dzielny człowiek!

- Jak to było, drogi panie? - pytał pan Olszowski.

- Złe było, nieszczęśliwie było! Pięliśmy się na koniach górską ścieżką pełną wyrw i rozpadlin. Bardzo rano, zaraz po wschodzie słońca. Ojciec tej panienki jechał pierwszy, za nim drugi nasz towarzysz, ja na końcu, o kilka kroków w tyle, gdyż moje zwierzę miało zranioną nogę. Droga była niebezpieczna zawsze, tego dnia jednakże trudniejsza niż zwykle, bo śliska. Stąpaliśmy bardzo ostrożnie, byliśmy bowiem bez przewodnika... Spał się, zwierzę, i uciekł... Tam bardzo piją... Bzowski jednak naglił, gdyż traciliśmy wiele czasu przez deszcze. Naprzód, naprzód! To było źle... Nasze dzielne konie musiały nie raz jeden skakać przez rozpadliny, nie raz musieliśmy zamykać oczy... Droga była ciężka, lecz cudowna. Chmury wlokły się pod nami, nad nami rozpościerał się błękit, wyprany w stu burzach i wysuszony na palącym słońcu. Chcieliśmy przed zachodem słońca dotrzeć na szczyt góry, aby zejść na nocleg w dolinę leżącą mniej więcej w połowie naszej drogi. Po kilku godzinach dotarliśmy do miejsca prawie nie do przebycia. Trzeba było zawrócić, szukać jakiejś okrężnej drogi i stracić kilka dni. Zastanawialiśmy się nad tym odpoczywając, bo nogi naszych zwierząt, ciężko objuczonych, drżały ze zmęczenia. Wtedy stało się najgorsze: nie wiadomo

skąd i kiedy zaczęła nas okrażać mgła, ciężka i zgniła mgła, jakaś okropna gęsta powódź, która zabrała góry, skały i cały świat, jakby to wszystko połknęła. Sytuacja stała się rozpaczliwa, bo z niewidzialnych gór zaczął sączyć się dotkliwy, przejmujący chłód. Po godzinie zdrętwiliśmy tak, że nie mogliśmy poruszać rękami.

- Och, ojczulku! - szepnęła Basia po polsku.

Dimauriac spojrział na nią przenikliwie, jakby się przyjrzeć chciał obcym słowom, których nie rozumiał. Musiał je jednak zrozumieć, gdyż pogładził ją miękko po głowie.

- Cicho, cicho, panienko... To jeszcze nie koniec... Teraz dopiero zaczęło się nieszczęście. Nie widzieliśmy nic na odległość ręki. Zdawało się nam, że jesteśmy nurkami na poszarpanym dnie morza. Wiedzieliśmy, że po lewej stronie znajduje się stroma ściana skały, a po prawej przepaść. Nie mogliśmy stać na miejscu, nie mogliśmy zdążyć przed siebie. Na każdym zakręcie zygzakowatej ścieżki czyhała na nas skostniała na zimnie śmierć.

- Nie wydostaniemy się stąd! - rzekł nasz towarzysz.

- Musimy się wydostać! - krzyknął ojciec pani. - Przecie tą drogą, jeśli to można nazwać drogą, przejeżdżali Indianie i przebył ją samotny biały człowiek: słynny podróżnik, Argentyńczyk Tchiffely, "człowiek na dwóch koniach". My wprawdzie zmierzamy dalej, ale co się udało jednemu, uda się nam trzem.

Ojciec pani starał się podtrzymać w nas odwagę, nie mógł, niestety, powstrzymać nocy, która waliła się na nas jak okropny upiór, wysławszy przed sobą ową gęstą mgłę. Uradziliśmy gorączkowo, aby pozostawić konie i choćby czołgając się powrócić do dość bezpiecznego miejsca, które przebyliśmy przed trzema godzinami. Zwierzęta zdołają przebyć tutaj noc, my nie. Zabraliśmy odrobinę zapasów i paliwa i ostrożnie, niemal po omacku poczęliśmy iść krok za krokiem w dół. Zimno było przeraźliwie, a z nas lał się strumieniami pot. Ojciec pani, idąc znów na przedzie, dotykał ręką każdego kamienia jak ostrożnie stąpający ślepiec. Wszyscy trzej byliśmy niewidomi... Zacięliśmy zęby i odbywaliśmy tę okropną wędrówkę w śmiertelnym milczeniu. Dookoła też wszystko milczało. W pobliżu gniazda śmierci milkną wszystkie głosy. Obyśmy byli nie słyszeli żadnego...

Pan Dimauriac otarł pot z czoła przeżywając w opowieści ową godzinę.

- Usłyszeliście głos? - zapytał cicho pan Olszowski.

- Tak - rzekł ciężko Francuz. - Usłyszeliśmy ryk Falistej ziemi. Jakaś niewidzialna straszliwa ręka, jakaś głucha moc uderzyła w górę, a góra cisnęła na naszą dantejską drogę niepoliczoną ilość kamieni. Góra ukamienowała nas. Po głuchym dudnieniu poznaliśmy, że toczą się na nas ruchome głazy. Posłyszałem głuchy okrzyk ojca pani, jakiś rozpaczliwy rozkaz, jakąś zrozpaczoną komendę. Nie dosłyszałem jednak do końca bo pocisk z ciemności

ugodził mnie w piersi. Nie wy obrażałem sobie większej ciemności niż ta, która nas otaczała, a jednak ogarnęła mnie ciemność jeszcze większa, już nieprzenikniona. Dopiero po dwóch dniach... Po dwóch dniach odnaleziono mnie, ale tylko mnie...

- A mój ojciec? Co się stało z moim ojcem?

- Nikogo nie było na zerwanej ścieżce, na okropnym osypisku. A z lewej strony była przepaść... Byłem chory, rozbity, na pół przytomny, lecz ostatkiem sił domagałem się poszukiwań. Jestem dobrym i uczciwym towarzyszem, droga panienko... Sumienie moje jest czyste... Zostało zrobione wszystko, co w mocy ludzkiej... Niedaleko, pod skalnym rumowiskiem, znaleziono martwego naszego towarzysza, ojca pani nie znaleziono. Mnie zniesiono daleko, do Loi. Przebyłem tam trzy miesiące wciąż mając nadzieję, że może jakiś ślad, może jakaś wiadomość... Musiałem wreszcie wracać... Niech mi pani wierzy, że z rozdartym sercem... Przez lat dziesięć nie mogłem znaleźć spokoju. Ostatni krzyk dzielnego ojca pani brzmiał w moich uszach: ostry, przenikliwy, rozdzierający krzyk. Aż oto nagle, po dziesięciu latach...

- Prędko, prędko! Niech pan mówi!

Dimauriac uśmiechnął się łagodnie.

- Czyż można mówić prędzej niż ja? Ale będę mówił jeszcze prędzej... Otrzymaliśmy wiadomość, najpierw bardzo ogólnikową, potem więcej zrozumiałą. Amerykański przyrodnik zbierający okazy dla Muzeum Przyrodniczego w Nowym Jorku zasłyszał w mieście Guayaquil, że we wnętrzu Ekwadoru, wśród szczepu Jibarów przebywa biały człowiek, który - niech to pani nie przeraża! - żyje życiem Indian. Nie chcę mówić, jak wygląda to życie... Ponieważ Amerykanina poczęła dręczyć ta zagadka, a zmierzał właśnie na tereny Jibarów, odbył swoją podróż pośpiesznie i niedawno przybył z powrotem do ekwadorskiej stolicy z tym tajemniczym człowiekiem. Miał ciężką przeprawę z Indianami, którzy go nie chcieli wydać, bo żal było posłusznego robotnika, a i dlatego też, że Indianie żywią zabobonną cześć dla...

Urwał nagle, aby nie powiedzieć, komu dzikie szczepy nigdy nie wyrządzają krzywdy. Potem mówił szybko:

- Od niego samego nie można się było dowiedzieć niczego, lecz ten człowiek miał dokumenty. Kazała mu je zachować chyba jakaś iskierka świadomości. Indianie zresztą opowiedzieli, skąd się wśród nich znalazł ten biały. Złożono jedno z drugim, przypomniano sobie, zbadano i oto nie ulega wątpliwości, że tym białym człowiekiem, co lat dziesięć spędził wśród jednego z najdziwaczniejszych i najmniej znanych plemion indiańskich, jest ojciec pani!

- Gdzie on jest w tej chwili?

- Właśnie oczekujemy wiadomości obfitszych, gdyż dotąd rozmawialiśmy jedynie przez kabel. Największą pociechą dla pani jest fakt niezbity, że ojciec żyje, ale i to niech będzie pociechą, że Francuskie Towarzystwo Geograficzne gorąco przejęło się jego sprawą. Wszystko zostało zarządzone, co zarządzone być powinno w imię uczciwej solidarności, która łączy ludzi nauki.

Zapowiadane przez Dimauriaca wieści nadeszły w niedługim czasie. W.S. Williams, ów Amerykanin, który poświęcił niezmiernie wielu trudów, aby odnaleźć Bzowskiego, samarytańskie swoje dzieło doprowadził do końca. W obszernym liście zdał sprawę uczonemu Paryżowi, który wysłał ową nieszczęsną ekspedycję, równocześnie zaś wiedząc, że Bzowski jest Polakiem, zawiadomił o wszystkim polskie władze konsularne w Nowym Jorku. Uratowany jest pod dobrą opieką.

Dimauriac przybiegł zdyszany do hotelu z tymi wiadomościami i wymachując rękami jak tonący ogłaszał wielką nowinę.

- Amerykanin, o, dzielny Amerykanin! - mówił gorączkowo - dokonał wielkiej rzeczy... Poświęcił prawie dwa miesiące, aby ojca pani przewieźć do Nowego Jorku. Dobry człowiek, zacny człowiek!

- Czemu pan mówi: "przewieźć?" Czy ojciec mój nie mógł sam... - spytała Basia ciemnym głosem.

- Tak się tylko mówi, tak się mówi... Zresztą, niech że pani pomyśli: dziesięć lat pobytu poza życiem, wśród na pół dzikich, brudnych ludzi, w zapadłym skalistym zakątku. Nie musiało mu być wesoło...

- Tak, tak... - rzekła Basia smutno. - Ale dlaczego mój ojciec nie umiał sam powiedzieć niczego o sobie?

Dimauriac spojrział przenikliwym, porozumiewawczym wzrokiem na pana Olszowskiego, który zrozumiał, że Francuz nie chce powiedzieć wszystkiego go, zapytał szybko:

- Czy Williams pisze, w jaki sposób Bzowski ocalał?

- Pisze, pisze! - mówił Dimauriac gorączkowo. - Z tego, co zdołano wydobyć od Jibarów, wynika, że dwaj Indianie znaleźli go w wielkiej odległości od miejsca katastrofy. Dlatego nasze poszukiwania, ograniczone do szczupłego terenu, nie mogły odkryć żadnych śladów. Złożywszy wszystkie szczegóły Williams przypuszcza, że ojciec pani, uniesiony przez kamienistą lawinę jak przez wezbraną rzekę, znalazł się w jakiejś rozpadlinie. Był ranny i skrwawiony, lecz odzyskawszy siły zaczął iść przed siebie z rozpaczliwym uporem.

Rozpacz umie pokonywać najstraszniejsze przeszkody... Ucieczka przed śmiercią jest gonitwą nieprawdopodobną... Ojciec pani przebył drogę, której przebycie byłoby trudne dla dzikiego zwierza. Nigdy się nie do wiemy, jak mu się to udało!

- Dlaczego “nigdy”? Przecie ojciec opowie... rzekła Basia ze zdziwieniem.

Francuz spostrzegłszy, że uniesiony potokiem słów sam się wpędził w nieprzebyty gąszcz, zbladł i nagle zacisnął usta. Rozłożył ręce gestem bezradnej rozpacz, wreszcie zaczął mówić powoli, jak gdyby każde słowo było cierniem, a on je sobie wyrwał z serca:

- Powiem... i tak to się wyda... Po co ukrywać? Pani jest dzielna, pani się nie przerazi. Ojciec pani stracił pamięć.

- O, Boże! - krzyknęła Basia.

- Dlatego nie umiał powiedzieć o niczym. Odwagi, panienko, odwagi! Miał ciężko poranioną głowę, musiał poza tym przejść przez piekło trwogi, śmiertelnej trwogi i ostatecznej rozpacz. Może to go właśnie ocaliło... Gdyby nie ta nieświadomość, nie odważyłby się zapewne nigdy na przebycie miejsc nieprzebytych aż do jakiejś dzikiej ścieżki, którą chodzą Indianie. Serce mi się kraje, niech pani nie płacze...

Pan Olszowski tulił Basie w ramionach i uspokajał ją najtkliwszymi słowami. Dziecięca jej rozpacz trwała jednak niedługo. Smutek spłynął ze łzami, dziewczyna bowiem przestała płakać niespodzianie, otarła oczy i rzekła twardo:

- Wujaszku, ja muszę jechać do Nowego Jorku!

- Wspaniale, wspaniale! - zawołał Dimauriac. - Łzami niczego się nie dokáže. Trzeba męstwa i siły. Ale jechać nie potrzeba! Nowy Jork zapytuje, co ma uczynić, dokąd wysłać ojca pani. Niech pani wyda polecenie: czy do Polski, czy tutaj?

- Jak pan radzi? - zapytał pan Olszowski.

- Ja myślę, że na brzegu francuskim będzie prędzej, a pani zapewne tego pragnie.

- Tak, tak! - rzekła Basia gorąco.

Tych “niewiele” dni ciągnęło się jak smutek człowieka. Pan Olszowski wciąż gdzieś krążył z Francuzem, Basia zaś nakazawszy sobie spokój czekała. Z twarzy Jej znikł uśmiech. Na jej duszę, młodą i rozpromienioną, spłynęła mroczna jakaś powaga. Wszystko, co nie było myślą o jej ojcu, krążyło dokoła niej, jakby w mglistym oddaleniu. Serce jej było pełne gorącej miłości dla tego nieszczęśliwego człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a którego widziała teraz nieustannie. Najwyraźniej widziała go wtedy, gdy zamknęła oczy. Oto biegnie, skrwawiony, z obłędem w spojrzeniu, przez zatraczone bezdroża, a śmierć bieży za nim wietrząc krwawe ślady. Ściga go jak ogar zaszczutego jelenia: on krwawiąc palce czepia się śliskich, ruchomych głązów i korzeni krzów; jest głodny, wyczerpany i zziębnięty na kość;

chłepce wodę z burzliwego potoku, gasząc pożar gorączki. Coś woła, krzyczy, czasem szloch zrywa się z jego piersi...

- Och, ojczulku, ojczulku! - szepce dziewczyna.

Dokoła niej szumi, gada, dźwięczy i dzwoni najpiękniejsze miasto świata, promienista jego stolica. Noc w nim stroi się w brylanty światła, bucha świetlistymi fontannami, puszy się szaleństwem przepychu. W oślepiającym tym blasku nie widać poczwarnej nędzy śpiącej w zaułkach mroku na dalekich przedmieściach. "Najciemniej jest zawsze pod latarnią!" - powiada chiński mędrzec. Burzliwy zgiełk, triumfalny hymn miasta, głuszy każdy jęk i nieśmiałe westchnienie. W natłoku przedziwnych woni zatracą się ostre, zgniły zapach nędzy. Wielkie, niezmierne miasto krwawi posoką zuchwałych światła i nie zważa na to, że gdzieś, zaułkami, sączy się prawdziwa krew. Potęga stąpa ciężko, rozgłośnie, dysząc nielitościwie po sercach przerażonych i skowyczących z bólu. Jak w każdym mieście olbrzymim, jak w każdym niepoliczonym dzikim zbiorowisku. Aż podziw zbiera, że po tym mieście, świetnym i okrutnym, słonecznym i złym, odzianym w jedwabie i łachmany, bohaterskim i nędznym, krąży piosenka, łaskawa, skrzydlata i lekka. Lata ona jak ptak nad pobojuwiskiem. Słysząc ją mimo piekielnego zgiełku. Czasem jest, ona jedyną skargą głodnych, jedynym pocieszeniem smutnych, jedynym słowem oniemiałych z rozpacz. Basia widzi to wszystko, słyszy to wszystko, lecz widzi jak przez opar, słyszy jak z oddalenia. Takie odnosi wrażenie, jak gdyby znalazła się samotna wewnątrz dyszącego ogniami wulkanu. Pan Olszowski, patrząc w milczącej trosce na jej ściszenie i zadumę, usiłował wszystkimi sposobami odwrócić jej myśl, z nagłą dojrzałą jak owoc w cieplarni, zająć ją czym innym i rozpogodzić. Dziewczyna wdzięczna mu była za te serdeczne starania, lecz ze smutnym uśmiechem, z cudowną delikatnością wypraszała się od wszystkich rozrywek. Oczekiwała przyszłych zdarzeń ze zdumiewającym spokojem. Nosila go na twarzyczce, w głębi serca jednakże czał się niepokój i zgryzota nalana w formę tego serca jak roztopiony ołów: w jakim stanie znajduje się jej biedny ojciec? Czy poczciwy Dimauriac powiedział wszystko? Czy nie ukrył najgorszego w miękkim zakątku litościwego współczucia? Bała się pytać pana Olszowskiego, który zapewne wiedział o wszystkim.

Serce w niej zamarło na moment, gdy pan Olszowski powiedział do niej wzruszonym głosem:

- Basieńko, jutro pojedziemy do Hawru.

- Ojciec?

- Tak. Pan Dimauriac jedzie z nami. Dobry człowiek.

Dzień był jakiś zły i jadowity. Wiatr zamiatał morze i tłamsił wodę, czarną i zbełtaną w gniewnym rozruchu.

- Boję się - szepnęła Basia do pana Olszowskiego.

- Czego, drogie dziecko?

- Spotkania... Nie pozna mnie... Nie widział mnie tyle, tyle lat... Ale ja go poznam. Nie wiem, jak wygląda, a jednak poznam.

- Odwagi, panno Barbaro! - mówił gorąco Dimauriac.

Okręt, zdyszany, ciężko bokami robiący, zdrożony potwór, włąził do portu ostrożnie, jakby z namysłem. Przyłgął do kamiennego brzegu i dyszał.

Basia przytuliła się mocno do ramienia pana Olszowskiego i rozgorączkowanym, płonącym wzrokiem parzyła na potok ludzi, który wytrysnął z boku okrętu. Podniósł się zgiełk i wrzawa; okrzyki radości wytryskiwały jak race; powitania grzmiały śmiechem. Jakaś panienska rzuciła się na szyję starszej pani i śmiała się płacząc równocześnie. Ktoś, kto był jeszcze na pokładzie, nie mogąc wydostać się przez zatłoczoną okrętową kładkę, posyłał komuś na brzegu pocałunki. Ten ktoś śmiał się rozgłośnie i wołał.

Basia szukała spojrzeniem, lecz nie mogła dostrzec tego kogoś, którego pozna oczami duszy. Coraz jest przestronniej na pokładzie, coraz mniej ludzi na brzegu, lecz jego jeszcze nie ma.

- Pójdę na okręt - rzekł drżącym głosem Dimauriac - proszę tu pozostać.

Minęło pół godziny, ciężkiej, na ołowianych nogach wlokącej się pół godziny.

Na okrętowej kładce ukazało się trzech ludzi. Pan Dimauriac i jakiś drugi człowiek wiedli ostrożnie kogoś trzeciego. Ten trzeci patrzył przed siebie upartym spojrzeniem, nie zważając na własne ruchy. Szedł jak automat, powoli, jakby bezwiednie.

Serce Basi załopotało i coś ją ścisnęło w gardle. Z najboleńszymi wysiłkami wydobyła z niego cichy, lecz jakby okrwawiony, rozdzierający okrzyk:

- Ojciec!

Chciała wyrwać się Olszowskiemu i pobiec na wąską kładkę, lecz pan Olszowski powstrzymał ją z trudem.

Francuz i ten drugi, nieznany człowiek szli niezmiernie powoli. Na Boga! Kiedyż wreszcie przejdą przez ten pomost, taki krótki, a tak długi jak pomost przez przepaść życia do wieczności? Już są blisko. Pan Dimauriac ma łzy w oczach i krople potu na czole, lecz Basia tego nie widzi. Całą duszę zamieniła w jedno spojrzenie, a tym spojrzeniem, jak płomieniem, ogarnęła ojca. Jej ojciec jest bladym widmem. Jego bladość ma odcień żółty, jakby starej słoniowej kości. Jej ojciec powinien mieć lat czterdzieści, lecz siwa jego głowa srebrzy się

sędziwością osiemdziesięciu. Twarz ma nieruchomą, jakby ściętą na mrozie; na takiej twarzy nigdy nie jawi się uśmiech; musiałby zamienić się w lód. Oczy, wielkie jakby nadmiernie rozszerzone, patrzą, lecz nie widzą. Dusza człowieka mieszka zawsze w oczach, w tych oczach nieszczęśliwych nie ma duszy. Świecą się, lecz zgasły. Na świat spoglądają dwie jasnoniebieskie okrągłe drobiny lodu. Z takich oczu nigdy nie wypływa ani uśmiech, gdy dusza ludzka przeżywa dzień pogodny, ani łza, gdy przeżywa noc pochmurną. Spojrzenie ich zmieniło się w nieżywą obojętność. Widziały takie okropności, że nie chcą niczego widzieć, aby nie ujrzeć nawet wspomnienia. Dusza tego człowieka poniosła okropną klęskę i rozsypała się w gruzy. Czasem tak śmiertelnie pobije ją trwoga, czasem jakiś ból ponad ludzką miarę, czasem tęsknota. Nie raz jeden marnieje i w gruz się sypie dusza więźnia, nie raz jeden śmiertelnym, nieprzeniknionym mrokiem zamroczy się dusza człowieka, który ujrzał śmierć oko w oko i poczuł jej oddech.

Basia wyciągnęła drżące ręce, jakby w rozpaczliwym błaganiu o jedno słowo, o jeden uśmiech, o jedno spojrzenie. Ten człowiek nie odpowiadał. Przytuliła się do niego spazmatycznym ruchem, a on ją odsunął od siebie niecierpliwym ruchem ręki, jak gdyby mu zasłaniała to, na co patrzył nieruchomym spojrzeniem.

Rozdzierającej tej scenie zaczęli się przyglądać przechodnie.

- Chodźmy stąd - szepnął Dimauriac.

- Czy ja będę potrzebny? - zapytał obcy człowiek.

- To pielęgniarz... - objaśnił Francuz. - Jak pan rozkaże, panie Olszowski?

- Ja będę pielęgnować ojca! - odpowiedziała Basia szybko.

Uczyniła taki ruch, jakby otrząsała z siebie wszystką słabość, roztkliwienie i udrękę. Pan Olszowski patrzył na nią z podziwem. Nie wiadomo, za jaką okropną cenę kupiła od własnego serca uśmiech, bo się niespodziewanie zjawiał na jej twarzy. Nie wiadomo skąd drobne, wątłe, niewyrośnięte stworzenie, niedbały jeszcze projekt na pełnego człowieka, zdobyło siłę, pewną siebie i hardą. Wobec niezdecydowanych, zatrwożonych i wzruszonych dwóch mężczyzn Basia objęła przodownictwo. Otoczyła ojca ramieniem ufnie, śmiało i bez lęku.

- Pójdziemy, tatusiu! - rzekła z niewysłowioną słodyczą.

- W jakim języku przemawia ta młoda miss? zapytał Amerykanin.

- Po polsku.

- On czasem mówi - szepnął do Dimauriaca. Nikt jednak tego języka nie rozumie. Jest to jakaś dziwaczna mieszanina. Pan Williams twierdzi, że są w niej słowa hiszpańskie, indiańskie i jeszcze inne, których rozpoznać nie umiał.

- A czemu on takie dziwne ruchy czyni rękami?

- Pan Williams mówił, że to z nawyku. U Indian plótl kapelusze, pan wie: "panama", z takiej cienkiej słomki. Poza tym jest łagodny jak dziecko. Dobry człowiek, tylko że umarł za życia...

Basia prowadziła ojca do auta ująwszy go pod rękę. Nie stawiał żadnego oporu, raz tylko przystanął i obejrzał się" jak gdyby szukał znajomej twarzy pielęgniarki.

Zachowywał się istotnie jak dziecko, potulne i posłuszne. Basia zdrętwiała na chwilę, gdy w hotelu usłyszała jego głos. Był sam w pokoju i mówił do siebie; głosem ściszym, miękkim, jakby obolałym, wymawiał dziwaczne słowa bez ładu i składu. Zdawało się, że chore dziecko prosi o coś pokornie, lecz nie ma nadziei, aby go wysłuchano. Mocny skurcz zdławił dziewczęce serce. Szybko otarła łzy, zanim weszła.

Przemawiała do niego z niewysłowioną słodyczą, krótkimi, niewymyślnymi zdaniami. Nie odpowiadał. Czasem przechylił głowę, jakby nasłuchiwał dalekiego echa, lecz na nieruchomej twarzy nie znać było żadnego błysku. Brał z jej ręki jedzenie i połykał je w pośpiechu, nie zważając, co zjada. Potem zapadał w kamienność i tylko przebierał szybko palcami, plotąc urojone kapelusze.

Pan Olszowski, bardzo zgryziony, naradzał się ze wzruszonym do głębi Francuzem.

- Taki umysł, taki człowiek! - biadał Dimauriac. - Światło w nim zagasło jak w lampie. Biedny on i biedna dziewczynka... Lecz jaka dzielna! Co mówili lekarze?

Co mogli powiedzieć? Gwałowny uraz psychiczny, poza tym, sądząc z głębokich blizn na głowie, katastrofa fizyczna.

- A jaka jest nadzieja?

- Jeśli orzeczenie, że "jednak dzieją się cuda", jest szczątkiem nadziei, w takim razie szczątek ten istnieje. Niech go Bóg ma w swojej opiece.

- Tak, ale i tę dziewczynę - rzekł Dimauriac wzruszony.

Po długiej naradzie postanowiono przewieźć nieszczęśliwego człowieka do Paryża, a stamtąd do kraju. Na j niespodziewanie j sprzeciwiła się Basia.

- Za nic nie zawiozę ojca do Paryża. Trwoży go każdy hałas, wzdryga się, gdy trzasną drzwi. Zostawcie mnie z nim samym.

- Niemożliwe! - krzyknął pan Olszowski.

- Czemu niemożliwe? Wujaszku, ja już nie jestem dzieckiem. To on raczej jest dzieckiem, w tej chwili moim dzieckiem. Najpierw szukałam ojca, teraz będę szukać jego duszy. Osiądę z nim na jakiś czas w zacisznej miejscowości, najlepiej nad morzem, i będę tak

długo patrzeć w jego nieruchome oczy, aż mnie ujrzą. Nie bój się o mnie... Wytrzymam! Jestem zdrowa i silna, a to jest mój ojciec.

Żadne namowy nie mogły przekonać Basi. Ponieważ lekarze nie sprzeciwili się temu zamiarowi, musiał wreszcie ustąpić i pan Olszowski. Uczynił to z lękiem i z wahaniem, otrzymawszy jednak uroczystą obietnicę Dimauriaca, że będzie z Paryża czuwał nad dziewczyną, zgodził się na jej wyjazd do St. Mało. Nie byłby może tego uczynił nigdy, lecz zajrzawszy głęboko w jej oczy, ujrzał w nich powagę rozumnej, dorosłej kobiety. Tliło się w nich to niewypowiedziane, tkliwe ciepło, które jest najcudowniejszą treścią spojrzeń matczynych. Przez kilka dni zdołał też dostrzec, że nieszczęśliwy człowiek uznał tę dziewczynę za swoją najwyższą władzę. Ożywiało się jakimś cieniem życia, gdy ona była przy nim, zapadał w odrętwienie, skoro wyszła.

- Ją można zostawić samą! - oświadczył z entuzjazmem Dimauriac. - Co tygodnia przyjadę i doniosę panu o wszystkim. Niech pan wraca spokojnie, drogi mistrzu.

- Niech pan mnie wezwie natychmiast, gdyby coś zaszło - prosił Olszowski.

Do Basi powiedział:

- Ufam ci, drogie dziecko... Twoje serce wie najlepiej, co ci należy czynić... Bądź, zdrowa!

- Nie tak, najdroższy wujaszku! Powiedz raczej: "niech będzie zdrów".

- O, tak, o, tak! - rzekł Olszowski, gorąco całując jej skłopotaną głowę.

W cichym portowym miasteczku, a starym gnieździe pirackim, Basia osiadła ze swoim biednym "dzieckiem". Ze współczującym zdumieniem patrzono tam, jak co dnia rano płowa cudzoziemska dziewczyna prowadzi pod rękę dziwnego, milczącego człowieka. Śliczne, prześliczne miasteczko obwiedzione jest murem, tak szerokim i potężnym, że mogą się na nim minąć dwa wozy; mur ten jest przepyszną drogą, co się wije nad morzem o zielonym połysku. Morze jest tu huczne, szturmujące przyplływami; brzeg usiany głazami odsłania się podczas odpływu tak, że suchą nogą przejść można daleko. Zielona radość wałęsa się po tej szmaragdowej fali i oznajmia się krzykiem mew. O porannej i wieczornej godzinie fale przybieżają z daleka i śpiewają hymny uroczyste na cześć poety Chateaubrianda, co z grobu swojego na wyniosłej górze słucha śpiewania wód.

Siwy człowiek, którego dusza odbiegła, siadał na zrębie muru, a obok niego dziewczynka z chłopiec twarzą. Dziewczynka kładła rękę na jego ręce i mówiła głosem cichutkim:

- To morze!

Potem, gdy mewa rozzwierającym krzykiem chciała przekrzyczeć szum wody, mówiła:

- To jest ptak!

Siwy człowiek nasłuchiwał w milczeniu. Czasem na nią spojrział, jakby pytającym spojrzeniem, a ona, ze zmartwiałym od wzruszenia sercem, patrzyła w jego nieruchome oczy, jakby chcąc w nich wyczytać bezradne pytanie. Raz do niej przemówił. Słowa były miękkie i jakby okrągłe, lecz niezrozumiałe. Jak gdyby szczebiotało dziecko. Nie bał się jej i czasem zdawało się, że jej szuka oczami.

Po kilku dniach sam ujął jej rękę i skierował się na schody wiodące na gościniec muru. Słuchał chciwie poszumu morza i twarz skierował ku słońcu.

- To jest słońce! - uczyła Basia niemowlęcą duszę. Tej nocy jednakże przeżyła śmiertelną trwogę. Około jedenastej godziny spuszczone z łańcucha wicher zaczął hulać po morzu i zwałił się w niespodzianym szturmie na ciche miasteczko. Basia posłyszała krzyk w pokoju ojca. Zerwała się z łóżka i wbiegła ze światłem. Biedny człowiek stał, trupio blady, przytulony do ściany i ręką tak osłaniał głowę, jak gdyby ją chronił przed czymś, co na nią spada. Gdy poczuł dotknięcie ręki, przylgnął do niej z głębokim, rozdzierającym jękiem.

- Tatusiu, tatusiu - mówiła Basia. - Nie bój się... jestem przy tobie... To nic... To tylko burza...

Ułożyła go w łóżku, drżącego od tajemniczego lęku. Gładziła jego czoło, operlone wielkimi kroplami potu. Przemawiała do niego cichutko i słodko, jak gdyby uspokajała dziecko, aż wreszcie usnął. Nie śmiała się poruszyć, bo przez sen trzymał kurczowo jej rękę.

Nazajutrz przybył Dimauriac. Spojrział bacznie na Basie, potem zbliżył się do Bzowskiego i wyciągnął ku niemu dłoń. Tamten spojrział bezbarwnym wzrokiem i podniósł rękę machinalnie.

Francuz nappełnił pokój radosną wrzawą słów, a Bzowski, przechyliwszy głowę, słuchał wodząc za nim nieruchomymi oczami.

- Zdaje mi się, że się rozpoczyna cud! - szepnął Dimauriac. - Wie pani, kto jest na świecie mędrszym od największych uczonych? Miłość! A pani jest całą miłością, mała dobra kobieto!

Basia miała jej w sobie tyle, że ta miłość przelewała się przez brzegi serca. Wzruszenie ogarniało ludzi w tym małym miasteczku, w którym wiedzieli wszyscy wszystko o wszystkich. Prości ludzie - rybacy, surowi i roztropni - kłaniali się z szacunkiem tej

dziewczynce, co nieumęczone, z anielską cierpliwością rozmawia z siwym, wynędzniałym człowiekiem.

Otoczyła ramieniem jego szyję i opowiada mu coś cienkim głosem rozśpiewanego ptaka. Morze jest dzisiaj jak szmaragdowa, soczysta łąka, na której pasie się żarłoczny wiatr. Słońce bucha złotą radością.

Siwy człowiek patrzy na wodę z uporczywym natężeniem. Coś się w nim dzieje, coś się przewala i łamie. Mocuje się z sobą jak Jakub z Aniołem. Zdaje się, że pragnie uchwycić coś, co mu się wymyka i wyslizguje jak trzepocąca się ryba. Nagle zwrócił twarz ku Basi i z niesłychanym natężeniem wpatruje się w nią i wpatruje. Potem ostrożnie, miękko, z wahaniem położył rękę na jej ręce. Wyłamuje jakieś słowo w skale, wygrzebuje je z krwawiącym trudem. Potem je wymawia:

- Basia... to jest Basia...

Niebo promieniste otwarło się nagle i Basia ujrzała przez słoneczne opary dobrą, słoneczną, uśmiechniętą twarz Boga.

XIII

NARODZINY CZŁOWIEKA

Sędziwa pisarka, Selma Lagerlof, opowiedziała w jednej ze swych książek śliczną legendę o takim pobożnym i wytrwałym rycerzu, co przyniósł w dłoniach do swojego dalekiego kraju na Północy światelko zapalone w Ziemi Świętej. Z taką samą wierną czujnością strzegła Basia podczas dalekiej podróży tej nikłej iskierki, która się zatliła w duszy jej ojca jak w alabastrowej lampie. Dusza, od wielu lat uśpiona i osnuta mrokiem, ledwie drgnęła. Trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby migocące, chwiejne światelko nie zgasło. Bóg widzi, że Basia utrzymywała je przy życiu często już ostatnim tchem. Za wszystkie skarby świata nie odstąpiłaby nikomu opieki nad tym szczątkiem najdroższego człowieka. Wymęczona była do ostatecznych granic: miała oczy zapadnięte, lecz wciąż gorejące i wciąż czujne; twarzyczka jej schudła i pociemniała, często drżały jej ręce. Środkami przepisany przez uczonych ludzi wzmacniała zniszczony organizm ojca, lecz duszę jego leczyła sama. Nikt inny, najcierpliwszy i najlepszy nawet, nie mógłby jej zastąpić. Usłyszawszy pierwsze rozsądne słowa ojca osłabła z radości, a wielkie, gorące łzy potoczyły się z jej oczu. Byle wytrwać, byle wytrwać! Już jeden promyczek wsiąknął w mroczny umysł, jak o wschodzie słońca pierwszy jego promień wciska się do ciemnej izby przez serduszko wycięte w okiennicy. Przez jej serduszko przeblysnęło to światelko, co padło na jego nieruchome oczy.

Coraz jest lepiej, coraz lepiej... Przez nie domknięte drzwi dojrzała, jak ojciec wziął w ręce książkę. Przyglądał się jej ciekawie, potem zaczął, jak dziecko szukając obrazków, niecierpliwie przewracać jej kartki. Odłożył ją z grymasem niechęci, lecz po chwili coś go znowu ku niej pociągnęło. Otarł ręką czoło, na którym ukazały się krople potu, oznaka nadmiernego wysiłku. Do głębi wstrząsnęło ją jednak inne zdarzenie. Jednego popołudnia usnęła siedząc w głębokim fotelu. Czujna nawet we śnie, posłyszała lekkie, jak gdyby skradające się kroki. Ojciec! Obudzona, patrzyła przez zmrużone powieki, co zamierza uczynić. On pochylił się nad nią i długo wpatrywał się w jej twarz; potem nieśmiałym, skradającym się, kocim ruchem dotknął jej włosów. Dreszcz po niej przebiegł. Po chwili poczuła delikatny dotyk jego ręki na swoich oczach i na twarzy. Wodził ręką jak ślepiec pragnący poznać znajome rysy. Musiało mu to sprawiać przedziwną przyjemność, bo stało się coś nadzwyczajnego: na zmartwiałej jego twarzy ukazało się coś, co mogło być uśmiechem.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę budziła się ta zaczarowana dusza. Opowieść o tym byłaby obszerną historią, pełną ponurości, którą radość przeplata. W ciągu trzech miesięcy odbywał się ten uciążliwy pochód ku samowiedzy, jaki odbywa niemowlę przez

pierwsze swoje lata. Dziecko naucza matka, tego biednego człowieka wiodła za rękę mała dziewczynka, jego córka, bohatersko, z namiętym uporem, z taką niezmierną siłą woli, że zdumiony Dimauriac, po raz pierwszy chyba w życiu nie powiedział barwnego słowa, ucałował ze czcią obie jej ręce, dziecinne ręce. Nie wytrzymał jednak i powiedział jej kwieciście przy pożegnaniu:

- Każde serce ludzkie ma swoją ciemną i słoneczną stronę. Serce pani ma stronę tylko słoneczną. Drogie dziecko, ocalała pani ojca!

Basia śmiała się płacząc.

Morską, wygodną drogą powiozła ojca do Warszawy.

Oczekiwano ich tam z serdeczną niecierpliwością. Pani Tańska, zaniepokojona i gwałtownie przejęta, codziennie zatruwała życie Olszowskiemu.

- Zostawiłeś dziewczynę z wariatem, który ją jednego dnia udusi. Świetny pomysł! Tylko mężczyzna potrafi tak urządzić...

- Przecie babcia czyta listy Basi! - wołał Olszowski. - Ojciec jej powraca do życia. To dzielna dziewczyna, cudowna dziewczyna! Czegóż babcia chce ode mnie? Basia się uparła...

- Basie trzeba było położyć na kolanie i okrężną drogą wybić jej upór z głowy. Tak ja bym zrobiła! Ale ja, dzięki Bogu, nie piszę książek, więc posiadam jeszcze odrobinę rozsądku.

Słuchała z chmurną twarzą opowiadania Olszowskiego o dziwnej i tajemniczej tragedii Bzowskiego. Pani Olszowska miała oczy pełne łez. Musiał tę opowieść powtórzyć, gdy go odwiedził profesor Somer, niespokojny o los swojego ucznia. Uprzejmie zaproszono i panią Tańską, która rada poznawała nowych ludzi. Babcia jednak dowiedziawszy się, kim jest sławny gość, niespodziewanie stanęła okoniem.

- Nie mam zamiaru - rzekła - poznawać człowieka, który udaje, że umie obliczyć wiek ziemi i gada przy tym głupstwa. Ziemia ma tyle lat, ile ich ma żydowski kalendarz. Kto jak kto, ale Żydzi umieją rachować! A ten wyjeżdża z milionami... Gotów powiedzieć, że i ja mam ze sto tysięcy. Bawcie się z nim sami! Ja sobie zjem obiad z moim Szotem, który niezadługo i mnie pożre, bo ten drab ma chyba ze siedem żołądków.

Depesza od Basi przyprawiła panią Tańską o nieznaczne pomieszenie zmysłów. Zaczyna kobiecina nie mogła sobie znaleźć miejsca. Krążyła dziesięć razy dziennie między swoim mieszkaniem i mieszkaniem Olszowskich, rozgdakana i niecierpliwa. Wydawała najdziwaczniejsze polecenia i wtrącała się we wszystkie sprawy. Wracała do domu, gdzie sphywało na nią jakieś wielkie natchnienie, czym prędzej więc biegła do Olszowskich, aby oznajmić zdumionym ludziom, co jej podszeptał duch jej ognisty.

- Muszą zamieszkać u mnie! - krzyknęła z energią, jak gdyby z góry chciała stłamsić wszelkie protesty.

- Któż ma zamieszkać u babci?

- Szach perski ze swoją ciotką! Któż, jeśli nie Basia ze swoim ojcem?

Pan Olszowski spojrział na starowinę z rozrzewnieniem.

- Babcia jest strasznie dobra!

- Taka jestem dobra, że gdyby mnie kto przyłożył do rany, toby się wściekł. Co to za dobroć? Mam obszerne mieszkanie czy go nie mam? Mam! Trzy pokoje im odstąpię, a sama zabarykaduję się w czwartym.

- Dlaczego ta barykada?

- Jak to dlaczego? A skąd wiesz, czy taki, co jest na pół Indianinem, nie zechce przypalić starej baby na wolnym ogniu! Czy to gwałtowny człowiek?

- Łagodny jak dziecko.

- Walicki też był łagodny jak dziecko, a na mój widok zgrzytał zębami. Wszystko jedno zresztą! Zamieszkają u mnie, oczywiście nie za darmo... Taka głupia nie jestem! Ze skóry Basi nie obedrę, ale dziesięć złotych miesięcznie musi zapłacić za trzy pokoje.

- To wcale przyzwoita cena! - śmiał się Olszowski.

Pani Tańska, straszliwy łupiskórca, znalazła sobie nowe zajęcie i oddała mu się całą duszą. Urządziła w swoim mieszkaniu walne trzęsienie ziemi, wywracając wszystkie graty do góry nogami. Przy sposobności znalazł się konterfekt jej trzeciego nieboszczyka męża, który tkwił od wielu lat za szafą.

- Kto to może być taki? - pytała babcia. - Jakaś znajoma gęba. Aha! To trzeci... Powiedział, że językiem mogłabym poruszać wielki młyn. Marcysiu! Na strych tego pana! Twarzą do ściany!

Po kilku dniach mieszkanie było przygotowane, natomiast miły Szot, który musiał wieszać firanki i dźwigać opasłe meble, położył się do łóżka całkowicie połamany.

Wreszcie Olszowski oznajmił z przejęciem:

- Dzisiaj przyjeżdżają!

O, jakże inaczej wyglądał nieszczęśliwy człowiek, który jak widmo schodził z okrętowego pokładu w Hawrze! Pan Olszowski patrzy z radosnym zdumieniem: z wagonu wyszedł wytworny dżentelmen, tym się od innych różniący, że w spojrzeniu miał odrobinę obawy i nieśmiałości. Ujął mocno rękę Basi, jak gdyby bał się rozłączyć z nią choćby na chwilę.

Olszowski uścisnął jego rękę i rzekł:

- Serdecznie witamy pana!

Bzowski spojrzał na Basie, jak gdyby od niej czekał wskazówki, co ma uczynić.

- Ojczulku! - powiedziała Basia. - Ten pan to mój-dobry wujaszek, który mnie wychował, a ta pani to jego żona. Ja ich bardzo kocham. Przywitaj ich gorąco!

Dziewczyna mówiła powoli, wyraźnie i dobitnie jak nauczycielka w szkole; on jak gdyby wpatrywał się w każde jej słowo i słuchał z natężoną uwagą.

- Rozumiem... tak jest... - rzekł, z niejakim trudem wymawiając słowa.

Podał rękę Olszowskiemu, potem uśmiechnąwszy się pogładził zdumioną panią Olszowską po twarzy.

- Ciociu! - szepnęła Basia. - Ojciec tak zawsze mnie wita...

Bzowski stanąwszy nieruchomo przyglądał się z ciekawością gorącemu powitaniu Basi, uściskom i pocałunkom. Potem na znak dany przez córkę, szedł spokojnie w całej gromadce. Spoglądał szybkimi spojrzeniami na dworzec i okoliczne domy, marszcząc czoło.

- Jaki to piękny człowiek! - szepnęła pani Olszowską do męża.

- A Basia? - zapytał Olszowski gorąco. - Ale śpieszmy się, bo babcia wyskoczy przez okno.

Pani Tańska oczekiwała ich cała w ogniach, tak że mogła podpalić wiotkie firanki. Ze dwadzieścia razy przesunęła na inne miejsce wazonik z kwiatami w pokoju Basi i spróbowała doświadczoną ręką sprężystości materaców.

Nareszcie przyszli.

Pani Tańska, na nikogo nie patrząc, nawet na tego "dzikusa", przytuliła Basie do osiwiąłego serca i wielkim zaniosała się szlochem.

- Jesteś, jesteś, dziewczynko! - kapały z jej ust słowa łzami oblane. - Już myślałam... O, niedobre dziecko!... Dziesięć razy mogłam umrzeć... Wyrosłaś, ale schudłaś... Odkarmię cię, jeśli Szot nie zje wszystkiego... Czemu płaczesz?... Pokaż no mi swego ojca!

Basia z oczami pełnymi łez ujęła ojca za rękę i doprowadziła go do pani Tańskiej.

- To babcia, ojczulku... Babcia... Najlepsza na świecie.

- Rozumiem... tak jest... - powiedział Bzowski i uśmiechnąwszy się pogładził babcie po twarzy.

- To bardzo przyjemny człowiek! - krzyknęła babcia ocierając łzy. - Ładnie się wita.

I nie namyślając się długo pogładziła go po obu policzkach.

- Takiej córki jak pan - rzekła potężnie - nie ma nikt inny na świecie.

- Rozumiem... tak jest... - odrzekł Bzowski.

- Ale teraz ona odpocznie, a ja się panem zajmę!

Bzowski spoglądał na nią bacznie, po chwili zaś zwrócił spojrzenie w stronę Basi, która uśmiechnęła się. Wskazując jednym palcem panią Tańską, a drugim ojca mówiła dobitnie:

- Babcia - kocha - ojczulka.

- Mądra dziewczyna! - zawołała pani Tańska rozczulona. - Po mnie to ma! Czemu się pan śmieje, panie Olszowski?

- Bo mi wesoło - odrzekł zuchwale "pan" Olszowski.

Pani Tańska dokładnie spełniła przyrzeczenie. Basia mogła wreszcie odpocząć, bo ojciec dostał się w dobre ręce. Staruszka zajęła się nim jak własnym synem. Objądniona przez Basie o najdrobniejszych szczegółach prymitywnego życia Bzowskiego, ulepszyła jedynie cierpliwą metodą bogacenia tego życia. Wybornym jej pomysłem był rozkaz dzienny wydany Szotowi. Aktor brał każdego popołudnia książkę i wyraźnie, jasno czytał głośno. Bzowski przysłuchiwał się temu czytaniu z wyraźną przyjemnością. Po nieznacznym ruchu warg można było poznać, że niesłyszalnym szeptem powtarza skrzydlate słowa.

Szot czytał Pana Tadeusza, ślicznie, z głębokim wzruszeniem. Po jakimś czasie Bzowski przymknął oczy i zastygł w nieruchomości. Aktor myśląc, że Bzowski usnął, ściszał głos, wreszcie przerwał. W tej samej chwili nieszczęśliwy człowiek otworzył oczy i spojrzał na niego spojrzeniem błagalnym. Pani Tańska promieniała.

- Pan dobrze czyta, panie Szot! - rzekła z uznaniem. - Gdy panu w gardle zaschnie, może pan wypić kieliszek wina, ale tylko jeden. Niech pan nie próbuje żadnego szachrajstwa, bo zaznaczyłam paznokciem na etykiecie i wiem, ile jest w butelce.

Czasem jednak ogarniał ją niepokój. Bzowski witał ją zawsze uśmiechem, czasem jednak wpatrywał się; w nią z dziwnym uporem. Jednego razu zbliżył się nieśmiało i ku jej największemu zdumieniu zaczął szybkimi ruchami palców dotykać jej głowy, jak gdyby chciał dokładnie poznać jej rozmiary.

- Co to miało znaczyć? - spytała Basi.

- Nie wiem, nie wiem - odrzekła dziewczyna zatroskana.

Było to tym dziwniejsze, że Bzowski powtórzył te pomiary kilkakrotnie. Po każdym takim zabiegu zamyślał się i tarł ręką czoło.

- Kto stracił własną głowę, ten szuka cudzej - szepnęła pani Tańska do siebie. - Ot, biedaczysko!

Polubiła go jednak bardzo. Basie odkarmiła zawzięcie i napędzała do spoczynku.

- Zrobiłaś więcej, niż mogłaś. Odpocznij, drogie dziecko, odpocznij, a ja sobie pogadam z twoim ojcem. Gadała całymi godzinami, zdoławszy opowiedzieć cierpliwemu

człowiekowi jedynie kilka epizodów ze swego życia. On słuchał, wpatrzony w jej usta, siedząc bez ruchu.

- Rozmawiałam z nim wczoraj przez cztery bite godziny - rzekła pani Tańska do Olszowskiego. - Skoro to wytrzymał, będzie zdrow. Ja go wyleczę!

- Tylko że to końska kuracja - odrzekł Olszowski prędko odchodząc.

Nie znać było jednakże na Bzowskim zbyt widocznej odmiany. Wyszedł z mroku, ale zatrzymał się na progu świadomości.

- Jakieś wstrząśnięcie wypchnie go za ten próg - mówili ludzie uczeni.

Nikt nie wiedział jednak, co może wstrząsnąć tą duszą zakamieniałą. I nikt nie mógł się dowiedzieć, co w niej ostrym cierniem tkwi najgłębiej. Gdyby ten cień wyrwać mocnym, niespodzianym ruchem, nagły dotkliwy ból może by obudził tego człowieka.

- Och, gdyby żyła mamusia! - rzekła Basia.

Nazajutrz powiedziała do ojca:

- Tatusiu... dzisiaj... pójdziemy do profesora Somera. Rozumiesz? Profesor Somer... - Tak... rozumiem - odrzekł.

Nagle zamknął oczy i znowu je otworzył. Na jego czole znać było zmarszczony wysiłek, a w spojrzeniu - niepokój. Basi zdawało się, że bezgłośnym ruchem warg powtarza słowa: "profesor Somer". Spojrzała na niego bacznie, on jednak, jak ktoś, komu się coś nie udało, uczynił niecierpliwy ruch ręką. Stał przez chwilę nieruchomo, spokojny jak zwykle, niespodzianie jednak, jakby ożywiony i podniecony, zaczął nerwowo iść ku drzwiom. Obejrzał się, czy Basia idzie za nim, i ku największemu jej zdumieniu schodził szybko ze schodów. Ujęła go pod rękę wiodąc przez kilka ulic, profesor bowiem mieszkał niedaleko.

Na schodach począł Bzowski okazywać nienaturalne podniecenie. Basię ogarnął lęk.

Co to wszystko znaczy? - pomyślała z drżeniem. Ogarnęło ją jeszcze większe zdumienie, gdy ojciec sam zadzwonił i po otwarciu drzwi wszedł pewnie, zdecydowanym krokiem. Powiesił kapelusz na wieszaku i szybko skierował się ku drzwiom pracowni uczonego. Pracownia była pusta; profesor Somer znajdował się w pokoju swego syna. Basia, pozostawiwszy ojca samego, pobiegła do profesora i zaczęła mówić szybko:

- Panie profesorze! Ojciec jest w pańskiej pracowni, lecz zachowanie jego jest jakies niezwykle.

- Spokojnie, dziewczyno, spokojnie!

- Wszedł tak pewnie...

- Wchodził tutaj codziennie przez trzy lata, gdyśmy pracowali razem nad wielkim atlasem - odrzekł profesor zamyślony. - Chodźmy!

Drugie drzwi, wiodące do pracowni z wnętrza mieszkania, były otwarte. Profesor zatrzymał się przy nich nagle i gwałtownym ruchem zatrzymał Basie. Położyła znacząco palec na ustach nakazując ciszę.

- Ani słowa! - szepnął nachyliwszy się ku niej. - Patrz!

Nieszczęśliwy człowiek, mrokiem omotany, stał na środku przestronnego pokoju zavalonego książkami i mapami; spoglądał dokoła siebie z wyrazem niepomiernego zdumienia i dotkliwej udręki. W oczach miał ból, jakby w senne oczy wdzierało się przemocą jaskrawe słoneczne światło. Podniósł rękę i gwałtownie potarł nią czoło, jakby chciał z niego usunąć jakiś gniotący ciężar. Potem jęknął cichym, przejmującym, niemal zrozpaczonej jękiem.

- O, Boże! - szepnęła Basia.

- Cicho, cicho! - szepnął profesor.

Bzowski poruszył się. Z szeroko otwartymi oczami! zaczął zbliżać się ostrożnie, jak gdyby się skradał, do rozłożystego biurka, na którym rozpostarta była mapa. Przyjrzał się jej głodnym wzrokiem, potem dotknął jej ręką, miękko i pieściwie.

- Uśmiecha się! - zdumiała się Basia.

- Poznaje... - szepnął profesor.

Bzowski podszedł tymczasem do biblioteki i drżącymi palcami począł dotykać grzbietów ogromnych tomów, stojących w nieruchomym szeregu jak grenadierzy. Nagłym ruchem zdjął z półki jeden tom i jakby oszołomiony, przyglądał mu się z natężoną uwagą; potem zaczął przerzucać kartki prędko, prędko... Włożył książkę na właściwe miejsce i westchnął. Obiema rękami objął głowę, jak gdyby nagły ból usiłował ją rozsadzić.

- Jak on strasznie zbladł! - szepnęła Basia.

Profesor nie odpowiedział, tylko ścisnął mocno jej rękę. Był ogromnie poruszony. Coś ważył, głęboko zastanawiał się nad czymś. Patrzył uporczywym spojrzeniem na znieruchomiałego Bzowskiego, na jego śmiertelnie bladą twarz i splecione na głowie ręce. Nagle powziął jakiś zamiar, bo sam pobladł, a usta jego drżały. Wszedł pewnym krokiem do pracowni i głosem, który był mieszanką radości i drżącego lęku, zawołał:

- Jak się macie, panie Adamie.

Bzowski uczynił ruch tak gwałtowny, jak człowiek trafiony kulą. Zachwiał się, uderzony tym głosem, i cofnąwszy się nagle, oparł się o bibliotekę. Dyszał tak, jakby odbył wielki bieg: przez całe lata, przez dziesięć lat, kamienistych, skrwawionych i strasznych; chwycił otwartymi ustami powietrze jak ten, co wniósł na górę okropny jakiś ciężar i teraz odpoczywa. Krzyknął krótkim, urywanym krzykiem i patrzył na profesora jak na widmo.

- Adasiu! - zawołał profesor tak przejmująco, z takim bólem, że zdawało się, jakby to słowo nalane było krwią.

Równocześnie wyciągnął ramiona, a tamten po błyskawicznej chwili wahania rzucił się w objęcia profesora.

Siwy człowiek gładził go po głowie jak dziecko, jak ojciec pieści syna powracającego z obłądnej, śmiertelnej podróży. Całował tę nieszczęśliwą, bliznami pokrytą. głowę tulącą się do jego piersi.

Bzowski szlochał głębokim szlochem.

- Basiu! Oddaję ci ojca... - powiedział profesor dziwnym głosem.

XIV

ZNOWU ZACZYNA SIĘ WIOSNA

Jeden wariat ozdrowiał - mówiła pani Tańska z goryczą - ale za to narodził się drugi.

- Kto taki? - pytał wesoło pan Olszowski. - Czy ja?

- Ty też jesteś kandydatem, ale jeszcze nie dojrzałeś. Najbliższą ofiarą jest Basia. Czy wy nie widzicie, co się dzieje z tą dziewczyną?

- Cóż się dzieje? Cieszy się!

- Można się cieszyć i cieszyć, ale nie aż do utraty zmysłów. Ja, gdy wychodziłam pierwszy raz za mąż, powinnam była skakać z radości, bo odbiłam narzeczonego jednej zezowatej pannicy, a przy ślubie miałam twarz jak marmur. Basia lata jak opętana i każdemu rzuca się na szyję. Rozumiem, że to robi ze mną, można by ostatecznie zrozumieć, że to czyni z tobą, ale ona robi tę operację każdemu, kogo napotka. Szota też wycalowała, ale temu bardzo się nie dziwię, bo to przystojny drab. Zaruszył się i uciekł, ale na obiad wrócił, zbereźnik jeden!

- Czegóż babcia chce od niej? Uratowała ojca...

- A właśnie! To był kiepski pomysł...

- Niechże babcia nie gada nonsensów! - śmiał się Olszowski.

- Panie Olszowski! - krzyknęła babcia. - Ja mam osiemdziesiąt lat i nonsensów nie gadam. Może bym gadała, gdybym czytała pańskie książki, ale Bóg mnie przed tym uchronił. Uratowała ojca? Ja twierdzę, że go zgubiła. Tak długo był szczęśliwy, jak długo nie wiedział, co się dzieje na świecie. Śmiał się przynajmniej, a teraz będzie płakał. Nie rozumiał, co do niego mówią i słuchał godzinami, a teraz ucieka, zaledwie słowo posłyszysz! Czemu się śmiejesz? Co cię tak bawi?

- Nic, nic...

- Więc się nie śmieję z cudzej krzywdy! Miałam przynajmniej jakieś zajęcie, a teraz co? Co ja będę robiła? Muszę się zawsze kimś opiekować, bo nie mogę tego znieść, że ludzie tak głupio żyją, a ten Bzowski już szuka mieszkania. Naradzają się z Basią, a ja nie wierna nad czym, choć Marcysia podsłuchuje pod drzwiami, ale baba głucha jest już jak pień. A niechby sobie szukała ale on zabierze Basie!

- Pewnie, że zabierze...

- Dobrze, dobrze, niech zabierze... Zgubi dziewczynę! Geografii będzie ją nauczał, i on, i ten drugi pomyłony, ten wasz profesor. Geografia jej potrzebne jak chłopu zegarek. Mąż jej będzie potrzebny, nie geografia. Z tym wszystkim co ja będę robiła?

- Niech babcia zabierze się do moich książek!

Pani Tańska spojrzała ponuro:

- Tego się nie doczekasz. Ktoś musi być w rodzinie, co ma wszystkie klepki w porządku.

Nie zaspokojone swoje pragnienie, aby się zawsze kimś opiekować, skierowała w stronę małego Tadzia, dorodnego młodziana, syna Olszowskich, z czego wynikały srogie awantury. Babcia uparła się, że chłopaczek jest mizerny i stanąwszy nad nim jak kat nad skazańcom, wydawała rozkaz:

- Chłopiec musi być głodny. Tadziu, zjedz dwa jajka!

Tadzio bladł na samą myśl o tym, a pani Olszowska wołała:

- Ależ, babciu, na nim ubranie pęka...

- Niech pęka, a odżywiać się musi. Ja w jego wieku wypijałam dziesięć jajek na surowo!

Szybko jednak zapominała o wygłodniałym szkielecie, opasłym Tadzium, bo zajęły ją dwa nadzwyczajne zdarzenia: Bzowski wyprowadzał się, a Szot się żenił. Pierwszej katastrofie nie mogła zapobiec, drugą starała się zniweczyć.

- Bałwan pan jest! - krzyczała podczas niedzielnego obiadu. - Za co się pan będzie żenił? Za aktorskie pieniądze utrzyma pan żonę? Ściany będzie gryzła, nieszczęśliwa kobieta. A zresztą niech gryzie, skoro taka jest głupia, że wychodzi za pana. Ja bym za takiego jak pan ananasa nie wyszła, choćby nas było tylko dwoje na świecie. Wciąż się pan tylko śmieje jak dziedzicznie obciążony idiota. Złe tu panu było?

- Strasznie, strasznie dobrze! - rzekł Szot rozrzuwiony, nie zwracając uwagi na to, że babcia sypie bałwanami i idiotami.

- Więc dlaczego pan ucieka? - krzyknęła babcia z wielką pasją.

Nagle jakby osłabła i zaczęła mówić smutno: - Co ja wam wszystkim zrobiłam, że tak ode mnie uciekacie? Walicki umarł, chyba mnie na złość, moja wnuczka odeszła do tego pismaka, Basia odchodzi, teraz pan... Czemu to tak?

- Wszyscy odchodzą, bo muszą, ale wszyscy kochamy babcię - rzekł Szot.

- Muszą... muszą - powtarza pani Tańska. - Niemądre jest życie, jeśli wszyscy muszą wciąż odchodzić. Trudno... Wreszcie i ja stanę dęba i odejdę... Albo nie! Sto lat będę żyła i co mi kto zrobi?

- Niech spróbuje! - krzyknął Szot bohaterskim tenorem.

Znacznie pocieszyło to panią Tańską, rzekła więc zyczliwie:

- Przelewać się u was nie będzie, więc pamiętaj, mandrylu, abyś co niedzieli przychodził na obiad z żoną. Jak dawniej! Przyjdiesz?

Szot nie odpowiadał, tylko całował jej zgrzybiałe ręce.

Nazajutrz odbyło się pożegnanie z Bzowskim i Basią.

Bzowski, uzdrowiony przez ten wstrząs, który w nim poruszył zakrzepłą pamięć rzeczy ukochanych, żył - zdawało się - potrójnym życiem, jak gdyby chciał nadrobić zaniedbanie. Poruszał się gorączkowo, mówił wiele, rwał się do jakiejś ciężkiej pracy. Długo mu nie mówiono o straszliwej tragedii jego żony, aby go nowy ból nie pokonał, lecz on sam na tajemnej rozmowie z Basią dowiedział się o wszystkim. Odbył z nią pielgrzymkę na grób, którego darni ze czcią dotknął ustami.

Przez długie godziny Basia opowiadała mu o wszystkim. Z początku nie mógł powiązać zdarzeń i mąciła się w jego umyśle ich kolejność; powoli jednak uciszyły się rozruszane wody, wszystko stężało i zaczęło się utrwalać. Bzowski napisał dwa wzruszające listy: jeden do Williamsa, który go uratował, drugi do Dimauriaca. Najtrudniej mu było odtworzyć swoje własne dzieje po katastrofie na górskiej ścieżce. Zdarzenia sprzed lat dziesięciu tańczyły przed jego oczami-jak kłębiące się mgły, lecz nawet te okruchy opowieści, które wygrzebał z samego dna pamięci, były okropne. Zawędrowawszy w nieludzkie pustkowie omdlał z wyczerpania. W jaki sposób znalazł się w brudnej wiosce Jibarów, tego nie wie. Przypomina sobie gromadę czerwonoskórych, rosnących i silnych, niemal nagich, chociaż nielitościwe góry szczyły na nich nocami zimno jak kąśliwego psa. Wyleczyli go z ran, karmili najędzniejszą strawą, sami nędzarze, i nauczyli rozmaitych robót. Plótno kapelusze, dźwigał ciężary, opiekował się dziećmi. Nachodziły go takie rozpaczliwe chwile, w których jakieś niejasne wspomnienia snuły się mętłem przed jego zmartwiałyimi oczami, lecz zapominał o nich wkrótce, jak zapomniał własnej mowy i wszystkiego, czym napełniona jest dusza ludzka.

- Nauczyłem się poza tym jednej przedziwnej sztuki znanej jedynie temu zagubionemu w górach plemieniu - mówił patrząc jak gdyby w dalekość.

- Jakaż to sztuka, tatusiu? - spytała Basia wesoło.

- Zmniejszanie ludzkich głów - odrzekł z powagą.

- Zmniejszanie... głów? - krzyknęła Basia.

- Tak. Ci Indianie umieją przedziwnym sposobem kurczyć głowę zmarłego człowieka do rozmiarów głowy niemowlęcia. Każde europejskie muzeum kupiłoby taką głowę na wagę złota.

- To straszne! - zawołała Basia.

W tej chwili przypomniła sobie ze zgrozą, że ojciec czynił zagadkowe ruchy dokoła głowy babci Tańskiej jak gdyby ją mierzył.

- Doszedłem do wielkiej wprawy - mówił on nie zwróciwszy uwagi na nagłą bladłość córki. - Teraz napiszę o tym książkę, która wywoła zdumienie. Ja jeden wśród cywilizowanego świata mogę to uczynić. A wiesz...

W tej chwili zaśmiał się serdecznie.

- Czemu się tatuś śmieje?

- Śmieję się z siebie samego... Czy wiesz, że gdy pierwszy raz ujrzałem babcię Tańską, uroiło mi się, żeby jej głowę poddać tej wesołej operacji. Coś mnie ciągnęło do tej głowy. Biedna babcia nie wiedziała, co jej grozi!

Tak mu się wydawało to wesołe, że podczas pożegnalnej kolacji u pani Tańskiej przyznał się do swoich straszliwych zamiarów.

- Niech mi droga babcia przebaczy! - dokończył ze śmiechem. - Już mnie to odeszło.

- To wielka szkoda - odrzekła pani Tańską ku największemu zdumieniu wszystkich. - Wielka szkoda! Na Sądzie Ostatecznym będzie takie zbiegowisko, że nikt na mnie nie spojrzy, a gdybym się tam zjawiła z malutką główką, zrobiłoby się zamieszanie i cały świat by mnie podziwiał.

Bzowski zamieszkał z Basią i wlaź z nieskurczoną swoją głową w gorącą pracę. Pracował usilnie z profesorem Somerem, który doznawszy wielkiego zaszczytu poznania pani Tańskiej, zapalał ku niej wielką sympatią, słuchając wśród wybuchów śmiechu ponurej przepowiedni o rychłym końcu świata i o szachrajstwie nauki twierdzącej, że ziemia jest kulista.

Babcia miała jednak ważniejsze zmartwienie.

Ponieważ nie wiedziała o wszystkim, co się dzieje, wpadła raz na pana Olszowskiego.

- O czym wy wciąż gadacie z Basią i z tym pomniejszaczem głów?

- Albo co?

- Nie wykręcaj się, bo się nie wykręcisz. Dwa razy już byliście u adwokata. Po co?

Pan Olszowski spoważniał.

- Basia - rzekł - oddaje połowę majątku na wychowanie bezdomnych, sierocych dzieci. Sama była sierotą i była bezdomna. Ta złota dziewczyna umie być wdzięczna. Czy babcia ma coś przeciwko temu? Widzę, że nie bardzo, bo babcia ma łzy w oczach.

- Sam masz chyba łzy w oczach, więc kiepsko widzisz! To tak ze starości wilgotnieją mi oczy... Połowę majątku, powiadasz? Nieszczęśliwym dzieciom? Nieźle, nieźle! Powiedz jej... Po co zresztą ty masz mówić, skoro ja jej sama powiem...

- Niech babcia powie na wszelki wypadek.

- Powiedz jej, że gdyby czegoś tam zabrakło, no to ja dodam...

- O, babciu!

- Czemu się drzesz? Dodam, bo mi się tak podoba... Mam tam coś niecoś, bo pochodzę z zamożnej rodziny, w której na szczęście nie było nigdy takiego, co książki pisze... Nie było łapserdaka...

- A ja jednak żyję z pisania książek! - zawołał Olszowski triumfalnie.

- Na razie żyjesz, ale możesz umrzeć na tyfus głodowy. Bądź zdrow! Muszę już iść, bo Marcysia myje sobie dzisiaj głowę, więc może być pożar, bo myje benzyną. Gdyby się tak szczęśliwie zdarzyło, żeby się baba spaliła, dam Bzowskiemu jej głowę. Aha! Czy te prawda, że on za Basią świata nie widzi?

- Za jej sprawą zobaczył świat...

- Rozpuści dziewczynę jak dziadowski bicz! Tego tylko brakowało... Ale ja się tym zajmę! Zawsze się śmiejesz? Czy ja nie mogę powiedzieć słowa, żebyś się nie śmiał? Panie Olszowski, mam zaszczyt pożegnać pana.

Babcia miała rację mówiąc, że Bzowski rozpuscita Basie. Patrzył w nią jak w obrazek, wodził za nią rozkochanym spojrzeniem. Nieraz wskazując ją palcem mówił:

- To jest... Basia.

Z nią jednak stało się coś przedziwnego. Ponad wiek poważna w owych chwilach, gdy ze zgryzotą w malutkim sercu drżała w Paryżu nad słuchując każdej wieści o ojcu, niemal dorosła kobieta, gdy z matczyną słodyczą uczyła go najprostszych słów, cierpliwa jak siostra miłosierdzia, najczcigodniejsze stworzenie na świecie, gdy czuwała przez całe noce, jednego dnia zmieniła się całkowicie. Stało się to wtedy, gdy pobity mrokiem jej ojciec powrócił do życia i gdy stał się znowu człowiekiem rozumnym. Wtedy jak gdyby ukończywszy straszliwą pracę ponad siły, odetchnęła pełną piersią, zdjęła z udrezonego serca nieznośny ciężar i tego dnia poczuła z niewysłowioną radością, że znowu ma lat piętnaście. Świat, ciemnością nasiąkły, tak się rozjaśnił, że wszystko na nim rozkwitło. Przybiegła do niej jakaś radość, śmieszna, rozkrzyczana, rozgadana i tańcząca. Zmartwiona kobietka, zawróciwszy ze swej kamienistej drogi, z sarnim pośpiechem pobiegła z powrotem do owego dnia, który się dwanaście razy uśmiechał dwunastoma godzinami. Stała się znowu dziewczątkiem rozpoczynającym swoją wiosnę, burzliwą, zmienną jak marcowe pogody, słoneczną i śliczną. Jednym gibkim ruchem dzikiego stworzonka, co wyskakuje z ciemnego legowiska na zieloność łąki, strząsnęła z siebie wszystko, co ją gniotło i co kamieniem legło na jej młodości. Radość, radość, wszędzie jest radość! Ani przez chwilę nie poczuła dumy ze

spełnionego wysiłku. Jej niezmierna miłość uczyniła wyprawę w umęczoną krainę łez i odniosła zwycięstwo, więc nie ma o czym mówić. Ojciec jej odrabiał stracone lata życia, a ona odrabiała teraz wszystkie stracone promieniste dni. Zawsze była od niej wesołość, teraz radość buchała z niej jak z dziesięciu młodych serc.

Nie jeden też, lecz dziesięciu autorów nie zdoła opisać ludzkim rozumnym słowem tego wrzasku, jaki się podniósł w szkole po jej powrocie. Mizerne o nim wyobrażenie mógłby dać równoczesny wrzask wielu aparatów radiowych, równocześnie obdzieranych ze skóry. Wzdrygnęła się natura szepcząc zbielełymi ustami: "Czy to już koniec świata?"

Niemądrzy ludzie dorośli rozmawiają w ten nudny sposób, że jeden z nich mówi, a reszta go słucha, często zaś po wielu godzinach takiego gadania, żaden z nich nie wie, czego chciał drugi. Panienki rozmawiają zgoła inaczej: czterdzieści ich gada równocześnie, a jedna słucha i ta jedna wszystko rozumie. Wybornym tym sposobem Basia dowiedziała się w ciągu godziny o wszystkim, co było, co jest i co będzie: kto się w kim kocha, kto kogo zdradził, kto się z kim gniewa. Okazało się, że pan Olszowski wyszedł z mody, a miejsce jego zajął prawy łącznikowy, który przyczynił się do zwycięstwa nad "Chelsea" w piłce nożnej. Trzy czwarte jednakże "klasy" oznajmiło Basi wręcz, że jeszcze większym bohaterem jest jej ojciec i że gdyby można otrzymać jego autograf lub kołnierzyk, można by pogadać, czyby mu nie uczynić miejsca w przestronnych sercach, w których pochowano niesławnie liczną już gromadę.

Na zebraniu "sześciu", tych, co to: "na życie i na śmierć i jeszcze dłużej", odbyło się prawdziwe powitanie. W szczęśliwym milczeniu pokazano zadrapania po krwawych znakach wrytych na pożegnanie. Wymieniono sześćdziesiąt tuzinów pocałunków i uścisków. - A w kim się kocha Zielonooka? - zapytała Basia.

- W jakimś Szocie, bo świetnie grał Mazepę - odrzekł chór. - Ale powiedziała, że zje kredę, sześć ołówków i popije butelką octu, aby umrzeć, bo on się żeni.

- Oj, bo skonam! - krzyknęła Basia trzymając się za brzuch ze śmiechu.

I zaczęła pytać z siłą stu koni parowych.

RADOŚĆ, RADOŚĆ, NIECH WSZĘDZIE BĘDZIE RADOŚĆ!